



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK
1994

5 (22) 1994

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



DANUTA NESPIAK	
Coraz dalej września	1
JERZY MASIOR	
Nazaret i okolica	2
Dokument sowieckiej podłości i przewrotności	4
JAN ZIEMBICKI	
Nie każda rocznica dobra	5
BOLESŁAW BROŚ	
Dowódcy i pulki z Ziemi Lwowskiej w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r.	6
DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ	
Rok 1939 — my na Węgrzech (cd)	11
Udział plutonu „GRUNWALD” w akcji „Burza”	14
LESZEK SAWICKI („TRAJAN”)	
Po „Burzy”	15
IRENA ROWECKA-MIELCZARSKA	
Tam, gdzie Seret płynie	19
KS. JAN KURDYBELSKI	
Wołyński rodowód parafii Minkowice Oławskie koło Wrocławia	21
WIESŁAW ŻELISKO	
Nadwórna	24
J. ROKICKA	
Było sobie takie miasteczko na Pokuciu	29
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI	
Serce oddał Podolu	32
JAN WALCHARZ	
Jeszcze raz Czortków	34
ANTONI HUTNIKIEWICZ	
Polemika i uzupełnienia	38
DANUTA NESPIAK	
Tarnopolskie nowości	39
WOJCIECH JERIE	
Między Lwowem a Buenos Aires	39
JERZY PETRYŃSKI	
Jeszcze o „Karierze pana Frajera”	49
DANUTA ŚLIWIŃSKA	
Pacalycha	49
MARIA SAWICKA	
„Wolny rynek”	51

Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof Bulzacki, Andrzej Chlipalski, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kaminski, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzyński, Danuta Śliwińska, Danuta Tabińska-Juhasz, Jan Ziembicki

Redakcja: Zdzisław Ojrzyński — redaktor naczelny, Danuta Nespiak, Jerzy Petryński,

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 tel. 44-88-93.

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław
Nr 93549-10012-132-3

Prezes Fundacji Danuta Tabińska-Juhasz

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Na okładce: w 50-tą rocznicę „Akcji Burza” w dniu 24 lipca br. na Cmentarzu Obrońców Lwowa wieniec składają: Stanisław Janicki ps. „Roman” — d-ca plutonu „Grom” z Zamarstynowa, Eugeniusz Cydzik — podchorąży „Wachlarza” z Grodna oraz Emil Teśluk ps. „Totek” — obrońca Gazowni, obecny v-prezes Z.G. TML i KPW z Wrocławia.

DANUTA NESPIAK

Coraz dalej od września

Obrona niepodległości Polski we wrześniu 1939 roku, przy jej zasobach uzbrojenia, konfiguracji politycznej i położenia geograficznego była dramatycznie ograniczona. Gorzko to sobie również trzeba uświadomić, że gdyby wojna wybuchła Anno Domini 1994 sytuacja byłaby analogiczna.

W tamtym wrześniu dysproporcja sił między Polską a jej dwoma agresorami udowodniła tylko światu bezprzykładne bohaterstwo polskiego żołnierza.

Na początku 3 tygodnia wojny w nocy z dnia 16/17 września ambasador Polski w Moskwie Wacław Grzybowski nie przyjął noty min. Mołotowa, która m.in. stwierdzała, że państwo polskie przestało istnieć, układy zawarte między ZSRR a Polską straciły swoją moc a Białorusini i Ukraińcy polscy rzućeni zostali na pastwę losu. Sowiecki nóż w plecy przekreślił ostatecznie celowość dalszych walk. Żołnierz polski we wszystkich etapach kampanii wrześniowej składał dowody bohaterstwa i patriotyzmu. Nie bronili Polski w 1939 roku, ani nie walczyli o jej prawo do istnienia na wszystkich niemal frontach, żadni oświeceni Europejczycy ani businessmeni a w służbach pomocniczych na zapleczach frontu nie straszyły feministki. A przecież, miejmy nadzieję, że mimo upływu 55 lat jest to ten sam naród.

W wyniku II wojny światowej Polska utraciła ok. 50% swego terytorium, więc musiała coś otrzymać w rekompensacie. Straty w ludziach, w całym dorobku cywilizacyjnym i kulturalnym były olbrzymie. Utraciliśmy m.in. Wilno, Grodno, Lwów, Stanisławów, Tarnopol. Z woj. lwowskiego pozostał przy Polsce pow. lubaczowski i część jarosławskiego, dobromińskiego, sokalskiego, rawskiego, jaworowskiego i przemyskiego z Przemyślem (a w tym mieście dzieją się dziwne rzeczy).

Jednak nie wszystko co było do powiedzenia i opublikowania przez historyków i polityków w sprawie dramatu września i jego konsekwencji zostało zrobione. Przy tym nie chodzi o pielęgnowanie legendy września lecz jego prawdy. Minęło aż czy tylko 55 lat od tamtych wydarzeń ale zależy to od tego kto jaką miarą czas mierzy. Dla polskiej eurolewicy to cała epoka, która ani politycznie, ani społecznie, ani geograficznie nie jest tożsama z tą wrześniową. Natomiast 600 lat istnienia i rozwoju wieloźródłowej cywilizacji i kultury polskiej tej części kraju nazywanej Małopolską Wschodnią – to żadna epoka dla naszych oświeconych Europejczyków. Nie ma jej, wyparowała, nie daje jej się zaistnieć choćby w formie konkretnych działań nad zachowaniem tego dziedzictwa, które tam pozostało. Ale konformizm polityczny zmusza, że hoduje się

w społecznej świadomości pamięć polskich symboli, które siłą faktu nawiązują do tradycji i przeszłości. Jeżeli zdarzają się rocznice wielkich wydarzeń historycznych a w te rok 1994 jest bogaty, to wówczas III RP przedstawia się publicznie (z wyłączeniem PRL) jako spadkobierczynię tradycji historycznej, polskiej, patriotycznej, która nie dotyczy tylko tradycji połowy terytorium Polski, tej której nie pokłękła Jalta. Dlatego dyskretnie głowa państwa na obchodach 50 rocznicy Powstania Warszawskiego napomknęła o AK wołyńskiej i wileńskiej, ale nie padła żadna wzmianka o AK Obszaru Lwowskiego. A szkoda. Takim milczeniem pomagamy wkomponowywać naszą tradycję, historię i niestety martyrologię w dzieje i symbole naszych sąsiadów przede wszystkim na Wschodzie. Przykład: 31 lipca b.r. odbyły się we Lwowie uroczystości pochówku pomordowanych ofiar NKWD z więzienia na Zamarsztynowie. Towarzyszyła temu sesja historyczna o zbrodniach sowieckich zorganizowana przez lwowski Memoriał. Towarzystwa kresowe w Polsce nie zostały zaproszone. 63 bezimienne ofiary czerwca 1941 roku pochowano na niedawno kreowanym Wzgórzu Chwały cmentarza Łyczakowskiego. Jedną, jedyną trumną symbolizowała pomordowanych tam Polaków owinięta białoczerwonym sztandarem a narodowość ofiar (fałszując rzeczywisty ich procent) podano w kolejności Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Rosjanie. Dobrze, że sprostował to jeden polski głos – Sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa z W-wy z delegacji RP zaproszonej na te smutne uroczystości. Przemawiali również z tej okazji b. członkowie UPA, wśród nich Mykoła Łebed, organizator zabójstwa polskiego ministra Bronisława Pierackiego w 1934 roku, jeden z najbliższych współpracowników Stefana Bandery, rodem ze wsi Strzelczyska Nowe pod Bóbrką. I jak tu mówić o pojednaniu polsko-ukraińskim w takim kontekście, mimo, że przemawiają za tym oczywiste racje.

Karmiony trującą ideologią stalinowskiej propagandy o pańskiej Polsce prosty, ciemny sowiecki żołnierz, ten z 1939 roku, wyrwany z głębi azjatyckich przestrzeni, którego szare masy zalały Kresy Wschodnie, o ile nie należał do zbrodniczej struktury NKWD – w wymiarze indywidualnym miał na sumieniu napewno mniej win wobec Polaków niż, być może, niejeden z „bractwa” UPA towarzyszący pogrzebowi ofiar bestialstwa NKWD we Lwowie. I nie Sasza z pod Irkucka żył od wieków z sąsiadem Polakiem czy Żydem np. w powiecie Bóbrka gdzie się urodził Mykoła Łebed, UPA wymordowała setki Polaków.

Charakterystyczny dla ukraińskiego nacjonalizmu jest cykl artykułów zamieszczony w lwowskiej gazecie „Ratusza” (nr 10-12 z bieżącego roku) pt. „Żle się bawicie panowie”. Ta „zła zabawa” to publikowanie zbrodni UPA i relacji świadków w kresowych czasopismach. Autor cyklu (Jarosław Korybut) określił 27 Wołyńską Dywizję Piechoty AK jako

„tzw. wojskowe zgrupowanie”, któremu kłamiąc i fałszując fakty historyczne, przypisał akty okrucieństwa.

Odnosić również trzeba jeszcze kilka zdumiewających nas twierdzeń tego autora. Pisze on, że nie zupełnie zrozumiałe jest na jakiej podstawie prawnej Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni ukraińskich na terytorium woj. stanisławowskiego i tarnopolskiego. Autor zapominał, że był to wówczas teren okupowanej Polski, wobec tego polski wymiar sprawiedliwości ma prawo a nawet obowiązek dochodzić zbrodni dokonanych na obywatelach polskich. Tenże autor kwestionuje postawienie w Warszawie pomnika 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

Chciałam zwrócić uwagę na pewne towarzyszące tego typu publicystyce realia u nas i za wschodnią granicą. W połowie sierpnia b.r. wybrali się z pielgrzymką dawni mieszkańcy Rodatycz, (b. powiat Gródek Jagielloński, woj. lwowski) oraz kilka zakonnic ze Zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bożej i kapłanów z kurii metropolitalnej w Przemyślu. W planie mieli odwiedzić również tamtejszy cmentarz gdzie znajduje się grób założycielki zgromadzenia. Lokalne władze zabroniły im tego. Rodatycze to była stara wieś polska, parafia rzym.-kat. erygowana tam została w 1449 roku. A ja mam w oczach inny obraz. W środku lata 17 sierpnia b.r. I program Telewizji Polskiej o godz. 13.25 emitował film pt. Miasto z orłem i tryzubem. Rzeczą dotyczyła Przemyśla a autorem filmu była Jadwiga Nowakowska (znana już nam z „dokumentu” filmowego „Akcja Wisła”), konsultantem historyk, pracownik Archiwum Ukraińskiego w Warszawie Eugeniusz Misiło. W filmie tym — pomijam kontrowersyjne wystąpienie biskupa obrządku ukraińsko-bizantyjskiego w Przemyślu Martyniaka prześmiewającego się z kościoła Karmelitów, że wygląda jak meczet — zaprezentowano sceny z cmentarza w Pikulicach.

Pamiętanie, ale jakie

JERZY MASIOR

Nazaret i okolica

Uliczka Unii Lubelskiej miała swoją tramwajową geografę. Tędy wspinała się mozolnie „czwórka” na Wysoki Zamek, ale by wyjść na prostą Teatyńskiej, musiała jeszcze wykręcić się od dołu z Kurkowej. Te skręty, hamowania, mijanka pośrodku ulicy, tuż na przeciw gimnazjum i przystanek powodowały, że piski, zgrzyty, dzwonienie, cała ta tramwajowa muzyka była czymś wszechobecnym w klasach Nazaretu, czyli w Gimnazjum i Liceum SS Nazaretanek we Lwowie. „Czwórka”, opisywane tu źródło dźwięków, miała jedną z najbardziej malowniczych w mieście tras, zwłaszcza na odcinku „wspinaczkowym”, czyli od Podwala do pętli przy parku Wysokiego Zamku. Jeździły pojedyncze wozy i to te najstarsze, z niezabudowanym tylnym pomostem, dostarczającym nam

Jest to miejscowość na pld. od Przemyśla gdzie setki b. członków UPA z emblematami tej organizacji w kłapie bez najmniejszych przeszkód ze strony lokalnych władz polskich zgromadziły się na tym cmentarzu, bo przecież niektórzy mieli tu groby swoich bliskich. Inne sceny: ulicami Przemyśla szedł pochód — starzy i młodzi nie tylko pod niebiesko-żółtymi sztandarami ale również czarno-czerwonymi, a dzieci ze szkoły ukraińskiej mówiły swobodnie, że Przemyśl jest teraz polski ale było to miasto ukraińskie. Czy jest analogia do Rodatycz? ...

Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych przewodzi poseł Jacek Kuroń znany ze szczególnej predylekcji do naprawiania rzekomych „krzywd” tej części obywateli polskich. Może będziemy mieli następne emisje „Miast z orłem i tryzubem” (jest jeszcze Chełm, Lublin, Nowy Sącz) jako „filmów edukacyjnych” zwłaszcza dla młodego pokolenia Polaków. A może ich to poprostu nie zainteresuje bo mass media nasuwają im ponętny obraz polskiego businessmena a to, że businessmen ma przerażające braki w zakresie kultury humanistycznej — to nic nie szkodzi. Zresztą komu to dzisiaj potrzebne. Czy warto sobie zaprzątać głowę wspomnieniami wrześnie — że byli jacyś żołnierze i walczyli do ostatniej kropli krwi nad Bzurą? Co za znaczenie ma dzisiaj dla młodych Europejczyków (dla starszych też), że pod Sopoćkiniami koło Grodna sowieci rozstrzelali polskich żołnierzy razem z ich dowódcą generałem Wilczyńskim, jak się biedacy chcieli przedrzeć na Litwę.

Niemodny jest patriotyzm. Obóz eurolewicy oferuje młodemu pokoleniu Polaków wizję społeczeństwa otwartego, globalnego, na pełnym luzie obyczajowym z relatywizmem etycznym i dyskretnie usuwaną identyfikacją narodową i kulturową. Za to nasi sąsiedzi z północy i wschodu raczej je wzmacniają.

Dziękuję p. Stanisławowi Dustanowskiemu za tłumaczenie artykułów z „Ratuszy”.

szczególnych uroków jazdy tramwajem. Tak w lecie jak i w zimie. Ale niech to będzie tematem oddzielnego „Pamiętania”.

Był czas, gdy „Nazaret” stał się moim szkolnym schronieniem. Nawet czymś więcej. Od października 1939 r. nie była to już tylko szkoła; powstała przestwór złożona z klas, korytarzy, sieni, podwórka, gdzie garstka polskiej młodzieży mogła jakby z opóźnieniem przenosić się w świat nieprawdy i wyszydzenia ich wartości. Mury szkoły nasiąknięte od lat dobrymi tradycjami, nauczyciele, w dość sporej gromadzie, jeszcze siostry zakonne, mimo narzuconego ukraińskiego kierownictwa, to wszystko stwarzało duchową warownię, azyl jakowyś pośród żołdactwa, modnych wyłapywań do bydłych wagonów, historii WKP(b) i potęgującego się głodu owej lwowskiej jesieni i zimy. Jeszcze nosiliśmy te same granatowe mundurki, jeszcze ten i ów podręcznik był jedynym. Jeszcze nauczyciele przemycali nam na lekcjach dogmaty naszej historii i literatury. W tych murach nadal stało się sacrum rozkwitającej dopiero młodości,

ujętej w latach wcześniejszych w koleiny wiedzy, wychowania i tradycji. Przyszliśmy tu z widnokręgów i zapatrzenia takiego, które nie zmieniało barw na wietrze.

Przywędrowałem do „Nazaretu” z mojej II Budy, z Podwała. To było niedaleko, ale tam zmieniono język nauczania. Byłem początkowo jedynakiem wśród gromady dziewcząt, ale na szczęście od półroczu nadciągnęli koledzy, bowiem znaleźli się w podobnej sytuacji. Okupant wyznaczył szkole polski język nauczania. Mimo ukraińskiego z Kijowa dyrektora i natarczywego politycznie „zawpeda”, czyli kierownika pedagogicznego, tężał w nas z dnia na dzień opór wobec wszystkiego co nie polskie, co usiłujące wypaczyć nasze, dopiero co odkryte we Wrześniu przywiązanie do Kraju, uśpić wzburzony krwioobieg, pamięć o szkole przedwrześniowej, profesorach, Drużynie... To, czego nas wówczas nauczono stało się obowiązkiem pamiętania, własne i potrzebne. Nasze polskie i literackie serce pragnęło w pierwsze okupacyjne dni jesieni IV-tej części „Mówią wieki”, miast wydanych na gazetowym papierze wypisów z tłumaczeniami Szewczenki i Franko. Ideologia jednolicie czerwona i na wschodzie Europy pragmatycznie wypraktykowana skreślała wieszczów Narodu, którego byliśmy synami.

Grono nauczycieli, składające się częściowo z sióstr zakonnych (bez habitów w czasie lekcji), przemycalo nam jak mogło przedwojenny program nauczania. Udało się to tu i tam. Ale nie wszędzie. Obowiązkowy rosyjski i ukraiński, historia (głównie WKP(b)), godziny wychowania politycznego — uwierały, nużyły. Traciliśmy chwilami ostrość oceny, odporność, niebezpiecznie obojętnieliśmy. Wrastaliśmy w sowiecką, zniewalającą szkołę indoktrynacji „dialektycznie” bezbronni. We wrześniu nie wypaleni do cna szesnatołatkowie, staliśmy się prawie całkowicie bezradni wobec pleniącej się rzeczywistości, która była szara, nijaka, bardzo natrętna i okropnie kolektywna. Była w tym wszystkim wielka nieprzychylność dla naszego świata, dla tych przestrzeni, które pozamykaliśmy szczelnie, bo były nam wtedy potrzebne. Nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy, że przemija nasz czas najlepszy: czas stawania się, czas realizacji kształtów mniejszych, większych — jednakowo ważnych.

„Nazaret” był wtedy przedzą życia, z konieczności niekiedy bardzo intymnego, w tej małej krainie względnej swobody, koleżeńskiego zaufania i wsparcia. Profesor — polonista, polski Żyd, recytując wiersze Zalewskiego, lepiej uczył nas ukraińskiej Polski, niż stronicie podręczników. To były lekcje biologii, na których zapytany o budowę serca niezbyt składnie odpowiadałem, bo właśnie ofiarowałem własne śliczne blondynce z pierwszej ławki i ważny był bukiet fiołków dla niej ze Strzelnicy przy Kurkowej, a nie jakieś tam anatomiczne dokładności. To był chór szkolny prowadzony przez Julka Wesołowskiego, który swym „Agnus Dei” wypełniał mrok i złościści ormiańskiej świątyni. To były wyprawy na Nowy Lwów do Leszka Preidla, kolegi z „Nazaretu”, na słuchanie płyt z gramofonu, które sam zmieniał, co było dla nas czymś bardzo nowoczesnym. To było wreszcie obcowanie z dziewczętami, które zapoczą-

kowało niespotykane dotychczas układy wśród młodzieży szkół uprzednio nie koedukacyjnych. Bywało niekiedy tak, jakbyśmy się ocknęli w świecie nieprawdopodobnych dotychczas zbliżeń. My chłopcy uczylimy się dziwcząt. One nas także, a trzeba stwierdzić, że okazały się bardziej pojętne.

Dla mnie to były dziewczęta, które odprowadzało się po lekcji, taszcząc ich teczki obowiązkowo, które obdarowywało się bukietami zupełnie bezwstydnie. Z nimi spotykałem się po majówkach. Z Alą wędrowałem od Zmartwychwstańców na Wójtowską, zazwyczaj przez cmentarz Łyczakowski. I do dziś powtarzam, że to było wymarzone miejsce dla randkowania. Były tam nawet altany. Kto to pamięta? Jedną z nich stała między wzgórzem Powstańców Styczniowych, a ulicą św. Piotra. Spędzałem w niej wieczorne godziny. Na Cetnarówce i Pasiekach kwitły wtedy bzy, a jest to do dziś czas, gdy gwiazdy nad Lwowem bywają wysrebrzone jak nigdy. Z tą prześliczną Nazaretanką, właścicielką pięknych warkoczy, zielonych oczu i spolegliwego serduszka wynieśliśmy tabernakulum z kaplicy szkolnej „Nazaretu?”, gdy tę kaplicę zmieniono na salę gimnastyczną. Z Alą, Staszkiem Piątkiem i Marysią Traczówną stanowiliśmy za Niemców czwórkę kompletu tajnego nauczania. W 1994 zdawaliśmy maturę. U Pani Profesor Marii Chmielowskiej, u PP. Nikliborców, u ks. Rechowicza, późniejszego biskupa diecezji lwowsko-lubaczowskiej.

Budynek Gimnazjum utworzyły dwie połączone kamienice. To złączenie budynków powodowało, że klasy były w amfiladzie. Klatka schodowa, spora sień i niewielkie, zawsze zacienione przez kamienice i trochę zieleni podwórko, przy którym była kaplica, oto architektura „Nazaretu”. Naprzeciw, po drugiej stronie ulicy koszary, dawny klasztor Teatynów, a w prawo zielen parku, wśród którego tkwił pałac Dzie duszyckich, nie wzbudający naszego zainteresowania z racji postoju w nim sowieckiej jednostki wojskowej. Za parkanem okalającym koszary, od strony ulicy było wejście na ślizgawkę, urządzaną tam na wojskowym boisku przez Sowietów. Uczęszczałem na tą ślizgawkę. Była skromnie zorganizowana, ale bardzo swojska, chociażby z racji spotykanych na niej koleżanek i kolegów. Do domu, na Leśną było stąd niedaleko.

Dziś gdy jestem we Lwowie i przechodzę obok Szkoły, w której wypadło mi uczyć się przez pierwsze 2 lata wojny, zawsze zaglądam do sieni, na podwórko, na kilka stopni schodów, które wiodły do klas. Do mojej na I piętrze. Są w tym budynku jakieś biura, jest teraz cicho; cisza taka, która jakby mówiła, że tu coś skończyło się na zawsze. Nie pochwycimy płaszczy z przyległej do klasy szatni, gdzie dziewczyny usiłowały nas, chłopców podszkolić z ich oczekiwań, nie wybiegniemy na słoneczną Kurkową, aby jak najwolniej dotrzeć do domów wędrując wzdłuż prawie całej Łyczakowskiej na Wójtowską 11.

„Nazaret” kształtował nas w latach dramatycznej przygody ze światem w okresie naszej niezwykle plastyczności. Byliśmy podatni na świat i na siebie. Owa szkoła nie ukazywała wtedy stacji docelowej. Nabyty w niej bilet obecności nie zapewniał, co

бędzie za horyzontem, wtedy dla nas bardzo dalekim. Przewidywania z dnia na dzień były łatwiejsze, realniejsze. Brutalność czasów była nauczycielką niezwykłą, a my byliśmy pojętni. Dla małego komfortu i może bezpieczeństwa odgradziliśmy się hermetycznie od wszystkiego co było obce. Nie odpowiadało nam kolchozowe spełnianie marzeń, kolektywny świat, wszechobecność wojska, NKWD i całe to umundurowane dominowanie.

Uciekaliśmy więc w naszą prywatność. Uczyliśmy się ją smakować. Dojrzewaliśmy do egzystencji w świecie, który z konieczności ukazywał nam się nie takim, jakim chcielibyśmy go widzieć, a może nawet kształtować. „Nazaret” z dzisiejszej perspektywy był etapem. Był początkowo próbą zatrzymania czasu,

a później szukania sposobu. Był szkołą, która szybko, ale znacząco wyposażała nas na przyszłość. Do dziś przechowuję w szufladzie błękitną tarczę z cyfrą srebrnymi nićmi wyhaftowaną: 568.

Gdy wybiorę się do Lwowa, będę szukał wśród uczestników wycieczki różdżkarza. Przywiodę go do sieni „Nazaretu” i na podwórko. Wtedy wszystko się wyjaśni: pod tymi dwoma zespolonymi kamieniczkami przy Unii Lubelskiej rwą żyły wodne o promieniowaniu potężnym, które ponad ziemią drżą światłem przenikliwym wyprowadzając z rozdroży najbardziej pogubionych. I fluidów tam obfitość, które są z zastawą pamięci i serdecznej wdzięczności.

Nowy Sącz, 23 styczeń 1994 r.

HISTORIA

Dokument sowieckiej podłości i przewrotności

Przedstawiamy mało znany protokół przekazania Lwowa wojskom sowieckim. Jest to jeden z bardzo wielu dokumentów (traktaty, Konwencja Genewska w sprawie uszanowania grobów i cmentarzy wojskowych, umowy rewindykacji dóbr kulturalnych itp.) podpisanych przez władze sowieckie ale **nigdy nie dotrzymanyh**.

П Р О Т О К О Л

- 2 -

соглашения о передаче гор.ЛЬВОВА войскам СОВЕТСКОГО СОЮЗА

22.9.39 местечко В И Н Н И К И.

Представители Командования Советских войск:

Комбриг КУРОЧКИН, Комбриг ЯКОВЛЕВ, Полковник ДЕДОВ,
Полковник ФОТЧЕНОВ, Полковой комиссар МАКАРОВ.

Представители командования Польских войск:
Командир 6 Корпуса Генерал Владислав ЛЯНГНЕР, Полковник
Генерального Штаба армейского района РАКОВСКИЙ.

В виду окружения польских войск в гор.ЛЬВОВЕ частями Красной Армии и с другой стороны немецкими частями: Командир Корпуса польской армии Генерал Владислав ЛЯНГНЕР не видит практического смысла продолжать дальнейшее сопротивление и ввиду угрозы голода и истощения населения города.

Исходя из изложенного Командир Корпуса Генерал Владислав ЛЯНГНЕР вынужден принять решение и договориться с командованием войск Красной Армии о сдаче гор. ЛЬВОВА и его гарнизона на следующих условиях:

1. Польские войска на линии передовых позиций немедленно выбрасывают свои флаги, перед фронтом Красной Армии и ЗБОИКА, ВИННИКИ, ЗУБКА.

2. Оружие складывается на пунктах сбора оружия.

3. Польские войска отходят по секторам:

1 сектор- ЗБОИКА, ЗАМАРСЬИНОВ, ВЕЛ.ГОЛОСКО

2 сектор- дорога на ЯНОВ, ЖЕНОНА ПОЛЬСКА

3 сектор- Дорога СТРИМСКАЯ

4 сектор- юго западная часть города

4. Гражданские власти гор.ЛЬВОВА предоставляются Команданту города и остаются на местах.

5. Склады всех видов довольствия, почта, телеграф, казармы, вокзал и правительственные учреждения передаются представителям Советских войск.

6. Военнопленные рядового и младшего офицерского состава выводятся по подразделениям, среднего и высшего выводятся на машинах на шоссе ЛЬВОВ, КУРОВИЩЕ.

7. Раненные военнопленные, не могущие следовать пешком, остаются на своих местах с медицинским персоналом Польских войск.

8. Офицерам Польских войск гарантируется личная свобода и неприкосновенность движимого имущества. При перевозках на территорию других государств вопросы разрешаются гражданскими властями дипломатическим путем.

9. Вместе с разоружением гарнизона подлежат разоружению полиция и жандармерия.

Подписали: Представители Советских войск

КОМБРИГ *Кури* / КУРОЧКИН / КОМБРИГ *Яков* / ЯКОВЛЕВ /
ПОЛКОВНИК *Дедов* / ДЕДОВ / ПОЛКОВНИК *Фотч* / ФОТЧЕНОВ /
ПОЛКОВОЙ КОМИССАР *Макар* / МАКАРОВ /

Подписали: Представители Польских войск

КОМАНДИР 6-ГО КОРПУСА ГЕНЕРАЛ

/ ЛЯНГНЕР / *Ланг*

ПОЛКОВНИК Генерального Штаба

/ РАКОВСКИЙ / *Рак*

Настоящий протокол отпечатан в четырех экземплярах.

**Protokół porozumienia o przekazaniu m. Lwowa
wojskom Związku Sowieckiego
22.09.39 miasteczko Winniki
(tłumaczenie)**

Przedstawiciele D-twa Wojsk Sowieckich: D-ca Bryg. Kuroczkin, D-ca Bryg. Jakowlew, Pułkownik Diedow, Pułkownik Fotczenkow, Komisarz Pułkowy Makarow.

Przedstawiciele D-twa Wojsk Polskich: D-ca 6 Korpusu gen. Wł. Langner, Pułkownik Sztabu Generalnego Bogusław Rakowski.

W związku z okrażeniem wojsk polskich w m. Lwowie przez oddziały Armii Czerwonej a z drugiej strony przez oddziały niemieckie, D-ca Korpusu Armii Polskiej gen. Wł. Langner nie widzi praktycznego sensu przedłużania dalszej zagłady wojsk i niewinnej ludności cywilnej.

Wychodząc z powyższego, D-ca Korpusu gen. Wł. Langner jest (zmuszony) zobowiązany przyjąć decyzję i ułożyć się z D-twem Wojsk Armii Czerwonej o przekazaniu m. Lwowa (domówić) w zakresie przekazania m. Lwowa i jego garnizonu na następujących warunkach:

1. Wojska polskie niezwłocznie wywieszą białe flagi na przednich liniach pozycji, przed frontem Armii Czerwonej oraz w odc. Zboiska, Winniki, Zubrza.
2. Broń złoży się w punktach zbiorczych broni.
3. Wojska Polskie odejdą wg sektorów:
 - 1 sektor — Zboiska, Zamarstynów, Wlk. Hołosko
 - 2 sektor — droga do Janowa, Rzęsna Polska
 - 3 sektor — droga Stryjska
 - 4 sektor — pld. zach. część miasta

4. Władze cywilne m. Lwowa przedstawiają się Komentantowi Miasta i pozostaną na miejscach.
5. Magazyny wszelkiego rodzaju towarów, poczta, telegraf, koszary, dworzec i urzędy sądownicze będą przekazane przedstawicielom wojsk sowieckich.
6. Jeńcy w stopniu szeregowców i podoficerów wychodzą z pododdziałami, oficerowie młodszy i wyższy na samochodach szosą Lwów, Kurowice.
7. Ranni jeńcy nie mogący iść pieszo pozostają na swoich miejscach wraz z personelem medycznym Wojsk Polskich.
8. Oficerom Wojsk Polskich gwarantuje się swobodę osobistą i nietykłość rzeczy (ruchomych) osobistych. Przy przejazdach na terytorium innych państw, wnioski rozpatrują władze cywilne drogą dyplomatyczną.
9. Razem z garnizonem rozbrojeniu podlega policja i żandarmeria.

Podpisali: Przedstawiciele Wojsk Sowieckich

Kombrig — Kuroczkin (podpis nieczyt.)

Pułkownik — Diedow (podpis nieczyt.)

Kombrig — Jakowlew (podpis nieczyt.)

Pułkownik — Fotczenkow (podpis nieczyt.)

Polkownik Komissar — Makarow (podpis nieczyt.)

Podpisali: Przedstawiciele Polskich Wojsk

Dowódca 6-go Korpusu generał — Langner (podpis nieczyt.)

Pułkownik Sztabu Gen. — Rakowski (podpis nieczyt.)

Niniejszy protokół wykonano w 4 egzemplarzach.

JAN ZIEMBICKI

Nie każda rocznica dobra

55 rocznica podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow minęła bez echa. Nie odnotowały jej publicyści i nie zauważyli najwyżsi dostojnicy państwowi. Milczenie to, nie wynikało z historycznej niewiedzy lecz było konsekwencją peerelowskich nauk o dialektycznym pojmowaniu zjawisk społecznych wedle zasady: warto — bądź nie warto, opłaci się — czy nie opłaci, narazimy się — czy nie narazimy. Imponderabilia, jak rzetelność, patriotyzm, odwaga czy nie daj Boże honor, są dla wielu uczestników i komentatorów polskiej sceny politycznej pojęciami przebrzmiałymi — teraz znaczenie ma koniunktura. Ilustracją takiego postępowania mogą być dwie niedawne rocznice: 75-lecie Obrony Lwowa oraz 50-lecie Powstania Warszawskiego. Walka o Lwów i o Warszawę — przyświecał młodym żołnierzom podobny cel — WOLNA POLSKA. Dla Niej i dla tego celu oddawali życie. Nie to się jednak teraz liczy. Aktualnie ważne jest z kim walczyli i czy ich poświęcenie można po latach wykorzystywać. Jerzy Milewski, b. sekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP napisał w liście z dnia 9 VII 93 kierowanym do Zarządu Głównego TML i KPW że: „z uwagi na -konieczność szczerzego zbliżenia i rzeczywistej równoprawnej współpracy Polski z Ukrainą objęcie przez Prezydenta patronatu lwowskiej rocznicy byłoby czymś nie stosownym”.

Odmienne rzecz się miała z rocznicą Powstania Warszawskiego. Jak wiadomo obchodzono ją okazale a „działanie na rzecz szczerzego zbliżenia i równoprawnej współpracy” Polski tym razem z Niemcami nie stało się przeszkodą dla przyjęcia patronatu nad obchodami. Podobne postępowanie obserwujemy w odniesieniu do Pomordowanych na Wschodzie. Kilkanaście tysięcy niewinnych i bezbronných oficerów skrytobójczo zamordowanych przez NKWD w Katyniu, Twerze i Miednoje doczekało się godnego upamiętnienia. Śmierć wskutek zakłucia nożami i zarażania siekierami przez OUN-UPA setek tysięcy również niewinnych i bezbronných polskich mieszkańców tysięcy wsi od Wołynia po Karpaty okrywa zmowa milczenia. UPAMIĘTNIE NIE OFIARY UZALEŻNIONE JEST OD TEGO KIM BYŁ JEJ KAT. Spojrzenie na rocznicę paktu Ribbentrop-Mołotow w aspekcie marksistowskiej dialektyki uświadamia, że rocznica paktu nie mogła zostać „zauważona”, ponieważ władze III RP wcześniej zaakceptowały w pełni jego skutki, w tym utratę bez odzyskania ogromnego majątku narodowego, wypracowanego przez obywateli polskich. Wystarczy wspomnieć, że nie tak dawno czołowy polski polityk (aspiruje do stanowiska Prezydenta RP!!!) publicznie wyraził swą radość z faktu, że Lwów przestał być polskim miastem. My, zwykli Polacy patrzymy na te sprawy inaczej, przypominamy i będziemy przypominać zadawane naszemu Narodowi rany, szczególnie te ukrywane „aby nie zabiły się błoną podłości”.

JERZY MASIOR

WCIAŻ WRZESIEŃ

*Jeszcze wciąż w uszach jeszcze tam
na mej ulicy stuk piechoty
z Wandą na Leśnej nocna straż
szczeka pelotka — znów naloty
skrzy się pogoda wrzesień drży
że może Niobe że powróci
i przerwa w snach runęło coś
lęk naszych orbit nie obrócił*

*I pójdzie to za nami wciąż
marsz ku niewoli — kula w skroń
pogarda stepów tajgi chłód
i podle słowa martwa dłoń
kalmuckich żrenic czujna straż
rozpięta gwiazda krzyżowania
już nie batalion i nie pułk
lecz rozkaz nie do wykonania
Już się wypalił tamten dzień*

*i nawet słodycz śliw jak dawniej
ale to stamtąd wszystko jest
spiekota warg w wrześnie trawie
A więc na pamięć jeden dzień
bezdroża czasu wieku koniec
nad mogilami pośród wzgórz
krzyże do dziś nie postawione*

*Zły kolor nieba z dnia po noc
dym najczarniejszy nad Zniesieniem
popiół spalonych wtedy lat
kasztanów na Podwalu Cienie
i wciąż te pokonane dni
i marsz ku chwale pokonanych
tam porzucony hełm na bruk
amarant w słońcu pogrzebany*

*Pozostał krzyk i hałas barw
i podglądanie jak tam teraz
lirnik stepowy ponad tłum
i bramy które omijamy
To nie odeszło To tam jest
jeszcze nie runął strop pamięci
choć nam burzą gniazdo snów
są jeszcze pory rozpoczęcia*

Nowy Sącz, 15 sierpnia, 1994 r.

BOLESŁAW BROŚ

Dowódcy i pułki z Ziemi Lwowskiej w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r.

Znajomość historii Polski, a zwłaszcza najnowszej, jest w obecnym społeczeństwie polskim niska. Jest wynikiem trwającego ponad pół wieku zakłamywania i fałszowania tej historii, a przede wszystkim przemilczania niewygodnych politycznie faktów i wydarzeń historycznych.

Do wielu białych plam w najnowszej historii Polski zaliczyć należy m.in. sprawę udziału wschodniej części Polski, nazywanej obecnie eufemistycznie Kresami, oraz jej ludności w zmaganiach wojennych lat: 1939-1945.

Wychodząc z tego punktu widzenia należy wrócić do obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku, która przeszła do historii ostatniej wojny jako jedna z największych i najdłuższych trwających bitew.

Biorąc pod uwagę ówczesne możliwości Polski stolica kraju była w 1939 r. dobrze przygotowana do obrony przeciwlotniczej zarówno biernej, jak i czynnej. Do obrony czynnej przeznaczono 54 samoloty spośród ok. 400 samolotów bojowych, którymi dysponowała

armia polska na początku wojny, Warszawy broniło 96 dział przeciwlotniczych 40 mm i 75 mm, a więc ponad 1/5 całkowitej ilości dział plot., które znajdowały się w kraju w dniu 1 września 1939 r.

Natomiast Warszawa w pierwszych dniach wojny była miastem całkowicie nieprzygotowanym do obrony lądowej.

Niemieckie kolumny pancerne XVI korpusu gen. Hoepnera, w składzie 1 i 4 Dywizji Pancernej, po przełamaniu frontu w rejonie Częstochowy, posuwają się od 3 września ku Warszawie. W tym samym dniu Naczelny Wódz powierzył ministrowi spraw wojskowych gen. Kasprzyckiemu zadanie utworzenia obrony środkowej Wisły. Minister Kasprzycki w dniu 3 września mianował dowódcą obrony Warszawy gen. Waleriana Czumę, płk Juliana Janowskiego jego zastępcą, a szefem sztabu obrony Warszawy płk Tadeusza Tomaszewskiego. Jednocześnie ochronę przejść przez Wisłę na odcinku Warszawa południe — Dęblin powierzył płk Tadeuszowi Komorowskiemu.

W pierwszych dniach września płk Tomaszewski spotkał w Warszawie płk Mariana Porwita, znakomitego oficera, pozostającego bez przydziału. Płk Porwit wyraził natychmiast zgodę na propozycję przejścia do dowództwa obrony Warszawy. Gen. Czuma, urodzony na ziemi krakowskiej, był silnie związany ze Lwowem, jako długoletni dowódca 5DP i jako zastępca dowódcy Okręgu Korpusu VI we Lwowie. W lutym 1939 r. mianowany został komendantem głównym Straży Granicznej, co odebrał jako odstawienie go na boczny tor.



Gen. Walerian Czuma
1890-1962

Płk. Janowski, urodzony w Łomży, jedyny w tym zespole nie wywodzący się z Małopolski, jako podwładny gen. Czumy przeszedł niejako automatycznie wraz z nim do dowództwa obrony Warszawy. Jako starszy już podówczas wiekiem był wykorzystywany przez gen. Czumę do mniej istotnych zadań.

Płk. Tomaszewski, urodzony w Jabłonowie na Podolu, brał udział w obronie Lwowa w 1918 r., był m.in. dowódcą 6 PAC we Lwowie, a od 1937 r. był naczelnym komendantem Legii Akademickiej. Płk Komorowski, urodzony na ziemi brzeżańskiej, ukończył VIII Gimnazjum we Lwowie, był dowódcą 9 p.uł. w Trembowli, współorganizatorem konspiracyjnej organizacji wojskowej w okresie okupacji, komendantem głównym A.K.



Gen. Tadeusz Bór-Komorowski
1895-1966

Płk. Porwit, urodzony w Gorlicach, na pograniczu ziemi lwowskiej i krakowskiej, podczas przewrotu majowego w 1926 r. opowiedział się po stronie rządu.

Płk. Aleksander Pragłowski, szef sztabu Armii „Warszawa”, urodzony na ziemi lwowskiej, mówiąc o płk. Porwicie, tak wspomina: „Polska oficjalna była na niego tak obrażona, że na wojnie nie dała mu przydziału. On, Tomaszewski i jeszcze kilku innych starszych oficerów zostali poprostu zapomniani, a właśnie to oni okazały się w 1939 roku dobrymi żołnierzami”. Czuma, Tomaszewski i Porwit odegrali podstawową rolę w organizacji obrony Warszawy, zwłaszcza w jej pierwszej fazie, oraz w skutecznym odparciu ataku niemieckich kolumn pancernych na Warszawę w dniach 8 do 10 września.

Siły przekazane gen. Czumie do obrony stolicy były nikłe. Do dyspozycji oddano mu zaledwie 4 bataliony oraz jeden dywizjon artylerii lekkiej. Wobec szczupłości sił gen. Czuma postanowił bronić Warszawy na skraj zwanym zabudowanej części miasta, wprost „w oparciu o mury”. Całą artylerię przeznaczył do obrony przeciwpancernej.

Prace nad organizacją obrony miasta odbywały się w trudnych warunkach, spowodowanych zarządną ewakuacją Warszawy, o czym powiadomił nowo mianowany minister propagandy, Michał Grażyński 5 września po południu, zapowiadając jej realizację tej samej nocy z 5 na 6 września.

Sądzić należy, że 5 września rozważano na szczelnie najwyższym ewentualność poddania Warszawy bez walki. Ostatecznie przeważała jednak decyzja obrony miasta. Wcześniej jeszcze, bo już w nocy z 4 na 5 września opuszczają Warszawę samochody premiera Sławoja-Składkowskiego, Komisarza Cywilnego Rządu Włodzimierza Jaroszewicza, Komendanta Głównego Policji Państwowej gen. Kordiana Zamorskiego wraz z towarzyszącymi im wysokimi urzędnikami. Nie tylko Rząd opuścił Warszawę, ale i Komisarz Rządu na miasto Warszawę, zabierając ze sobą policję, większość straży pożarnej, autobusy a nawet szpitale wojskowe.

W nocy z 6 na 7 września Naczelnny Wódz przeniósł swój sztab do Brześcia.

Trudną sytuację Warszawy znacznie pogorszyło paniczne przemówienie radiowe w nocy z 6 na 7 września płk. Umiastowskiego, wzywające wszystkich zdolnych do broni, by natychmiast opuszczali Warszawę i szli na wschód. Wezwanie to pogłębiło chaos organizacyjny, wprowadziło dezorientację i rozprężenie. Miasto opuściły tysiące warszawian. Dokonała się masowa, dzika ewakuacja. Tłumy pieszych z tobołkami, dorożki, wózki dziecięce, samochody płynęły bez przerwy, kierując się na mosty warszawskie. Wobec braku policji i żandarmerii oraz dezorganizacji aparatu administracyjnego, spowodowanej ucieczką Jaroszewicza, trudno było opanować rozszalałą panikę. Gen. Stachiewicz natychmiast zawiesił w czynnościach płk. Umiastowskiego powołując na jego miejsce ppłk. Lipińskiego. Gen. Wacław Stachiewicz, rodowity lwowianin, ukończył VIII Gimnazjum w Lwowie oraz wydział filozoficzny Uniwersytetu Jana Kazimierza. W wojnie 1939 r. pełnił funkcję szefa Sztabu Naczelnego Wodza. Do 9 września pozostawał w Warszawie, skąd kierował walkami wszystkich armii polskich na środkowym odcinku frontu.

By bronić Warszawy musiał gen. Czuma czerpać środki i zasoby z korpusu warszawskiego, z terenu którego nie znał i którym nie rozporządzał. Potrzebne było wszystko, najbardziej zaś środki łączności, saperzy, amunicja, zaopatrzenie, kuchnie polowe, a ponadto oficerowie, którzy mogliby tym wszystkim kierować. Wszystko to było w dyspozycji Mieczysława Trojanowskiego, dowódcy Okręgu Korpusu Nr. 1 w Warszawie. Podczas wizyty gen. Czumy w Korpusie gen. Trojanowski zapewnił, że spełniono wszystkie zadania dowództwa obrony Warszawy.

A tymczasem stało się coś zupełnie nieoczekiwane-
go. Gen. Trojanowski wsiadł prosto do samochodu
nic nikomu nie mówiąc, wyjechał z Warszawy, burząc
cały aparat Okręgu Korpusu, tak bardzo potrzebny
do przygotowania obrony stolicy.

Doszło do tego, że gen. Czuma nie znając terenu,
składów, magazynów, nie mając ludzi, którzy tym
gospodarzyli, stanął wobec konieczności utworzenia
specjalnej jednostki pod kierownictwem ppłk Winiar-
skiego, której zadaniem było rozpoznanie wszystkich
magazynów, składów, fortów i t.p. Ludzie tej jedno-
stki zmuszeni byli niejednokrotnie rozwalać siłą
drzwi składów, wysadzać dynamitem bramy starych
fortów, nie mając do nich kluczy i – jak wspomina
płk. Tomaszewski – znajdując w nich skarby w po-
staci nowiuteńkich haubic 100 mm, połówek 75 mm
i skarbów nad skarbami, luf zapasowych do „bofor-
sów”. Masowa ucieczka warszawskiej wyższej kadry
oficerskiej miała i inne, późniejsze reperkusje.
Po kapitulacji Warszawy umowa kapitulacyjna prze-
widywała wydelegowanie do dowództwa armii nie-
mieckiej generała z odpowiednim sztabem specjalis-
tów, którzy mogliby załatwiać szczegóły techniczne
przekazania miasta. Płk. Stanisław Rola-Arciszewski,
dowódca broni pancernej armii „Łódź”, a następnie
zastępca szefa sztabu armii „Warszawa”, tak wspo-
mina:

„Ale żaden z generałów znajdujących się w War-
szawie nie mógł podjąć się tej funkcji wobec nie-
znajomości warunków miejscowych. Wszyscy oni byli
to ludzie obcy. Miejscowych przecież „wyewakuowa-
no” tak gruntownie, że np. o magazynach żywno-
ściowych dowiadywali się głodujący obrońcy War-
szawy często po ujawnieniu ich zawartości przez
niemiecką bombę. Wobec tego postanowiono, że do
tego muszę nadawać się ja pomimo tego, że nie byłem
generałem”.

Płk. Rola-Arciszewski, urodzony w Kołomyi, szko-
łę średnią i studia wyższe ukończył we Lwowie
i tamże pracował w sztabie DOK Nr. VI.

Stefan Starzyński, prezydent Warszawy, odmówił
wykonania rozkazu ewakuacji. Wtedy gen. Czumie
nasuwa się myśl, by Starzyńskiego mianować komisa-
rzem cywilnym przy Dowództwie Obrony Warszawy.
Odbywa się to 8 września. Odtąd Starzyński i gen.
Czuma stanowili zgodną całość. Siłę oporu, reprezen-
towaną przez gen. Czumę przejął Starzyński i przelał
na ludność Warszawy.

W dniu 6 września przybył do Dowództwa Obrony
Warszawy gen. Kazimierz Sosnkowski. Gdy dowie-
dział się o bardzo skromnych siłach obrony, wskazał
na możliwość zatrzymania przejeżdżających przez
Warszawę transportów 5 lwowskiej DP, tj. 26 i 40 pp
oraz części artylerii tej dywizji, kierowanej do armii
„Pomorze”.

7 września przybyły do Warszawy trzy bataliony
40 pp „Dzieci Lwowskich”. Stan pułku w chwili
wymarszu ze Lwowa wynosił: 91 oficerów oraz 3212
szeregowych, wraz z podchorążymi i podoficerami.
Skład narodowościowy: 75% Polaków, 22% Rusi-
nów i 3% Żydów. Żołnierze pochodzili z rejonu
Lwowa i Tarnopola oraz w niewielkiej części ze
Śląska.

Bataliony 40 pp, po przybyciu do Warszawy do-
chodziły nocą z 7 na 8 września na pozycje obronne,
na których w kilka godzin później odparły pierwszy,
zmasowany atak 4 niemieckiej dywizji pancernej na
Warszawę. Uczestnik tych walk, por. Jan Grzybowski
z 40 pp, tak wspomina:

„Marsz nocny odbywał się wolno ze względu na
zatarasowane ulice. Mosty po dziennym bombar-
dowaniu były podziurawione tak, że trzeba było
zwiększać odstęp między czwórkami i zwalniać tem-
po marszu. Trasą marszu ciągnęły w odwrotnym
kierunku kolumny wojska, ludność cywilna oblado-
wana bagażami, pojedynczy żołnierze, zabłąkane fur-
manki wyladowane amunicją i powożone przez żoł-
nierzy. Żołnierze z obu batalionów 40 pp, wykorzysta-
jąc istniejącą sytuację, zaopatrzyli się w cekaemy,
erkaemy, granatniki i karabiny przeciwpancerne oraz
duży zapas amunicji”.

Dowódca 40 pp ppłk Józef Kalandyk otrzymał
zadanie zorganizowania pierwszej linii obrony o dług.
ok. 8 km, na odcinku „Zachód”. Do 40 pp włączono
wówczas II batalion 41 pp z Suwałk, z 29 Grodzień-
skiej DP. Obrona obejmuje dzielnice: Czyste, Ochotę
i Wolę.

8 września, ok. godz. 16-j, straż przednia niemiec-
kiej 4 dywizji pancernej uderza szerokim wachla-
rzem na Wolę i Mokotów, podejmując próbę opa-
nowania Warszawy z marszu. Rozwija się krótki,
mocny bój. Pierwsze płonące czołgi i rozbite samo-
chody niemieckie uspokajają i żołnierz widząc sku-
tki swojej broni, a dowódców swoich przy sobie,
nabiera zaufania i wiary. Niemcy pewni byli łatwego
sukcesu. Pierwszym walkom na Ochocie towarzy-
szyły informacje radia niemieckiego o zajęciu stolicy
Polski. O zmierzchu Niemcy zaprzestali natarcia,
pozostawiając na przedpolu liczne rozbite lub unie-
ruchomione czołgi.

W nocy z 8 na 9 września przybył III batalion 26
pp z lwowskiej 5DP, pod dowództwem mjr Decows-
kiego i oddany został rozkazem gen. Czumy na
odcinek Marymont.

O świcie 9 września Niemcy rozpoczęły przygoto-
wania do natarcia od bombardowania pozycji pol-
skich na Ochocie i Woli. Pod osłoną artylerii 4 nie-
miecka dywizja pancerna ruszyła w dwóch kolum-
nach do ataku na Warszawę. Jedna kolumna posu-
wała się wzdłuż ul. Grójeckiej, nacierając na Ochotę,
druga ruszyła na Wolę.

Atak na Wolę został szybko i skutecznie odparty
przez III batalion 40 pp. Do walki z czołgami
wykorzystano beczki z terpentyną, z miejscowego
zakładu przemysłowego, które eksplodując zalewały
płomieniem ten „wawóz śmierci”, jaki tworzyła z obu
stron zabudowana ulica Wolska. Z palących się
czołgów i transporterów wyskakiwali Niemcy, stara-
jąc się ukryć w pobliskich domach.

Pomysłodawcą i realizatorem tej formy obrony był
por. Pacak-Kuźmirski, który po udanej ucieczce
z oflagu, będzie potem komendantem Inspektoratu
AK w Stryju i współorganizatorem Bazy AK „To-
pór”, na pograniczu województw: lwowskiego, stanis-
ławowskiego i tarnopolskiego, chroniącej tysiące lud-
ności polskiej przed UPA.

Walki na Ochocie przeciągnęły się do godzin popołudniowych i miały dramatyczny przebieg na skutek chwilowego załamania się oporu w III batalionie suwalskiego 41 pp.

Niemcy niewielką ilością czołgów podeszli aż do pl. Narutowicza. O zmierzchu lwowscy żołnierze 40 pp ruszyli do natarcia, odbierając wszystko do godz. 4 nad ranem i przywracając pierwotną linię pozycji własnych.

Po walkach na Ochocie i Woli dowódca 4 D-Panc. gen. Reinhardt zdawał sobie sprawę, że jego dywizja po poniesionych stratach nie nadaje się do działań zaczepnych. Świat jednak dowiedział się, że Warszawa została zajęta. Dlatego też dowódca XVI korpusu gen. Hoepner polecił wznowić natarcie. Licząc na zaskoczenie 10 września Niemcy zaatakowali pododcinek „Mokotów”, usiłując przebić się na tyły polskich pozycji na Ochocie. Natarcie, wzięte w krzyżowy ogień szybko załamało się. W ciągu 3 dni walk o Warszawę Niemcy ponieśli duże straty w sile żywej oraz utracili znaczne ilości broni i sprzętu, w tym ok. 50% czołgów.

Polacy obliczali straty przeciwnika znacznie poniżej rzeczywistych. Np. według dokumentów niemieckich w dniu 9 września 35 pułk uderzył na Ochotę 120 czołgami, z czego na pozycje wyjściowe powróciło 57, a 63 zostało zniszczone lub ciężko uszkodzone. 4 D-Panc. zrezygnowała z dalszego natarcia na Warszawę, ograniczając się jedynie do blokowania miasta od zachodu i południa.

Plk. Tomaszewski tak podsumowuje wynik tych walk:

„Zajęcie Warszawy w dniu 9 września byłoby, moralnie biorąc, dniem końca wojny polsko-niemieckiej w 1939 roku. Zwycięskim odparciem czołgów w dniu 9 września gen. Czuma dał podstawę do przedłużenia jej o dalsze 3 tygodnie. W tym leży jego zasługa”.

Za swoje bohaterstwo żołnierze 40 pp zapłacili wysoką cenę. Straty żołnierzy 40 pp, włączając w to również I batalion 40 pp, broniący mostów na Wiśle od strony Pragi, wyniosły do końca walk o Warszawę: 385 zabitych, 520 rannych i 100 zaginionych. Orderami *Virtuti Militari* odznaczonych zostało 99 oficerów i szeregowych 40 pp, a Krzyżem Walecznych 104 osoby.

W pierwszych dniach wojny znalazła się w bardzo ciężkim położeniu armia „Łódź”, która przez 5 dni wytrzymała uderzenia niemieckiej 8 armii, dowodzonej przez gen. Blaskowitza. Jej dowódcą był, urodzony w Grodnie, gen. Juliusz Rómmel.

Po zbombardowaniu kwatery głównej armii „Łódź”, jej dowódca utracił możliwość dowodzenia. Gen. Rómmel przybył w dniu 8 września do Warszawy, gdzie w tym samym dniu doszło do utworzenia Grupy Armii „Warszawa” pod jego dowództwem, jako najstarszego stopniem generała. Podlegać mu miała formalnie obrona Wisły, od ujścia Pilicy do Modlina. Szefem sztabu armii „Warszawa” zostaje płk. Pragłowski, a jego zastępcą płk. Rola-Arciszewski, obaj synowie Ziemi Lwowskiej.

W dniu 9 września, wojska armii „Poznań” i „Pomorze” pod dowództwem gen. Tadeusza Kutrzeby, rozpoczęły natarcie z nad Bzury na skrzydło niemieckiej 8 armii gen. Blaskowitza, aby odsłonić sobie drogę do Warszawy.

Bitwa nad Bzurą dała Warszawie czas na skonsolidowanie i wzmocnienie Obrony. Od 13 września nastąpiło na zachodnim odcinku w Warszawie odprężenie. Wyłoniło się natomiast niebezpieczeństwo okrążenia Warszawy od wschodu przez niemiecką 3 armię gen. Küchlera. Na tym kierunku dostępu do Warszawy broniła grupa operacyjna gen. Juliusza Zulaufa, rodowitego lwowianina, dowódcy lwowskiej 5 DP.

Przygotowania obronne na Pradze były z inicjatywy gen. Czumy realizowane wcześniej, bo już od 6 września. Ze względu na szczupłość sił drugi rzut obrony stanowiła bezpośrednia obrona mostów na Wiśle, którą zapewniał I batalion 40 pp, z działami przeciwpancernymi.

Grupa operacyjna gen. Zulaufa, którą tworzyły 20 Baranowska DP oraz części 5 Lwowskiej DP i 8 Modlińskiej DP, zostaje ściągana do Warszawy, celem obrony Pragi. W grupie tej były świetne pułki: 26 pp z Gródka Jagiellońskiego, pod dowództwem ppłk Franciszka Węgrzyna oraz 21 pp, pod dowództwem płk Stanisława Sosabowskiego, stanisławowianina. W połowie września kierownictwo obrony Warszawy przedstawiało się następująco: dowódcą całości obrony Warszawy był gen. Czuma, Warszawy lewobrzeżnej płk Porwit, a Pragi — gen. Zulauf.

W połowie września walki na terenie Warszawy lewobrzeżnej były mniej intensywne, natomiast na Pradze nieprzyjaciół parokrotnie usiłował wtargnąć do miasta.

16 września silne natarcie niemieckie wzdłuż ulicy Grochowskiej zostało odparte atakiem na bagnety 21 pułku Dzieci Warszawy, pod dowództwem płk Sosabowskiego, podczas którego wzięto do niewoli 120 Niemców.

Od 19 września zaczęły napływać do Warszawy, po niezwykle ciężkich i krwawych walkach, jednostki armii „Poznań” i „Pomorze”.



Gen. dr Roman Abraham
1891-1976 r.

Tu na szczególną uwagę zasługuje Grupa Operacyjna Kawalerii pod dowództwem gen. Romana Abrahama, rodowitego lwowianina, owianego legendą walk w obronie Lwowa w 1918 r. W jej skład wchodziły dwie brygady kawalerii: Wielkopolska i Podolska, Brygadę Podolską tworzyły: 6 pułk ułanów Kaniowskich ze Stanisławowa, 9 pułk ułanów z Trembowli i 14 pułk ułanów Jazłowieckich ze Lwowa. Sztandary 9 pułku uł. i 14 pułku uł. (po raz drugi) zostaną potem odznaczone orderami *Virtuti Militari*.

Grupa Operacyjna (GO) Kawalerii gen. Abrahama, w końcowej fazie bitwy nad Bzurą, otrzymała od gen. Kutrzeby zadanie oczyszczania Puszczy Kampinowskiej w kierunku wschodnim i torowania armiom „Poznań” i „Pomorze” drogi ku stolicy.

Po niezmiernie zaciętych i krwawych walkach, często w szyku pieszym, obie brygady podeszły w rejon Sierakowa, gdzie całą noc i dzień 19 września trwały ciężkie boje.

W dniu 19 września, ok. godz. 13-ej, udaje się na rozpoznanie 14 pułk ułanów Jazłowieckich, pod dowództwem płk Edwarda Godlewskiego.



Płk Edward Godlewski

Pułk niezauważony przez nieprzyjaciela dochodzi do lizjery lasów na wysokości Wólki Węglowej. Stąd w linii rozwiniętych szwadronów płk Godlewski rusza do szarży. Na czele cwałuje 3 szwadron por. Mariana Walickiego, który w tym starciu pada śmiertelnie ranny. Za nim, na stanowiska niemieckie wpadają dalsze szwadrony, rąbiąc i tratując stawiających opór Niemców. Zaskoczony nieprzyjaciel, nie wytrzymując szarży porzuca stanowiska, chroniąc się wśród zabudowań. Deszcz pocisków nie zdoła zatrzymać ułanów, którzy wraz ze sztandarem pułku przebijają się przez stanowiska niemieckie i poprzez Młociny osiągają na Bielanych Warszawę, otwierając drogę do stolicy.

Nocą z 19 na 20 września G.O. Kawalerii, a za nią ocalałe resztki Grupy Armii gen. Kutrzeby wmaszerowują tą drogą do Warszawy.

Gen. Abraham tak pisze o tej szarży:

„Nasuwa się porównanie z wielkopomną szarżą 3 szwadronu szwoleżerów Kozietulskiego pod Samosierrą 30 listopada 1808 r., tylko potęga ognia z jaką spotkali się ułani Jazłowieccy była wielokrotnie większa, a straty bardziej bolesne...

...W tym dniu pod Wólką Węglową poległ rtm. dypl Stanisław Łubieński, prawnuk w prostej linii Tomasz Łubieńskiego spod Samosierry, który ocalał Niegołęwskiego i resztki szwadronu szwoleżerów... Szarża Kozietulskiego przez ponad 100 lat powodowała eksplozję patriotycznych uczuć czterech polskich pokoleń. Znalazła wspaniały oddźwięk w polskiej literaturze, poezji, stając się najpiękniejszym tematem dla naszych wieszczów narodowych... W Polsce, do dziś dnia ani literatura, ani poezja, ani sztuka nie dały naszemu społeczeństwu obrazu czynu Jazłowieckich ułanów.

Mamy setki wydawnictw z zakresu wojskowości, stawiamy wiele pomników, tablic dla upamiętnienia czynów i zasług żołnierskich, ale głucho o heroicznej szarży 14 pułku ułanów Jazłowieckich... Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa Narodu Polskiego, Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, Izba Pamięci – zgodnie pomijają czyny tego dzielnego pułku. I mimo ustawicznych naszych petycji do dziś nie ma w Wólce Węglowej widocznego symbolu pamięci”.

Cytowane wypowiedzi gen. Abrahama pochodzą z jego artykułu pt.: „Walki pod Laskami i Sierakowem”, złożonego w 1964 r. w redakcji „Wojskowego Przeglądu Historycznego”. Artykuł ten ukazał się w tymże kwartalniku dopiero w ćwierć wieku później, w 1989 r., jako ostatnia pozycja tomu poświęconego Wrześniowi 1939 r. Wojskowy Przegląd Historyczny wydawany jest przez Wojskowy Instytut Historyczny MON, który jeszcze w 1989 r. nosił nazwę: „Im. Wandy Wasilewskiej”. Ta nazwa wyjaśnia wszystko.

Ze wszystkich jednostek kawalerii, które znalazły się w oblężonym mieście, utworzona została zbiorcza brygada kawalerii pod dowództwem gen. Abrahama, która wzmocniła obronę Warszawy lewobrzeżnej.

Ocalałe, mocno uszczuplone dywizje gen. Kutrzeby, przeszły pod rozkazy płk. Porwita.

Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, rodowity lwowianin, dowódca Grupy Operacyjnej w armii „Pomorze”, po dotarciu do Warszawy zgłosił się u gen. Rómmela, prawdopodobnie 20 września, zobowiązując się po kapitulacji stolicy do podjęcia organizacji armii podziemnej, na co otrzymał zgodę. Stanowiło to początek organizacji Służby Zwycięstwa Polski, późniejszej kolejno ZWZ i AK.

Po 20 września nastąpił wzrost nacisku Niemców na Warszawę, którzy zgrupowali wokół stolicy ok. 30 dywizji na froncie o długości blisko 50 km. Rozpoczął się nieustający ostrzał artyleryjski oraz systematyczne bombardowania lotnicze. Brak amunicji, wody, żywności, światła, środków opatrunkowych, szerzące się pożary, których nie było czym ugasić, duża ilość zabitych i rannych oraz tragiczne położenie ludności cywilnej, jak również, i to przede wszystkim całkowita bezczynność naszych wojennych sojuszników zachodnich zmusiły dowództwo obrony Warszawy do podjęcia decyzji o kapitulacji stolicy.

28 września, o godz. 13.15 podpisano akt kapitulacji honorowej. Ze strony polskiej kapitulację podpisał gen. Kutrzeba, ze strony niemieckiej, dowódca 8 armii gen. Blaskowicz.

W walkach o Warszawę w 1939 r. brała udział 5 Lwowska DP oraz trzy pułki ułanów, tworzące Podolską Brygadę Kawalerii.

Z przedstawicieli Ziemi Lwowskiej składało się Dowództwo Obrony Warszawy oraz liczna, wyższa kadra oficerska. Wymienić tu należy lwowskich generałów: Czumę, Stachewicza, Zulauf, Abrahama i Tokarzewskiego-Karaszewicza oraz pułkowników i podpułkowników: Tomaszewskiego, Kalandyka, Porwita, Komorowskiego, Węgrzyna, Sosabowskiego, Pragłowskiego, Rołę-Arciszewskiego, Godlewskiego, Rudnickiego, Liszko, Strzeleckiego, Sadowskiego. Nie jest to na pewno pełna lista. Wielu z nich zabył się i da się poznać światu w dalszych latach wojny.

Najstarszy stopniem na obszarze Warszawy gen. Juliusz Rómmel skierował do Lwowskiej 5 Dywizji Piechoty słowa pożegnalne, w których m.in. pisze: „Tam, gdzie stał żołnierz lwowskiej 5 dywizji piechoty, tam byłem spokojny, że wszystkie natarcia niemieckie zostaną rozbite... Najcięższe walki przypadły na odcinku Woli i Ochoty batalionom II i III 40 pp i to w najkrytyczniejszym momencie walki w dniach

8 i 9 września, kiedy obrona nie była jeszcze skonsolidowana i kiedy Niemcy chcieli opanować miasto przez zaskoczenie, rzucając do natarcia na tym odcinku duże ilości broni pancерnej z piechotą, wspierane przez potężną artylerię i lotnictwo. Dzięki bohaterstwu żołnierzy 40 pp skończyło się to pogromem Niemców. Dzień ten miał ogromne znaczenie dla całego przebiegu dalszej obrony Warszawy.

...Stwierdzam, że dywizja wasza była jednostką wzorową, silną duchem, zdyscyplinowaną, pewną w najtrudniejszych sytuacjach bojowych. Rozstaje się obec-

nie z wami inoje „lwowskie dzieci”, dziękuję wam w imieniu Ojczyzny za wykazane bohaterstwo, upór i poświęcenie, za trudy i krew przelaną, które to wykazaliście wszędzie, gdzie tego żądał od was obowiązek żołnierski”.

Gdy w pięć lat później, 1 sierpnia 1944 r. powstanie Warszawa, na jej czele staną znowu synowie Ziemi Lwowskiej: gen. Tadeusz Bór-Komorowski, dowódca AK, gen. Antoni Chruściel – „Monter”, dowódca Powstania Warszawskiego, płk Jan Mazurkiewicz – „Radosław”, legendarny dowódca zgrupowania „Radosław”.

DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ

Rok 1939 – my na Węgrzech (cd)

„Niech zostaną te nazwiska na wieczną rzeczy pamiątkę na dowód, jacy byli Polacy z Kresów Wschodnich, miłośnicy Lwowa, Drohobycza, Stryja i Turki nad Stryjem, Borysławia, Sambora i tych innych miast i wsi...” (Marek Celt „Biali Kurierzy” Warszawa 1992, s.308).

Kiedy w 1911 roku w Budapeszcie polski ksiądz Wincenty Danek podpisał protokół z powołania Komisji Budowy Polskiego Kościoła w budapeszteńskiej dzielnicy Köbanaya, białych kurierów nie było jeszcze na świecie. Nikt też nie przypuszczał jaką wielką rolę odegra w latach II wojny światowej dla rzeszy polskich uciekinierów polski kościół wraz ze schroniskiem – Domem Polskim wybudowany nieco później.

Ksiądz Danek urodził się też na Kresach Połud.-Wsch. w uroczym, zamieszkałym w większości przez Ormian pokuckim miasteczku Kutu. Tu przybył na świat w roku 1870. Był absolwentem Wydziału Prawa Uniwersytetu Lwowskiego. Po tragedii rodzinnej wstąpił do seminarium i święcenia kapłańskie otrzymał we Lwowie.

Z końcem XIX wieku spora liczba emigrantów z Galicji osiedliła się w peryferyjnej wówczas dzielnicy Budapesztu – Köbanaya. Kilka lat później przybył tam do pracy duszpasterskiej właśnie ks. W. Danek, wysłany przez arcybiskupa metropolitę lwowskiego ks. Józefa Bilczewskiego. Arcybiskup troszczył się o polskie wychodźstwo zarobkowe na Węgrzech. Dwukrotnie przybył do stolicy Węgier w 1905 i 1907 roku, biorąc udział w misjach urządzanych dla polskich robotników, oraz uzyskał zezwolenie na stałe osiedlenie się tam polskiego kapłana. Za aprobatą arcybiskupa ks. Danek rozpoczął działania mające na celu budowę polskiego kościoła na Köbanaya. Większą część funduszy na ten cel zdobył już po I wojnie światowej od Polonii Amerykańskiej, wśród której przebywał w 1923 r. Nie szczędził również datków Węgrzy i Polacy w Polsce. Prace budowlane ruszyły w szybkim tempie po bytności i poświęceniu w 1927 roku placu i wznoszonego kościoła przez arcybiskupa lwowskiego ks. Władysława Bandurskiego. Kościół polski projektował Węgier Aladar Arkay.

W 1939 roku Polska była sojusznikiem mocarstw zachodnich, Węgry zaś, które podpisały pakt antykominternowski, a później 20 listopada 1940 r. przystąpiły do „osi” trzech mocarstw, znajdowały się „po drugiej stronie”.

Napad hitlerowski 1 IX 1939 r. na Polskę postawił rząd węgierski w niełatwej sytuacji politycznej. Potrafiła jednak jej sprostać tradycyjna przyjaźń z Polską, a jednoznacznym jej dowodem była wszechstronna pomoc udzielona przez rząd węgierski uchodźcom wojskowym i cywilnym z Polski.

Jeszcze w kwietniu 1939 minister spraw zagranicznych Węgier István Csaky w nocy do ambasadora węgierskiego we Włoszech, informował, że rząd węgierski nie jest skłonny wystąpić przeciw Polsce pośrednio czy bezpośrednio. W lipcu 1939 r. premier hrabia Pál Teleki stwierdził, że jego kraj nie podejmie żadnej akcji wojskowej przeciw Polsce ze względów moralnych. Na pretensje Hitlera minister Csaky odpowiedział, że godność naródowa nie pozwala Węgrom walczyć przeciw Polsce. Niemcy nie ustępowały i 9 IX 1939 roku Ribbentrop zażądał zgody rządu węgierskiego na przemarsz wojsk niemieckich przez terytorium węgierskie by mogły uderzyć od strony pół-wsch. granicy polskiej. Rząd węgierski zgody nie wyraził. András Horthy poseł Węgier w Polsce, już 13 IX 39 r. zwrócił się z prośbą do swego rządu o ułatwienie Polakom przedostania się na Węgry. W połowie września 1939 r. na osobiste polecenie premiera Węgier Pála Telekiego granica węgierska z Polską stała otworem przed polskimi uchodźcami cywilnymi i wojskowymi.

W tragicznym dniu 17.IX.1939 r. z polecenia ministra spraw zagranicznych Polski, Józefa Becka udał się do Budapesztu vice-minister Jan Szembek by omówić z regentem Horthym sprawę życzliwego przyjęcia tych oddziałów sił zbrojnych polskich, które zdołają przedrzeć się na Węgry.

Od połowy września 1939 roku zaczęły przechodzić przez przełęcz Tatarską i inne przełęcze w Karpatach oddziały Wojska Polskiego. Schronienie na Węgrzech między innymi znalazły: 10 Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej płk. Stanisława Maczka,

3 Brygada Strzelców Górskich, ośrodki zapasowe 52 pułku piechoty, 11 pułku artylerii lekkiej, 3 pułku artylerii ciężkiej, ośrodki formowania 5 Pułku Strzelców Podhalańskich, 4 pułku saperów, oddziały zapasowe 2 i 9 pułku ułanów, Powiatowa Komenda Uzupełnień ze Stryja, Sztaby dowództw okręgów korpusów z Poznania, Warszawy, Przemyśla, Lwowa i Krakowa. Ponadto granicę przekraczały w zwartym szyku, licząc na szczuble batalionu elementy 49 i 53 pułku piechoty z 11 Karpackiej Dywizji Piechoty, batalion saperów kolejowych, bateria 11 pułku artylerii przeciwlotniczej, 5 batalion telegraficzny, oddział broni pancernej z Brześcia, oraz Wojskowy szpital nr 9, jak też rozbite jednostki Korpusu Ochrony Pogranicza. MTL (Węgierska Agencja Prasowa) 23 IX donosiła, że na niektórych przejściach granicznych w Karpatach polska służba graniczna trwa jeszcze na posterunkach." Prasa węgierska wykazywała generalnie orientację propolską, pomimo rozbieżności politycznych donosiła o wszystkich wydarzeniach z frontu niemiecko-polskiego, podkreślając bohaterską obronę Warszawy, wyrażając uznanie polskim żołnierzom walczącym z przeważającymi liczebnie i technicznie oddziałami niemieckimi. Czołowy dziennik węgierski „Fuggetlen Magyarországnak” powołując się na krytyczne momenty w historii Polski, przestrzegał Niemców, „że naród polski mogą podbić, rozgromić, lub na jakiś czas zakuć w kajdany, lecz ten szybko zrzuci swe jarzmo, siła umiłowania wolności przez ten naród czyni go zawsze nieustraszoną.”

Prasa węgierska przypominała też wiele wspólnych momentów z historii stosunków polsko-węgierskich, przyjaźń między obu narodami, oraz informowała czytelników o agresji niemieckiej na Polskę, walce narodu polskiego przygotowując w ten sposób ludność Węgier do życzliwego przyjęcia uchodźców polskich.

Zgodnie z ustnym poleceniem premiera Telekiego i Keresztosa Fischera (minister spraw wewn.) na półn-wsch. tereny Węgier oddelegowano szereg pracowników administracji państwowej oraz odpowiednich dowódców wojskowych celem przyjęcia przybywających z Polski uchodźców wojskowych i cywilnych. Prócz serca Węgrzy wykazali dużą sprawność organizacyjną w rozlokowaniu i wyżywieniu tylu tysięcy Polaków. 28 IX 39 r. granica polsko-węgierska została wprowadzie oficjalnie zamknięta, ale do połowy 1940 roku przekraczała ją nadal fala uchodźców cywilnych i wojskowych. z okupowanej przez Sowieców Małopolski Wschodniej. W sumie na Węgrzech znalazło się około 140 tysięcy Polaków. Po zamknięciu granicy zaczęła się era białych kurierów. W bardzo trudnych warunkach terenowych przeprowadzali z Polski do Węgier zazwyczaj harcerze. Ci ze Lwowa, Drohobycza, Borysławia, Turki. Jednym z najmłodszych (miał zaledwie 14 lat) był Władysław Ossowski z Iwaskowicz pow. Turka nad Stryjem, który już w październiku 1939 roku przeprowadził na Węgry ośmiu polskich oficerów. Do lipca 1940 roku ten „król białych kurierów” (tak nazwał go Marek Celt w swej książce) przeprowadził z Małopolski Wschodniej na Węgry do Budapesztu około 100

polskich ochotników do wojska polskiego we Francji, oraz ludzi zagrożonych aresztowaniem i deportacją. A jak wyglądała taka przeprawa? „Władzio i Rudek (tj. Władysław Ossowski i Rudolf Rejner — wyjaśnienie moje D.T.) dokonywali na granicy cudów kurierskiej waleczności. „Nie tylko przeprowadzali wszystkich powierzonych swej opiece ludzi na Węgry, do Laturki, ale wielu z nas w czasie samej drogi po prostu uratowali od śmierci. Ale doszliśmy — to ciągnieni przez naszych dwóch harcerzy, to popychani pod górę wspierani, ukrywani w załamaniach skał w starych okopach z pierwszej wojny światowej. Doszli wszyscy co do jednego. Wzięli nas w opiekę żandarmi węgierscy, zaprowadzili na placówkę, dali jeść, pić, jakieś lekarstwo, pozwolili odpocząć” — (Marek Celt „Biali Kurierzy” s. 319). Kolega Ossowskiego z kurierskiego szlaku (Lwów Drohobycz — Zawadka — Laturka — Munkacz — Miskolc — z odnogą na Debrecen — Budapeszt) Zbigniew Cyganek, harcerz z Przemyśla przeprowadził na Węgry płk. Władysława Sosabowskiego, późniejszego generała, pierwszego dowódcę Brygady Spadochronowej, bohatera bitwy pod Arnhem.

Ossowski prowadząc w lipcu 1940 roku kolejną grupę wpadł wraz z nią w ręce NKWD. Przeszedł przez koszmar kilkunastu sowieckich więzień, m.in. lwowskich Brygidek i został zesłany do Krasnojarskiego Kraju (po 50 latach wrócił z częścią rodziny i mieszka w Legnicy, nie mogąc doczekać się rozwiązania spraw mieszkaniowych).

Nie zna się nazwisk wszystkich Kurierów, kilku przepłaciło życiem swoją służbę dla Polski — jak Jan Antoni Krasulski ze Lwowa, harcerz Szczepan Michalski i Ferdynand Freimuth z Borysławia.

Akcja białych kurierów przechodzących na Węgry z Małopolski Wschodniej okupowanej przez Sowieców była bardziej ryzykowna od takiej samej akcji prowadzonej z obszaru okupacji niemieckiej. Biali Kurierzy pełnili swoją służbę w tej części Polski graniczącej z Węgrami która niestety była zamieszkała przez ludność ukraińską, często wrogo do Polski nastawioną.

Od samego początku uchodźcy polscy spotykali się na Węgrzech z ogromną życzliwością. Rząd węgierski na czele którego stał regent Horthy nie zlikwidował zaraz po kampanii wrześniowej polskich placówek dyplomatycznych. Poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej istniały w Budapeszcie przy Vaci-utca 34 oraz w Ungvár. W miarę wzrastających pretensji niemieckich zamknięto je w styczniu 1941 roku.

Opiekę nad uchodźcami polskimi sprawował Węgiersko-Polski Komitet, na którego czele stanęła hrabina Erzsébet Szapary. Komitet ten prowadził w Budapeszcie dom noclegowy i kuchnię, a w miejscowościach przygranicznych otworzył stacje opiekuńcze. Pomoc dla Polaków świadczył również Węgierski Czerwony Krzyż. Współpracował z nimi ks. Danek, a w kościele polskim na Köbanaya w niedzielę mszy św. słuchał tłum uchodźców. W schronisku — Dom Polski ksiądz Wincenty przysparzał wszystkich potrzebujących. Polacy kierujący się do Francji, deponowali w polskim kościele pamiątki z kraju oraz sztandary różnych organizacji. Ks.

Wincenty Danek w 1945 r. dokonał żywota tak pełnego ofiarności dla swoich rodaków. Został pochowany wśród nich na polskiej kwaterze na cmentarzu Rakoskersztur w Budapeszcie.

Rząd węgierski w 1939 już 21 września powołał Biuro d/s Uchodźców Cywilnych w IX Departamencie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na jego czele stanął dr Józef Antall wypróbowany przyjaciel Polaków. Zmarł w 1974 roku a na jego nagrobku obok herbu Polski jest napis „Semper Fidelis — Poloniae”.



Delegacja Zarządu Głównego TML i KPW oraz delegacja Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej III Obszaru Lwowskiego ze sztandarem przy grobie dra Józefa Antalla

Zgodnie z prawem międzynarodowym żołnierze polscy byli internowani w przeszło 100 obozach wojskowych, które zlokalizowano w koszarach, folwarkach, obozach, pensjonatach itp. Warunki więc były różne. Największy obóz mieścił się w Esztergom, gdzie przebywało przeszło 4 tysiące polskich żołnierzy. Utworzono też przedstawicielstwo Wojska Polskiego na czele którego stanął generał Stefan Dębiński, a następnie płk Marian Steifor i płk. Aleksander Król. Taka korzystna sytuacja spowodowała, że Budapeszt stał się ważnym miejscem łączności między ośrodkami konspiracyjnymi w kraju i na zachodzie. Działała tu Delegatura Rządu Emigracyjnego, oraz Tajna Organizacja Wojsk kierowana przez majora Jana Mazurkiewicza, i mieściła się baza kurierska „W” podległa Wacławowi

Felczakowi. Stąd ruszali z powrotem przybyli z Kraju Kurierzy wioząc meldunki, pocztę i pieniądze.

Baza „W” utrzymywała łączność z Delegaturą Rządu na Węgrzech i rządem polskim na Zachodzie.

Natomiast organizacją wyjazdu żołnierzy polskich do Francji zajmował się płk dr Mieczysław Młotek, lwowianin były Komendant PKU w Drohobyczu (wysłał w sumie ok. 23 tys. ochotników). Przy współpracy z Węgrami Polacy zorganizowali edukację młodzieży. Czynnych było 27 szkół podstawowych oraz gimnazjum i liceum w Balatonboglar, którym się opiekował jeden z najzaciejszych przyjaciół Polaków Ks. Bela Varga. Był głównym pełnomocnikiem rządu węgierskiego d/s polskich. Jemu zawdzięczają życie dziesiątki polskich kurierów, utrzymujących kontakt z Krajem.

Uchodźcy polscy mieli również możliwość studiowania na Uniwersytecie w Budapeszcie, Węgierskiej Królewskiej Akademii Technicznej i Ekonomicznej. Akademii Weterynaryjnej i Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Otrzymywali oni stypendia wystarczające na utrzymanie. Mogli też zdobywać wykształcenie zawodowe na kursach specjalnie organizowanych dla uchodźców.

Z końcem września 1939 roku ukazał się 1 numer „Biuletynu Informacyjnego dla Uchodźców Polskich” pod red. attache prasowego poselstwa polskiego Jana Ulatowskiego. Od 2 XI 1939 zaczęła wychodzić gazeta „Więści Polskie”. Publikowali w niej m.in. St. Vincenz oraz Lew Kaltenbergh prozaik i poeta (autor wydanej w 1991 r. książki „Ułamki stłuczonego szkła” w której zawarł wspomnienia z lat młodości spędzonych we Lwowie).

„Więści” wychodziły do marca 1944 roku tj. do wkroczenia wojsk niemieckich na Węgry. Sytuacja polityczna zmieniła się wówczas radykalnie. Gestapo aresztowało wkrótce wielu działaczy polskich i współpracujących z nim Węgrów m.in. dr Józefa Antalla.

Polskie obozy wojskowe Niemcy przenieśli do oflagów w Austrii. Lata II wojny światowej mimo swego tragizmu to piękny rozdział kilkuletniej historii przyjaźni polsko-węgierskiej. Kresowianie specjalnie z wdzięcznością wspominają, mimo upływu półwiecza, postawę i pomoc rządu węgierskiego oraz życzliwość i serce całego społeczeństwa węgierskiego w tragicznych latach 1939-45.

Addendum

Na podstawie posiadanych materiałów i relacji prawdopodobnie w sierpniu 1941 r. dokonano włamania do pomieszczeń Poselstwa Polskiego w Budapeszcie. Z rozbitej kasy pancernej zginęły dokumenty dotyczące organizacji przerzutu Polaków z okupowanej Polski. Spowodowało to aresztowania osób związanych z tą akcją. Nie jest jednak ustalona data włamania jak i sprawcy (prawdopodobnie dokonała tego Abwehra. Jest również możliwe, jeśli przyjmiemy datę wcześniejszą, gdy Sowieci i Niemcy byli „sojusznikami”, że obie „zainteresowane strony” maczały solidarnie w tym palce.).

Lubicz

Udział plutonu „GRUNWALD” w akcji „BURZA”

Relację Władysława Załogowicza ps. Felek, Piotr,
— dowódcy plutonu „GRUNWALD” we Lwowie
opracował Maciej Ruszczyński



Władysław Załogowicz

W połowie czerwca 1944 r. mjr Włost zarządził stan alarmowy naszych oddziałów. Byliśmy wtedy w fabryce wyrobów metalowych AZET-a na Łyczakowskiej 108. Bezpośredni nasz dowódca por. Roman Madurowicz ps. Osa dokonał przeglądu kadry podległego mu rejonu ASTER, wschodniej dzielnicy Lwowa. Każdemu z nas przydzielił odpowiednie miejsce i zadanie do wykonania. Plutonowi GRUNWALD powierzono dozоровanie odcinka od cegielni przy ul. Pasiecznej do Majerówki. Odcinek po naszej lewej stronie tzn. poza cegielnią obsadził plutonowy Jan Siedlerski ps. Kret, a z prawej strony sąsiadowaliśmy z oddziałem sierżanta Leona Roka. Zadaniem naszym był stały dozór powierzonego odcinka oraz osłona i przeciwdziałanie oddziałom UPA. Przy obsadzaniu odcinka uzbrojenie nasze było bardzo słabe. Początkowo na 30 ludzi było 7 karabinów różnych typów, 1 pistolet maszynowy „pepesza”, 6 rewolwerów, bagnety oraz spora ilość granatów. Dopiero z początkiem lipca otrzymaliśmy jeden karabin maszynowy lekki (LKM) produkcji niemieckiej, około 10 karabinów, 8 stenów, 10 rewolwerów bębnowych Smith-Weston, amunicję i angielskie granaty — wszystko to pochodziło ze zrzutów. Nasze umundorowanie — to mundury z Baudienstu. Wybudowaliśmy kilkanaście ziemnych stanowisk bojowych. Ponieważ zbliżał się front pełniliśmy służbę w pełnej gotowości bojowej. W drugiej połowie lipca polecono nam założenie biało-czerwonych opasek. Od kilku już dni słychać było nasilające się odgłosy zbliżającego się frontu. Wtedy to z 21 na 22 lipca doszło do pierwszych starć pomiędzy patrolami a sporadycznie ukazującym się nieprzyjacielem, będącym w odwrocie. W celu rozeznania nieprzyjaciela został wysłany dwuosobowy patrol: Józef Czarniecki ps. Niemiec, świetnie władający językiem niemieckim oraz Władysław Załogowicz ps. Felek — znający doskonale teren. Obaj byli w mundurach niemieckich.



„Felek” i Tonku Jurkiewicz w sadach Pasiek w lipcu 1944 r.

Patrol dotarł bez przeszkód do kościoła MB Ostrobramskiej i uzyskał od ks. Józefa Nęcka oraz od swych znajomych potrzebne informacje, które przekazaliśmy por. Madurowiczowi. W następnym dniu doszło do intensywnej wymiany ognia z nieprzyjacielem. Próba bardziej zdecydowanych działań nie powiodła się, gdyż atakujący pluton natknął się na zaporowy ogień karabinów maszynowych z willi Pelczarskiego i z ulicy Pasiecznej. Prawie cały dzień trwała sporadyczna wymiana ognia. W międzyczasie od strony Sichowa nadjechała do naszych pozycji rosyjska czołówka zmotoryzowana. Jeden z naszych kolegów, Stanisław Wańczak, który chciał wskazać drogę w rozpoczynającym się natarciu przy wchodzeniu do wozu pancernego poległ od kuli niemieckiej. Nie przeszkodziło to jednak w dalszej akcji na stanowiska broni maszynowej w willi Pelczarskiego i dalej w ataku na Łyczaków, gdzie operowała jeszcze niemiecka jednostka pancerna. Ta sytuacja zmusiła jednak do zatrzymania ataku na linii parku Łyczakowskiego i do wycofania się na pozycje wyjściowe. Dopiero w nocy podeszliśmy ponownie pod park Łyczakowski. Niepowodzenie naszego ataku spowodowane były brakiem współdziałania z sąsiednim plutonem sierżanta Roka. Wczesnym rankiem ze Zdzisławem Kiernickim ps. SPA 1, Emilem Mojsą ps. Sarna, z Ludwikiem Szykiem ps. Swojak oraz z Janem Zdebelakiem ps. Cygan dokonaliśmy zwiadu dzielnicy Łyczaków dochodząc aż do Krzywczyc (L. Szyk) nie napotykając Niemców. Wobec tego już pełnym plutonem skierowaliśmy się w kierunku centrum miasta, zabierając ze sobą ciężko rannego w czasie ataku Antoniego Kryla. Pozostawiliśmy go w szpitalu św. Zofii. Idąc w kierunku więzienia na Łąckiego dochodziło wielokrotnie do wymiany ognia z cofającym się nieprzyjacielem.

Ponieważ byliśmy stosunkowo małym oddziałem, a nie było dobrej łączności zapewniającej dobre współdziałanie z innymi oddziałami i do tego sytuacja nie była zbyt klarowna — wycofaliśmy się aż na Pasięki Miejskie.

W akcjach plutonu GRUNWALD w lipcu 1944 r. padli w bojach następujący Koledzy: Stanisław Wańczak ps. Kolejarz, Antoni Kryl, Bolesław Nowicki i Edward Serba. Ranni zostali: Stefan Piekło i Stanisław Barabasz, obecnie Sawicki ps. Sławek.

Łącznie z sąsiednimi plutonami Lwów — Wschód nasze straty objęły 38 Poległych na Polu Chwały i ok. 50 rannych. Zaginionych było ok. 100 żołnierzy (aresztowani przez Sowietów), po których zaginął wszelki ślad.

Po „Burzy”

(Kontynuacja zapisków i wspomnień z poprzedniego numeru S.F.)

Gorycz i strach. W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku rozchodziło się coraz więcej wiadomości o aresztowaniach uczestników „Burzy” we Lwowie. Dnia 31 lipca podstępnie aresztowano 30 oficerów sztabu okręgu; zaproszeni na „rozmowy” do Pałacu Biesiadeckich przy Placu Halickim — zostali rozbrojeni i odstawieni do więzienia. Aresztowano również AK-owców przebywających w budynku komendy przy ulicy Kochanowskiego 27. (Szczegółową relację tych wydarzeń zamieścił „Tygodnik Powszechny” nr 41, 1988 r.) w artykule Jerzego Polaczka pt. »Epilog „Burzy” we Lwowie«.)

Niebawem aresztowania następowały już w mieszkaniach i, jak wywnioskowaliśmy, dotyczyły osób które ujawniły się w czasie „Burzy” nosząc broń i opaski, a były widziane w miejscach swego zamieszkania. Nasza ufność w przyłączenie terytorialne Lwowa do Polski wciąż nie była podbudowana faktami dyplomatycznymi, których nadarcie oczekiwaliśmy z Londynu lub Moskwy. Pertraktacje w Moskwie między Stalinem a Stanisławem Mikołajczykiem przeciągały się, jednak jeszcze nie traciliśmy nadziei co do przebiegu granic i przynależności Lwowa. Doszły też do nas wieści o wybuchu powstania w Warszawie.

Postanowiliśmy jaknajszybciej wyjechać ze Lwowa na zachód i przyłączyć się do oddziałów leśnych AK po zachodniej stronie Sanu, to jest za prowizoryczną — jak uważaliśmy — granicą, dzielącą terytory „sowieckie” od wyzwolonych w czasie tej ofensywy ziem polskich. Granica nie była obstawiona i w pierwszych dniach po przejściu frontu ruch przez nią odbywał się na zasadach zupełnie chaotycznych.

Opuszczamy miasto. Jak przedostać się przez granicę? Po kilku gorączkowych naradach podzieliliśmy się na dwuosobowe zespoły, które na rogatkach miejskich miały „załapywać” się na wojskowe samochody. Wiesiek Opalek, brat Bolka, był najlepiej zorientowany w technice wsiadania. „Po prostu trzeba wyciągnąć w górę rękę, trzymając w niej w widoczny sposób butelkę z „horilką”! Rozlałem samogon do kilku ćwiartek (to na wypadek kilku kolejnych załadunków na auta), spakowałem plecak i wcześniej rano poszedłem z Tulą na Janowską rogatkę.

Na szosach, co kilkanaście kilometrów, lub na ważniejszych skrzyżowaniach znajdowały się punkty kontrolne z „regulirowszczykami” — zazwyczaj młodymi żołnierzami, które machaniem chorągiewki dawały prawo przejazdu, ale czasem legitymowały też kierowców lub pasażerów. Cysate i pyskate, z „pepeszą” na plecach, dawały ostre reprimendy żartującym lub zaczepiającym je kierowcom. Prosiłszy je o pomoc w załadunku się; czasami to pomagało, czasem — na odwrót — dziewczyna kazała wyrzucić wszystkich cywilnych pasażerów

z budy aut, i trzeba było łapać nową okazję. Moje butelki też się przydawały.

9 sierpnia na takiej wojskowej ciężarówce, „Studebackerze” z amerykańskiej pomocy, przekroczyliśmy granicę na Sanie w Radymnie i wieczorem znaleźliśmy się w umówionym miejscu spotkania, na leśniczówce Wesoła koło Zmysłówki, kilkanaście kilometrów za Przeworskiem.

Przyjął nas serdecznie nadleśniczy, inżynier Zbigniew Opalek, najstarszy brat Bolka (było ich czterech braci, synów lwowskiego bibliofila i poety, pana Mieczysława Opalka, dyrektora szkoły św. Marii Magdaleny, do której onegdaj uczęszczałem). Bolek trafił tu już dwa dni wcześniej i przygotował nasz przyjazd. Pobyt na leśniczówce u gościnnego inżyniera Opalka, początkowo przewidziany jako krótkotrwały postój przedłużył się — jak się okazało — do kilku miesięcy i zakończył się katastrofą.

Przypisek: Inżynier-leśnik Zbigniew Opalek (ps. „Baca”), członek placówki AK w Zmysłówce, po aresztowaniu dn. 29.10.1944 spędził 4 lata w sowieckich więzieniach i łagrach: w Bakońcach, Borowiczach k. Leningradu, Świerdłowsku i Karagandzie. Zwolniony pod koniec 1948 r. powrócił i pracował w Technikum Leśnym w Tułowicach k. Opola. Zmarł 13.07.1994 r.).

Tak więc prawie cały nasz oddział z lwowskiej „Burzy” znalazł się pod Przeworskiem: Tolek („Zagłoba”), Jasiu („Nemo”), Tula („Alfa”), Bolek („Żbik”) — o których pisałem w poprzednim odcinku relacji, ale też i wielu innych lwowskich kolegów: Jasiu Hollender, Zbyszek Kuźmiak, Mietek Kapko, „Józwa” Kraszewski. Znaleźli oni locum w obrębie nadleśnictwa na pobliskiej Zmysłówce.



Po „Burzy” w leśniczówce. Od prawej: „Ryś”, „Alfa”, „Nemo”, „Zagłoba” i lwowski przyjaciel Staszek Szczęk

Inżynierowi Opalkowi staraliśmy się odwdziżyć pracami gospodarczymi. Wiadomości ze Lwowa dochodziły fragmentarycznie; między innymi — o poborze do wojska roczników 1914-1926. Nie wierzyliśmy, że poborowi mają być kierowani do oddziałów polskich, do tak zwanej armii Berlinga, a nie do wojska sowieckiego.

Powstanie w Warszawie trwało już drugi tydzień i niewiele o nim wiedzieliśmy. 14 sierpnia generał „Bór”, głównodowodzący, przekazał przez radio wezwanie do wszystkich okręgów AK o przyjeście z pomocą dobrze uzbrojonych oddziałów, zabierających jaknajwięcej broni i amunicji. My, jak na razie, nie uchwyciliśmy jeszcze kontaktów z organizacją.

Na pomoc Warszawie. 16 sierpnia, w czasie drogi powrotnej z pobliskiego Leżajska, niespodziewanie natknęliśmy się w majątku w Grodzisku na oddział Armii Krajowej. To lwowski 26-ty pułk piechoty AK, przedtem walczący na przedmieściach Lwowa w czasie „Burzy”, maszeruje na pomoc Warszawie! Partyzanci zatrzymali się tu na nocleg. Zgłaszamy się na ochotnika, ale dowódcy nie chcą przyjmować „nowych” do oddziału. Rozpoznałem jednak wśród oficerów harcmistrza Aleksandra Szczęcińkiewicza, komendanta przedwojennej lwowskiej chorągwi harcerskiej, i zameldowałem mu się jako harcerz z lwowskiej „Czwórki”, prosząc o przyjęcie. Krótka rozmowa, zrelacjonowałem nasz udział w „Burzy”, i dostajemy zgodę na dołączenie się, byleby tego nie rozgłaszać wśród miejscowych ludzi. Wymarsz z kwatery nastąpi jutro o 5-tej rano, jest więc trochę czasu na przygotowanie się i zawiadomienie kolegów.

Czwartek, 17 sierpnia. „Pobudka o trzeciej rano, koźmi do Grodziska. „Chłopcy” jeszcze nie wyruszyli. Dostajemy przydział do 8 kompanii, plutonu ochr. Władysława Życzynskiego („Władysława”), 2 drużyny. Umiejscawiamy się na furmankach i po hucznym pożegnaniu oraz po „Niech żyją!” wyruszamy. Częściowo maszerujemy na piechotę, częściowo przysiadamy na tabory które wiozą plecaki i broń maszynową. Lekką broń żołnierze niosą na sobie, też ładownice i taśmy z amunicją. My — „nowicjusze” — nie mamy na razie broni. Partyzanci sarkają, że „prawiczki” (to o naszej czwórce) dołączyli się do oddziału, ale powoli sytuacja rozładowuje się.

Wieś Giedlarowa (a przed wsią stoją jeszcze niemieckie tablice z nazwą „Gillershof”) przyjmuje nas na mały postój i przygotowany posiłek; i dalszy marsz szosą na Leżajsk. Tu ludność miasta była już wcześniej uprzedzona o marszu naszych oddziałów na Warszawę. Na ulicach szpalery mieszkańców, chorągwie, Orły, transparenty o „Wolnej i Suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej”. Przechodzimy przed jakąś zaimprovizowaną trybuną, ludzie wiwatują, sypią nam pod nogi kwiaty...

Wyskakuję z szyku, by odnaleźć Tulę który od wczoraj został w miasteczku, ale ten nawinął nam się pod rękę. Gdy zobaczył nas i dowiedział o co chodzi — chciał doszłusować tak jak stał, to jest w swojej jedwabnej koszulce, ledwom go nagnał po wiatrówkę do domu. Dobiegamy do oddziału i maszerujemy. Znów kwiaty, kwiaty, kwiaty, uśmiechy i pozdrowienia. Opuszczamy miasto czwórkami, zakurzoną drogą na Nisko i Sandomierz.

Postój w lesie za Leżajskiem. Trochę dziwią mnie animozje między plutonami i partyzancki brak subordynacji. „Chłopcy” są niezadowoleni z kolejności przemarszu, słyszę utyskiwania że oddział który pod Lwowem najwięcej „ołowiu zebrał” teraz nie szedł na czele i nie deptał rzucanych kwiatów jako pierwszy. Kolejne wioski, znów kwiaty pod nogami, czerwone i białe... Marsz dalej. Wyprzedzają nas sowieckie kolumny zmotoryzowane, jadące w tym samym kierunku.

Koło 15-tej nasza kompania dochodzi do wsi

Sarżyna. Postój na placu przy furmankach i obiad — po 100 gramów słoniny, chleb, mleko. Idę z przyjaciółmi do kościoła. „Chłopcy” wchodząc do wnętrza zostawiają broń w przedsionku, figura Frasnoliwego przy wejściu jest obstawiona karabinami. Dalsze czekanie na placu przy tabarach, i w końcu rozprowadzanie na noclegi do stodół. Do Warszawy jeszcze 300 kilometrów.

Na postoju w Sarżynie już coś się psuje. Po drodze nasze dowództwo było indagowane przez jakichś sowieckich oficerów, a ze Sarżyny nawet wzywane do Leżajska. Inne idące przed nami oddziały naszego pułku zatrzymały się w Rudniku i tam biwakują obstawiwszy się ckm-ami.

Noc po pierwszym marszowym dniu niespokojna. Śpię na słomie rozłożonej na klepisku, okryty kocem. O 11-tej sen przerwany przez alarm, zapowiedź czegoś niepokojącego: do wsi zajęła sowiecka kawaleria, rozpytywali o nas. Rozkaz: „Spać dalej!”.

Piątek, 18 sierpnia. „Pobudka o 4-tej, przygotowania i rozkaz do wymarszu. Pojawia się jednak dwóch sowieckich oficerów, z których jeden gdzieś udaje się z naszymi dowódcami, a drugi zaczyna prowadzić z żołnierzami rozmowy i zapowiada — rozbrojenie nas i odstawienie do Jarosławia, do armii Berlinga!

Trwa to dłuższy czas. W ogólnym zamęcie porucznicy, dowódcy drużyn, na boku informują nas że jesteśmy otoczeni i że mamy po cichu rozproszyć się, kierując na ostatnie miejsce postoju. Krótka narada, uzgadniamy z przyjaciółmi trasy: Tula postanawia iść szosą sam, Tolek i Jaśku — wzdłuż Sanu jego prawym, to jest przeciwnym brzegiem, ja z Bolkiem — w kwadrans później za nimi, tą samą drogą.

Przypisek: Na podstawie meldunków, zamieszczonych w pracy J. Łopuskiego „Losy Armii Krajowej na Rzeszowszczyźnie, sierpień — grudzień 1944” oraz artykułów z „Biuletynu Informacyjnego” Okręgu Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego — nr /31 i 6/43 potwierdza się, że do Sarżyny w dniu 17 sierpnia przybyła będąca w marszu na odsiecz Warszawie 8-ma kompania 26 pp Armii Krajowej w sile 350 ludzi, w tym drużyna łączności i poczet dowódcy batalionu. Dowódcą oddziału był por. „Cwikła” (Tomasz Matyszewski), a kompanii towarzyszył dowódca batalionu, kpt „Sulima” (Witold Szredzki). W nocy z 17 na 18.08 sam „Sulima” widząc otaczających oddział żołnierzy sowieckich i przeczuwając że zanoszą się na rozbrojenie, uszedł wraz z częścią oficerów i drużyną łączności. Rano 18.08 kompania została potajemnie rozformowana.

Dzięki współpracy z miejscowym komendantem obwodu AK „Romanem” i AK-owcami z Sarżyny udało się rozproszyć i ukryć część broni 8-mej kompanii; podobnie uchroniono część broni 7-mej kompanii, liczącej 150 ludzi pod dowództwem por. „Lecha” (Zenon Kubski), otoczonej i rozbrojonej tegoż dnia w Rudniku nas Sanem. Sowietzi aresztowali spośród tych dwóch kompanii czterech oficerów i około 50 żołnierzy, reszta rozproszyła się).

„W drodze z Leżajska na Zmysłówkę parę razy zostaliśmy zatrzymani na skrzyżowaniach dróg przez nasze czujki wojskowe skierowujące podobnych nam rozbitków do punktów koncentracji i kwater. Na Zmysłówce porucznik z naszego dowództwa skierował nas wszystkich już oficjalnie na Wesołą.”

Co dalej? 19-20 sierpnia. „Powstanie trwa. Rozmowy w Moskwie przerwane. Informacja, że w naszej okolicy napłynęła większość naszych kolegów ze

Lwowa, łącznie z członkami sztabu lwowskiej AK którzy uniknęli aresztowania." (...)

29-31 sierpnia. „Praca przy gospodarstwie; popołudniami zaczynamy przerabiać materiał licealny — może kiedyś dobrniemy do matury? Coraz pomysłniejsze wiadomości z frontów: we Francji Niemcy pobici na głowę, 25 sierpnia wyzwolono Paryż, 28-go Marsylię, to samo w Rumunii, która jako dotychczasowy sojusznik „Osi” wypowiedziała 24 sierpnia wojnę Niemcom! Dalej brak rzetelnych wiadomości ze Lwowa.”

Na początku września upatrzyliśmy sobie nowe locum — mały domeczek, suszarnię szyszek na skraju obejścia leśnictwa. Domek ma w środku potężny piec z kominkiem. Półki suszarni przerabiamy na legowiska, uszczelniamy ściany. Tu będzie nam dobrze, bo chłodne noce w stodole już dały się nam we znaki. Niesprawdzone wiadomości o mającym nastąpić przesunięciu granicy poza Lwów — więc znowu się połączymy?

Zaczyna być nieco chudo z wyżywieniem. Robimy wycieczki na wieś usiłując dokupić jaj albo chleba, co nie zawsze się udaje, gdyż chłopcy tracą przekonanie do okupacyjnych złotych, a nowych „lubelskich” pieniędzy nie mamy. Tula sprzedał koszulę. Powoli przyzwyczajamy się do oczekiwania dalszego losu, niezależnego od naszych życzeń i pragnień. Przeczekać.

Niedziela, 12 września. „Odpoczywamy. Odradzano nam chodzenie do kościoła, aby nie robić niepotrzebnego zbiegowiska młodych ludzi o nieznanych tutejszym mieszkańcom twarzach.”

Wtorek, 12 września. „Wizyta w Leżajsku. Załatwiamy parę spraw na mieście. W aptece pan aptekarz szarpie swoją komiczno-teatralną bródkę i nie chce przyjmować od nas pięćdziesięciotrójkę rządu lubelskiego. Na poczcie nadajemy listy do Lwowa i frankujemy koperty znaczkami „prowizorium leżajskiego”: znaczkami Generalgouvernement z Hitlerem, przestemplowanym Orłem Polskim. Po wojnie będzie to na pewno wartościowe kuriozum filatelistyczne!”

Znów w Armii Krajowej. (...) „Na Wesolej zastaję kartkę od dowódcy kompanii, porucznika „Władysława” przestrzegającą przed rewizją. Wzywa mnie ponadto na Zmysłówkę do „dyrekcji”, gdyż mogę wyjechać do Lwowa, z oficjalną przepustką. Cel — przywiezienie odzieży zimowej i naszej broni. Nasz nowy przydział: 1-szy pułk, 9-ta kompania, 1-szy pluton.”

14 września. „Dostajemy oficjalny rozkaz „Władysława” co do wyjazdu naszej dwójki, to jest Tolka i mnie, do Lwowa. W rewanżu przekazujemy mu dla kapitana „Sulimy” nasze mapy sztabowe, długotrwały przedmiot jego żądań i gniewu. Tula wrócił z wyjazdu do Jarosławia; spotkał tam w koszarach Jurka Ragankiewicza, już jako „kaprała-podchorążego” armii Berlinga, i ubijał z nim sprawę przywiezienia przez Jurka naszej broni ze Lwowa do Przeworska — Jurek może to zrobić w ramach urlopu.

Bierzemy się wraz z Tolkiem za przygotowania do lwowskiej podróży. Uzgadniamy spisy. Zapisuję, pośród innych przedmiotów: ciepła bielizna, opaska,

przepustka, orzełek, ausweisy Baudienstu. Przez całą noc nadlatują niemieckie samoloty (jesteśmy oddaleni od linii frontu pod Dębicą o niecałe siedemdziesiąt kilometrów). Samoloty są ostrzeliwane przez artylerię z sąsiednich miast.”

Wyprawa do Lwowa. 16 września. „Ostatecznie wyjeżdżamy we trójkę, z Bolkiem Staniewiczem. Zaopatrzeni w jakieś dziwne „lewe” zaświadczenia-przepustki, pisane po polsku i rosyjsku, dojechalśmy okazjnymi samochodami do Przemyśla i tu próbujemy dostać się do pociągu. Największa trudność — to wejście na peron. Rosyjska komendantka dworca nie respektuje naszych papierów. Musimy po kryjomu dostać się na tory pociągów towarowych. W przedwieczornych godzinach znajdujemy duży transport materiałów „trofejnych” skierowany do Sojuza, a w nim — oprócz wagonów zapłombowanych — i lory napełnione żeliwnymi rurami. Na rurach tych, w małym wgłębieniu pośrodku wiązki rur układamy się tak, aby z zewnątrz nie było nas widać. Pociąg, już w ciemnościach, ruszył i nie zatrzymując się na przystankach granicznych dążył w stronę Lwowa. Odetchnęliśmy. Wkrótce jednak zaczął nam dokuczać nie tylko powiew wieczornego chłodu, ale i zimno płynące od rur chłodzonych przelatującym przez nie powietrzem. Dopiero nad ranem, na dalekim przedmieściu Lwowa, na przystanku biłohorskim, zeskoczyliśmy skostniałi z zimna na lwowską ziemię. Stąd już piechotą mogliśmy dostać się do domów i zacząć kompletowanie zaopatrzenia według przygotowanych list dla siebie i kolegów.

Błyskawicznie upłynęło nam pięć dni we Lwowie, znów przy rodzinie i wśród zdziwionych naszym pojawieniem się przyjaciół. Niektórzy zaczęli naukę, inni szukali pracy dającej „bronirowki” to jest reklamy od poboru do wojska. Trwa mobilizacja obejmująca też i nasze roczniki, poborowych odprowadza się z „Wojenkomatów” do dawnego obozu przejściowego na ulicy Pierackiego. Ustalam kto ze znajomych został aresztowany, czy w ogóle „znikł”.

Ryzykuję pójście do Teatru Polskiego — grają komedię „Ostrożnie, świeżo malowane!”. Jest tu prawie cały komplet naszych znajomych; jestem witany ze zdumieniem i niedowierzaniem, ale przemilczam wszystkie pytania typu „skąd?” i „jakim sposobem?”

Jak przygotować sobie drogę powrotną? Tolkowi zaczyna palić się grunt pod nogami; milicja już rozpytywała o niego. Dostaliśmy „udostowierenia” jakiejs bazy medycznej z odpowiednimi pieczętkami, świadczące że jesteśmy delegowani do Przeworska z transportem leków do tamtejszej filii bazy. Dla uwiarygodnienia tego przykrywamy zawartość naszych tobołów warstwą rozmaitych leków, a ja na chlebaku umieszczam duży czerwony krzyż.”

22 września. Wieczorem wraz z Tolkiem wsiedliśmy do pociągu Lwów—Przemyśl, złożonego wyłącznie z towarowych wagonów. Drzemiemy, ciemność, wagony nieoświetlone. W Medyce budzą nas krzyki sowieckich żołnierzy przeprowadzających kontrolę. Z pośród całego składu pociągu wybrali sobie nasze dwa wagony i każą nam, jak i wszystkim pasażerom

wysiąść; reszta pociągu odjechała na Przemyśl. Aż do świtu żołnierze coraz to doprowadzają pasażerów wyciągniętych z innych pociągów. O czwartej nad ranem wyprowadzają nas dwójkami, z ostrzeżeniem: „Kto budiet udirat — strielaju!”. Prowadzą błotnistą drogą, wertepami; ciemno, że ledwie widzi się plecy poprzednika, na dodatek leje deszcz. Doprowadzeni do jakiejś cuchnącej komórki o zakratowanych oknach, zapewne byłej stajni czy chlewiku, układamy się z Tolkiem na kępcie somy i drzemiemy do rana.

W końcu przed południem zaczyna się pojedyncze wywoływanie na przesłuchanie. Tolek wychodzi; czekam i czekam, nerwy napięte: wróci czy nie wróci? Ostatecznie drzwi się otwierają. „Sanitar kto?” — pada pytanie. Prowadzony przez żołnierza wychodzę z moimi tobołkami. Dusza we mnie podskoczyła z radości, gdy dojrzałem Tolka stojącego już na szosie. W kancelarii lejtenant każe mi wyłożyć wnętrze mego chlebaka. Powoli wyciągam z gazy ampułki i pudełeczka drząc by na natrafiono na najróżniejsze „trefne” manele. Powoli, nie śpiesząc się, „festina lente!”. Lejtenant wypytuje o przeznaczenie poszczególnych specyfików i zastrzyków, a dokumenty moje przegląda już tylko pobieżnie. Szafuję moją znajomością łaciny, nie dbając już o poprawność wyrażań. Po paru minutach mogę wyjść na stację i dołączyć do niecierpliwącego się Tolka. Zwycięstwo!

Na stacji Tolek jako „sanitar” musi jeszcze popisać się umiejętnością bandażowania, bo jeden z sowieckich strażników akurat skaleczył się w rękę. Rosjanie trzymający służbę na dworcu wybuchają rykiem śmiechu na wiadomość, że całą noc przesiedzieliśmy właśnie u nich w ciupie.

Po godzinie nadjechał pociąg. Tego dnia czekał nas jeszcze długi marsz z Przeworska do leśniczówki, ale nasze bagaże — chyba pięćdziesięciokilowe — donieśliśmy przed wieczorem na Wesołą. Co za radość przy rozdawaniu przesyłek!



Wróciliśmy ze Lwowa obciążeni ponad miarę
(od lewej autor i Jerzy Śląski)

Wrzesień. Dalszy pobyt w leśniczówce — to oczekiwanie i nasłuchiwanie. Jaka będzie ta Polska, która w tej chwili składa się zaledwie z Lubelszczyzny i kawałka Rzeszowszczyzny? Czy będziemy 17-tą republiką Związku Radzieckiego? Dostajemy od

czasu do czasu gazety rzeszowskie i lubelską „Rzeczpospolitą”, czytamy gazetki podziemne, słuchamy radia. Powstanie w Warszawie trwa, my tu tkwimy bezczynnie. Wszystkie rozmowy w Moskwie niczego nie dały. Penetracja milicji i „resortowców” (tak nazywa się tych z Resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN-u) sięga coraz głębiej w powiaty, często widzi się też NKWD i „pograniczników” sowieckich w zielonych czapkach.

W naszym „rejonie ześrodkowania” nic się właściwie nie dzieje. AK-owcy rozlokowani po majątkach i pojedynczych gospodarstwach prowadzą — oprócz zbiorów i raportów — spokojne życie. Pomagają gospodarzom, pracują przy wyrębie i porządkowaniu lasu. Nasze oddziały nie brały udziału w jakichś akcjach przeciw lubelskiej władzy. „Resortowcy” tu się nie zapuszczają, zresztą wystawiane na drogach AK-owskie czujki mają obowiązek uprzedzać dowództwo i towarzyszy na kwaterach.



Ilość mieszkańców leśniczówki wciąż wzrastała.
Czwarty od lewej — inż. Zbigniew Opalek

Nasza leśniczówka, oddalona od zgrupowania, żyła zupełnie innym życiem. Gościnni państwo Opalkowie przyjmowali coraz to nowych uciekinierów ze Lwowa. Wkrótce już leśniczówka prawie że pękała w szwach, a przy stole obiadowym wciąż dostawiano nowe nakrycia, mimo że zaczęło już być głodnawo. Obowiązują zasady „savoire vivre’u” — „dziękuję”, „proszę”, „pan będzie łaskaw...” Pewnego dnia konsternację przy stole wywołał nasz nowoprzybyły kolega, Jacek Derdacki, gdy poprosił o jeszcze jeden kawałek mięsa... Ratował nas nieco sad pełen owoców.

Stosunki między naszą grupą a dowódcą kompanii „Władysławem” psują się. Chodzimy na obowiązkowe zbiórki i przydzielone służby, ale mamy do „Władysława” pretensje o nasze egzemplarze broni przywiezione ze Lwowa. „Władysław” zaanektował sobie naszego VIS-a, twierdząc że broń boczna przysługuje etatowo tylko oficerom. Odwołaliśmy się do kapitana „Sulimy”, dowódcy batalionu, ale sprawa wlecze się. Wypisałem na karteczce nazwy naszych pistoletów, do których odmówiono nam prawa, i dałem ją inżynierowi Opalkowi dla dalszej interwencji.

c.d.n

Tam, gdzie Seret płynie...



Gen. Stefan Paweł Rowecki ps. „Grabica”, „Grot”, „Rakoń”, „Kalina”.
(1895-1944).

Kto z naszych Czytelników wie, że późniejszy bohater II wojny światowej, Komendant Główny Armii Krajowej generał „Grot” w latach 1930-tych, jeszcze jako pułkownik Stefan Rowecki, spędził kilka lat w naszej wschodnio-małopolskiej ziemi? Jego córka napisała piękną i ciekawą książkę wspomnień o Ojcu i z tych to wspomnień przedrukujemy za zgodą Autorki szczególnie ciekawy i wzruszający dla nas rozdział VII, zatytułowany „Tam, gdzie Seret płynie...”, niestety z dużymi skrótami. Mamy nadzieję, że po przeczytaniu tych fragmentów nasi Czytelnicy sięgną po samą książkę, której już drugie wydanie p.t. „Ojciec” ukazało się w roku 1990.

Kilka słów wyjaśnienia o drodze Stefana Rowckiego do... Czortkowa. Urodzony w r. 1895 w Piotrkowie Trybunalskim, tamże ukończył szkołę średnią, a w 1912 r. wstąpił do znanej szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda w Warszawie. Jeszcze w latach szkolnych angażował się w działalność konspiracyjną, związał się ze skautingiem (założył go w rodzinnym mieście) i „Zarzewiem” (obie organizacje przyszły tu ze Lwowa). W r. 1913 wstąpił do Drużyn Strzeleckich i już 3 sierpnia 1914 stawiał się na krakowskich Oleandrach. Z Legionów, jeszcze w czasie trwania I wojny światowej trafił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowie Mazowieckim, gdzie wykładał, później zdolnego oficera skierowano do Szkoły Sztabu Generalnego. Następnie, w czasie wojny bolszewickiej była służba pod generałami Szeptyckim, Rydzem-Śmigłym i Kutrzebą, praca w Warszawie, ukończenie Wyższej Szkoły Wojennej. Nastąpiły awanse. W r. 1930 powierzono Roweckiemu dowództwo 55 Pułku Piechoty w Lesznie Wielkopolskim, pułku który odznaczył się bohatersko w obronie Lwowa w 1920 roku i którego sztandar Marszałek Piłsudski osobiście udekorował wstęgą Virtuti Militari. Pięć lat później zostaje skierowany na niezwykle odpowiedzialne stanowisko na południowo-wschodniej rubież Polski. Zostaje dowódcą brygady KOP-u „Podole” w Czortkowie.

W chwili tej ważnej dla pułkownika zmiany, jego 14-letnia córka Irena jest uczennicą w szkole S.S. Niepokalanek w Szymanowie k. Warszawy. Oddajmy jej głos.

A.CH.

* * *

Czortków wraz ze swą okolicą należał do najbardziej malowniczych miejscowości Podola. Znajdował się tu kościół i klasztor oo. dominikanów, liczne instytucje, jak starostwo, sąd okręgowy, gimnazjum im. J. Słowackiego, kilka szkół powszechnych, spory węzeł kolejowy. Był miastem o ambicjach. Większość mieszkańców stanowili Polacy. Mieszkali tu również Żydzi i Ukraińcy.

Dziwna kraina! W każdym zakątku ocierał się człowiek o historię. Nawet nasze senne i wyludnione w południowym upale miasteczko miało ruiny szesnastowiecznego zamku. Pamiętam, jak na tych ruinach tłumaczył mi Tatusz sens warownych zamków tak zbudowanych, żeby mogły się skutecznie bronić. Wznosiły się na najwyższym wzgórzu górującym nad okolicą. Miały grube, mocne mury. Były otoczone głębokimi fosami. Prostokątny zamek czortkowski, nietypowy, nigdy nie stanowił dobrej fortecy. Wznosił się na połowie stoku Wygnanki. Kto dotarł do szczytu wzgórza, mógł śmiało wystrzelać całą załogę. Zamek ten zdobył Bohdan Chmielnicki, a potem przebywali w nim krótko konfederaci barscy.

Brygada KOP-u „Podole” była na prawach wielkiej jednostki wojska i była największą ze wszystkich tego rodzaju brygad. Do zwyczaju w KOP-ie należało nazywanie poszczególnych oddziałów według nazwy miejscowości, gdzie dana jednostka wojskowa stacjonowała. Brygada składała się z czterech baonów: „Skałat”, „Kopczyńce”, „Borszczów” i „Czortków”. Były jeszcze trzy szwadrony kawalerii: „Czortków”, „Hylice” i „Zaleszczyki”. Jeszcze należała tu kompania saperów, stacjonująca w koszarach, w których mieszkaliśmy. Żołnierze kwaterowali w koszarach poszczególnych oddziałów, ale część z nich, zmieniając się co jakiś czas, pełniła służbę w strażnicach.

Co to były strażnice? Niewielkie, piętrowe domki z wieżyczkami, stojące tuż nad samą granicą albo w jej pobliżu. Otoczone były niskimi zabudowaniami i zawsze ogródkiem pełnym warzyw i kwiatów, troskliwie uprawianym przez KOP-istów. W tych domach mieszkali i odbywali swą służbę żołnierską. Czuwali bezpośrednio nad bezpieczeństwem kraju i wraz z wytresowanymi wilczurami patrolowali granicę, czasami uganiając się za przemytnikami.

Po wojnie spotkałam oficera z KOP-u, Franciszka Knappa, który na moją prośbę napisał na temat pobytu i działalności Ojca w KOP-ie. Cytuję obszernie fragmenty:

„(...) Poznałem (Stefana Rowckiego — przyp. I.R.-M.) w 1935 roku, gdy jako płk dypl. objął dowództwo Brygady KOP «Podole» po płk. Piekarskim. Jako dowódca plutonu żandarmerii KOP zameldowałem się nowemu dowódcy zaraz po objęciu Brygady przez niego. Gdy składałem obszerny meldunek (...) pułkownik stał również na baczność i uważnie słuchał meldunku, bacznie mi się przyglądając. Następnie prosił, abym usiadł, a sam chodził po gabinecie i zadawał rzeczowe wnikliwe pytania. Z zadawanych mi pytań wywnioskowałem, że od razu chce się, że się tak wyrażę, wgryźć w życie służbowe i prywatne całej załogi Brygady. Jego postawa, wydawane zarządzenia i rozkazy przekonały mnie, że jest

to oficer wysokiej klasy i wódz z prawdziwego zdarzenia.

Stosunkowo w krótkim czasie po objęciu dowództwa na strażnicach, kompaniach i w batalionach dały się odczuć jakieś nieuchwytnie zmiany na lepsze (...) Podczas wizytacji strażnic rozmawiał z szeregowcami jak ojciec z synami. Wszystkie sprawy służbowe i prywatne załatwiał od ręki, na miejscu. Biada przełożonemu, który nie wykonał jego poleceń. Szczególną troską otaczał żołnierzy pełniących służbę patrolową na granicy. Wychodził z założenia, że podoficer, oficer nie dadzą sobie zrobić krzywdy. Natomiast szeregowca trzeba otoczyć opieką jak dziecko (...) Żądał wykonywania służby ściśle według regulaminów. Wprowadził dużo zmian w toku służby i życiu pozasłużbowym na strażnicach. Służbowi od tego czasu musieli suszyć ubrania żołnierzy, którzy podczas niepogody pełnili służbę patrolową i wracali na strażnicę zziębnięci, przemoczeni, zmęczeni. Będąc na wizytacji w strażnicach interesował się wszystkim, a szczególnie wyżywieniem i umundurowaniem żołnierzy. Sprawdzał jadalospisy, magazyny żywnościowe (jakość produktów), próbował z kotła itp. Za wszelkie nadużycia na szkodę żołnierzy karał surowo, ale sprawiedliwie. Nie znosił kłamstwa i kręactwa. Jeśli komuś «coś się wydarzyło», a zameldował o tym szczerze i wszystko wyznał, to na pewno mógł liczyć na pomoc ze strony dowódcy. W przeciwnym razie został jak najsurowiej ukarany. Aby polepszyć wyżywienie żołnierzy, zarządził w całej Brygadzie przyjmowanie cywilnych kucharzy i piekarzy w kompaniach, batalionach i szwadronach (...) Stworzył kurs żołnierzy, gdzie fachowi kucharze cywilni uczyli sztuki kulinarnej. Te zdarzenia (...) zjednały (...) szacunek i poważanie wśród całej załogi Brygady (...) w krótkim czasie (...) zapanował inny duch: żołnierze umundurowani, odżywieni, mniej było wypadków naruszenia dyscypliny wojskowej (...)

Ja też pamiętam, że ruch się zrobił w mieście, gdy przyjechali ściągnęci przez Ojca ochotnicy-koloniści — poznańscy rzemieślnicy. I to, że Tatuś w różnych porach dnia i nocy robił inspekcje w poszczególnych oddziałach. Sam sprawdzał, czy wszystkie jego zarządzenia i rozkazy są skrupulatnie wykonywane. Jeździł do strażnic, kontrolował oddziały, urządzał odprawy dla oficerów. Był wszędzie i jak zawsze miał na wiele rzeczy czas.

Z zamyłowaniem szukał śladów dawnych lat. Zwieździliśmy co sławniejsze zamki, będące przeważnie już w ruinie. Cała historia rubieży Rzeczypospolitej stała przed naszymi oczami. Interesowała się nimi babcia, entuzjazmował Tatuś, a ja chłonełam wszystko, wszelkie opowieści, legendy. Tatuś przynosił mi broszury i przewodniki i kazał mi opracować historię tej miejscowości, do której właśnie w skwarne popołudnie jechaliśmy. Czasami, jeśli było daleko, wyprawa odbywała się w niedzielę.

Podczas któregoś z kolejnych pobytów w Worochcie Tatuś postanowił zdobyć złotą odznakę górską, na którą miał już zaliczone kilkanaście punktów z poprzednich wypraw. Poszedł w góry pod przewodnictwem Bronisława Czecha, znakomitego narciarza, taternika i wielokrotnego mistrza Polski. Poszli z kil-

koma znakomitymi narciarzami w stronę Pop Iwana. Potem nam opowiadał, jaką miał wtedy przygodę, która mogła się skończyć tragicznie, gdyby nie jego zwykła przytomność umysłu. I — co tu dużo mówić — jeszcze większa doza szczęścia.

Szli gęsiego, granią, w czasie śnieżnej zamieci. Nagle Ojciec zgubił przewodnika i ścieżkę. Stracił równowagę i runął w dół. Lecąc stokiem w przepaść, razem z usuwającym się śniegiem, nie stracił przytomności umysłu, przybrał pozycję rozkrzyżowaną, żeby w ten sposób zwiększyć opór. Zatrzymał się nad samą krawędzią wielometrowej przepaści. Tymczasem współtowarzysze zorientowali się, że jednego uczestnika brakuje. Zawrócili i odnaleźli Ojca. Za pomocą lin wyciągnięto „szczęściarza” (jak go wszyscy wtedy nazywali) z rozpadliny.

W okresie czortkowskim nie zaniedbywał polowań. Znalazł bratnie dusze — zapalonych myśliwych. Jeździł zapraszany na polowania i sam je urządzał.

W Galicji za czasów austriackich był zwyczaj, że gdy wojsko przechodziło w pobliżu dworu, właściciel majątku zapraszał oficerów na przyjęcie. Przetrwał on i do naszych czasów. Oddaję „głos” pułkownikowi Rzepeckiemu:

„Po jakichś większych ćwiczeniach oddziałów odwodowych KOP-u najbliższy wielkopański dwór uważał za stosowne zaprosić oficerów na przyjęcie. Na próżno Rowecki tłumaczył, że oficerowie nie mają odpowiednich na taką okazję mundurów, że są zakurzeni, zmęczeni. Groziła niemal obraza za złamanie dawnego galicyjskiego zwyczaju (...) Kiedy oficerowie jako tako oczyszczeni zebrali się w bogatym salonie, okazało się, że oczekujące towarzystwo rozmawia między sobą wszystkimi językami prócz polskiego, a wiele osób wyraża się po polsku z trudnością. Pozostawiano jednak jakoś pary mające udać się do stołu. Wkracza do salonu «marszałek dworu» z wielką laską i daje sygnał przejścia do jadalni. W chwili gdy Rowecki podał dwornie ramię jakiejś przydzielonej mu starej damie i poprowadził «kondukt», jakiś kapitanisko fatalnie pośliznął się podkutym butem na wywoskowanej posadzce i runął jak długi, wydając rozpaczliwy okrzyk: O, k...mać! Sytuację uratowała tylko szybka orientacja dowódcy brygady, który rozładował napięcie wołając: No, nareszcie jakieś polskie słowo! Z dobrej gliny był ulepiony przyszły dowódca AK. Pułkownik dodał jeszcze: „Rowecki, mimo zajmowania coraz poważniejszych (w latach trzydziestych — przyp. I.R.-M.) i bardziej odpowiedzialnych stanowisk, pozostał pogodnym, bystrym i dowcipnym kompanem”.

Ojciec dobrze się czuł w nowych, czortkowskich warunkach. Kipiał energią. Realizował śmiało pomysły i ulepszał życie sobie i innym. Często jeździł do Lwowa, do swego bezpośredniego zwierzchnika, inspektora armii. Pociąg z Czortkowa do Stanisławowa wówał się trzy i pół godziny. Samochód tę samą odległość, około 110 km, pokonywał w dwie godziny. Aby nie tracić na próżno czasu, Ojciec jechał autem do Stanisławowa. Tam łapał pośpieszny pociąg idący z Worochty i szybko był we Lwowie. W powrotnej drodze do domu podobnie skracał sobie odległość.

W czerwcu 1939 Rowecki powraca do Warszawy

z misją szybkiego zorganizowania brygady pancerno-motorowej z różnych rozszarpanych po kraju pułków kawalerii. W trzy miesiące później nowa brygada – Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa weszła do walki. Krótki swój żywot zakończyła pod Tomaszowem Lubelskim. Nie miała jeszcze nawet swego sztandaru...

Co było dalej – wiemy z historii. Generał „Grot”, Komendant Główny Armii Krajowej został aresztowany 30 czerwca 1943 i po rocznym pobycie w obozie koncentracyjnym zamordowany w Sachsenhausen (okoliczności aresztowania i śmierci „Grota” nie zostały do dziś przekonywująco wyjaśnione). Był

wielokrotnie odznaczony: dwa razy *Virtuti Militari*, 8-krotnie Krzyżem Walecznych, francuską Legią Honorową, a pośmiertnie Krzyżem AK (1967) i amerykańskim *Legion of Merit* (1984).

„Przeszedł do historii, stał się symbolem walki o odzyskanie niepodległości, walki bezkompromisowej i nieustępliwej, która stała się ukoronowaniem jego wieloletniej służby Ojczyźnie. Walki zakończonej śmiercią męczeńską.

(Skróty tekstu oraz życiorys „Grota” opracowany w oparciu o informacje Pani Ireny Roweckiej-Mielczarskiej – red.)

KS. JAN KURDYBELSKI

Wołyński rodowód parafii Minkowice Oławskie koło Wrocławia

W sierpniu 1958 roku zostałem proboszczem parafii Minkowice Oławskie. Już przy pierwszym spotkaniu z Minkowiczankami uświadomiłem sobie potrzebę rozpoznania całkiem nowego dla mnie środowiska, w którym pragnąłem pracować z jakimś pożytkiem dla powierzonych mi parafian. Wyznałem im to szczerze i poprosiłem, aby nie zrażali się brakiem przygotowania z mej strony i pomogli mi w wywiązywaniu się z nowego dla mnie zadania. Minkowiczanie zareagowali serdecznie. Przez całą jesień i zimę 1958-1959 r. prawie każdego wieczoru odwiedzała mnie w plebanii grupa parafian i uczyli mnie „proboszczowania”. Opowiadali przy tym o swoich rodzinnych stronach na Wołyniu, o parafiach polskich w rejonie Rokitna Wołyńskiego, o tradycjach kościelnych i narodowych, o odpustach i weselach; o chrztach, ślubach i pogrzebach w ich rodzinnych wioskach: w Starykach, Aleksandrówce, Okopach, Dołganiu, Borowinie, a szczególnie w Budkach Snowidowickich, leżących przy samej granicy z ZSRR. Wielu z tych moich przemyśłych rozmówców już dawno nie żyje. Została jednak po nich garść wspomnień, zwłaszcza z tragicznych lat wojny i niewoli sowieckiej. Myślę że należy je dzisiaj odsłonić, gdy mija pół wieku od tamtych dni.

Jednym z wielu ówczesnych moich gości, który częściej mnie odwiedzał, był Józef Garbowski ze Staryków. Piękna postać Polaka kresowego. Człowiek prawy, szlachetny i odważny. W jego, wydaje się obiektywnych relacjach nie było nawet cienia nienawiści do oprawców, którzy wymordowali wielu jego krewnych i przyjaciół. Miał dobrą pamięć, spostrzegawczość, przekazał wiele szczegółów naświetlających motywację przywódców, którzy kierowali akcją czystek etnicznych w latach wojny (1942-1944) na Wołyniu. Wykonawcami zbrodniczego planu byli ukraińscy chłopci. Niewątpliwie od wielu pokoleń dziedziczyli świadomość upokorzeń i krzywdy, przecież nie zawinionej i nie z przyczyny ich sąsiadów Polaków, z którymi wspólnie znaleźli się w jarzmie

rosyjskiej niewoli. Niestety, w wielu ustalonych przypadkach Ukraińcy byli podnieceni do krwawego rozprawiania się z Polakami przez swoich prawosławnych księży. Dopuszczali się straszliwego okrucieństwa także na małych dzieciach, na kobietach, nie oszczędzali starców. W przypadku małżeństw mieszanych mordowali własne żony, jeśli żona była Polką. Wspominam wdzięczną pamięcią takich szlachetnych ludzi, jak nie żyjący już Cezary i Stanisław Hanuszewicze z Aleksandrówki, Teofil Januszkiewicz, Jan Bagiński, Zygmunt Wojdat, Jan Żygadło, Erazm Jaworski; a zwłaszcza żyjących jeszcze Adama i Aleksandra Tyszeckich z Budek Snowidowickich. Nie żyje już Rozalia Dawidowiczowa z Żołnowskich, której rodzice i najbliżsi krewni byli jednymi z pierwszych ofiar rzezi ukraińskiej.

Odeszło też wielu innych, ale żyją nadal w mojej pamięci jako ostatni świadkowie tragicznego dopełnienia polskich dziejów na tym kawałku Ziemi Kresowej, na którym bohatersko opierało się rusyfikacji wiele pokoleń Polaków w długim okresie zaborów. Oparli się rusyfikacji i wybroniли więź z kościołem katolickim. Te wartości na Kresach były ze sobą sprzężone zwrotnie. Nie ma to żadnego znaczenia, że określenie Polak – katolik dzisiaj niektórych drażni. Po prostu taki był stan faktyczny na Kresach Wschodnich. Kościół dopomógł do zachowania tożsamości narodowej Polakom w zaborze rosyjskim. Wierność Polsce opłacili straszliwym cierpieniem zanim zostali przepędzeni z ojcowizny. Curzio Malaparte obdarzony intuicją i niezwykłym zmysłem dociekliwej obserwacji napisał: w Europie Wschodniej pogromy bywają z reguły przygotowywane i dokonywane w porozumieniu z władzami. (Kaput, s. 133, Czytelnik 1962). Wprawdzie słowa te odnoszą się do pogromu Żydów w Jassach, ale niewątpliwie tłumaczą też i to, co wydarzyło się na Ziemiach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej w latach ostatniej wojny.

Terytorium, na którym dokonały się opisane po-

niżej wydarzenia, stanowiło wschodnią część powiatu sarnieńskiego, leżącą przy granicy z ZSRR w okresie międzywojennym. Biegł tamtędy główny szlak kolejowy łączący Warszawę, Lublin, Kowel i Kijów. Na odcinku Sarny — Olewsk, w odległości 18 km od ówczesnej granicy polsko-sowieckiej, znajdowało się małe kresowe miasteczko Rokitno Wołyńskie, liczące nieco ponad pięćset numerów (zabudowań), połączone ze wsią Rokitno w przeważającej części zamieszkałą przez Ukraińców (około 3 000 ludzi). W Rokitnie Wołyńskim była duża cerkiew prawosławna, bożnica żydowska i kościół katolicki. Był także magistrat i urząd celny. Zanim po pierwszej wojnie światowej zbudowano kościół w Rokitnie, Polacy chodzili do kościoła do odległego ponad 30 km Tomaszgrodu. Mieszkańcy Budek Snowidowickich również uczęszczali do kościoła w Tomaszgrodzie, drogą przez lasy i bagna około 40 km. Dopiero w roku 1925 został zbudowany w Rokitnie kościół drewniany, który kilka lat później energiczny ks. Bruno Wyrobisz, rodem warszawianin, powiększył o dwie nawy boczne. Ks. Wyrobisz zadbał również o wybudowanie w roku 1932 kościoła filialnego w Budkach Snowidowickich, odległych od Rokitna około 18 km. Niewielki ten kościółek, pokryty gontami, z wieżyczką, z solidnych bierwion, zbudowali własnym pomysłem i wysiłkiem żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, stacjonujący w Budkach. Ołtarz główny ku czci św. Anny budowali miejscowi stolarze. Na wschód od Rokitna w odległości 11 km znajdowała się miejscowość Ostki, w której zawsze stacjonowało wojsko. W latach wojny silny oddział żołnierzy niemieckich pilnował ważnego mostu kolejowego na Stwidze. Siedem kilometrów dalej, przy samej granicy, znajdowały się Budki Snowidowickie liczące 50 gospodarstw, w których zamieszkiwały 53 rodziny polskie (250 osób) i 3 rodziny ukraińskie (15 osób). Z Budek Snowidowickich pochodzą Tyszeccy (12 rodzin), Chmielewscy (8 rodzin), Lechów było 7 rodzin i Dawidowiczów 6 rodzin. Ponadto kilka rodzin Jelińskich, Bocheńskich, Łabęckich, Wiśniewskich, Leńkiewiczów, Żygadłów i pojedyncze rodziny Podgórskich i Michalaków. Rodziny ukraińskie: jedna — Zejruk, 7 osób i dwie Syzlinów liczące p 4 osoby. Na zachód od Rokitna, w kierunku Sarn, znajdowała się wieś ukraińska Ośnick. Od Ośnicka na południe w odległości 3 km była polska wieś Staryki, licząca 137 numerów. W Starykach mieszkali sami Polacy, 120 rodzin, razem około 700 mieszkańców. W większości utrzymywali się z rolnictwa. Część pracowała w lesie i w pobliskich kamieniołomach. W Starykach nie było szkoły, natomiast jeszcze w czasach zaborów utrwaliła się praktyka tajnego nauczania w języku polskim. Przed rokiem 1917, co tydzień u innego gospodarza gromadziły się na naukę grupy dzieci. Ostatnimi nauczycielami opłacanymi przez rodziców byli Stanisław Kierat i Stanisław Chełmiński. Kiedy znienacka przyjeżdżał „uradnik” na kontrolę — wspominali po latach Minkowiczanie — chowaliśmy się pod łózkami. Czasem trzeba było spalić zeszyty lekcyjne, żeby nie wpadły w ręce „uradnika”. Również w Starykach w latach 1931-32 ks. Bruno Wyro-

bisz wybudował kościół pod wezwaniem Matki Bożej Siewnej. W roku 1937 wojsko wybudowało 7 klasową szkołę. Do Staryków należała odległa 8 km na zachód kolonia Jamno, zamieszkała przez Polaków, którzy jesienią roku 1941 na wieść o pierwszych morderstwach dokonywanych przez UPA porzucili swoje domy i schronili się w Starykach. Dalej na południe, odległa o 5 km, znajdowała się również polska wieś Rudnia Lwa, w której w roku 1943 stacjonował polski oddział partyzancki „Oddział Wujka”, pod dowództwem por. „Strzeмиę”. Spieszył on na ratunek w czasie napadów ukraińskich, niestety był to mały oddział. Liczba partyzantów w „Oddziale Wujka” wahała się od 20 czasem do 200 osób. Rudnia Lwa sąsiadowała z wielką wsią ukraińską Karpilówką. Karpilówka była doskonale zorganizowaną wsią, liczyła ponad 700 numerów, a z hutorami około 2 000 numerów. W Karpilówce było dwóch sołtysów. Wielką szkołę dla dzieci ukraińskich zbudowali polscy żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza. Ciekawe, że nie było tam cerkwi — ale za to bardzo liczna wspólnota Świadków Jehowy. Prawosławni z Karpilówki uczęszczali do cerkwi w sąsiedniej wsi ukraińskiej Borowe, a częściowo chodzili do niezbyt odległych Kisorycz. Kisorycze liczyły również ponad 500 numerów. Posiadały bardzo pięknie urządzone cerkiew, w której na odpust „na Pokrowy” 14 października gromadziły się wielkie tłumy ludzi. W Kisoryczach była też druga cerkiew, stara, zabytkowa, nie używana. Ponadto była tam szkoła 7 klasowa, centrala telefoniczna i posterunek policji, oraz dwa zakłady: tartak i cegielnia. W Kisoryczach zamieszkiwały tylko trzy rodziny polskie: dwie Piskorskich (sklepikarze) i jedna Żołnowskich (leśniczy), oraz kilka rodzin niemieckich, które po wkroczeniu Niemców do Kisorycz wyemigrowały. Hersztem bandy ukraińskiej w Kisoryczach był niejaki Wołoszyn. Trudno aby organizowanie pogromów na bezbronne wsie, znęcanie się nad kobietami i dziećmi i bestialskie mordy nazywać „walką wyzwoleniczą”, czy chociażby „wojną partyzancką”. Wołoszyn za znęcanie się nad kobietami, w szczególności za utopienie polskiej dziewczyny w studni, został ujęty przez polskich partyzantów i rozstrzelany. Północną granicę Kisorycz stanowiła również wieś ukraińska — Masewicze.

Pomiędzy tymi trzema wielkimi skupiskami ukraińskimi znajdowały się trzy małe wioski polskie: Okopy — wieś kościelna, Aleksandrówka i Dołgań. Nieco dalej na południe wieś ukraińska Netreba i polska Budki Borowskie. W Netrebie liczącej około 60 numerów, w latach 1937-38 większość Ukraińców przyjął do kościoła Katolickiego ks. Bruno Wyrobisz. W odwecie za to odstęstwo wieś została spalona w roku 1943, część mieszkańców została wymordowana, a część uciekła z Polakami. Budki Borowskie była to mała wioska polska, w pobliżu Netreby, została doszczętnie spalona a ludność jej wymordowano, podobno kilku udało się uciec z pogromu — ale los ich jest nieznany. Podobny los spotkał maleńką wioskę polską Dołgań — nikt nie ocalał. Aleksandrówka, wieś polska, oddalona 8 km od Rokitna na południe, położona w połowie drogi

z Karpilówki do Kisorycz, liczyła zaledwie 19 rodzin polskich i dwie ukraińskie. Wśród rodzin polskich było jedenaście rodzin Hanuszewiczów, trzy rodziny Garbowskich, dwie Żarczyńskich i po jednej Sokołowskich, Kubickich i Sztanderów. Ukraińcy to Hordyj Bryczka i Jesyj Bryczka. W większości byli to zamożni gospodarze, każdy z nich miał parę koni i od czterech do kilkunastu krów. Domy w Aleksandrówce były kryte dachówką. We wsi było ośmiu cieślów i jeden kowal — Polacy. Młodzież z Aleksandrówki pracowała w pobliskich kamieniołomach, gdzie wydobywano czarny granit. W Aleksandrówce była szkoła 4 klasowa. Religii nauczała Stefania Tuchy, żona nauczyciela. Ksiądz pokazywał się we wsi rzadko, tylko po kołędzie. Katolicy z Aleksandrówki, to znaczy Polacy, bo tam używano tych określeń zamiennie, w każdą niedzielę przemierzali drogą leśną 8 km do Rokitna na Mszę świętą. Najchętniej chodzili na sumę o godz. 11, bo „suma była dla wojska”. Na sumę w pięknym szyku wojskowym z okieścią maszerowali żołnierze KOP-u stacjonujący w Rokitnie. Współzycie Polaków z Ukraińcami było zgodne, a nawet zdarzały się przyjaźnie, co podkreślało wielu moich rozmówców z Aleksandrówki. Często zawierane były małżeństwa mieszane polsko-ukraińskie.

Na wschód od Kisorycz, za rzeką Buniów, przy samej granicy sowieckiej, znajdowała się duża wieś Derć, licząca około 200 rodzin ukraińskich i kilka żydowskich. Polaków tam nie było. Ukraińcy z Derci wyróżniali się strojem. Nosili łapcie i kurtki samodziałowe, tak zwane „sieraki” oraz gunie wełniane z wełny nie farbowanej. Koszule płócienne z lnianego, zgrzebnego płótna wypuszczane były na spodnie. Starsi przy pasie nosili „kality” — skórzane torby, w których znajdował się nóż składany oraz krzesiwo i hubka. Kality były nabijane mosiężnymi guzami, po dwanaście guzów u bogatych — biedniejsi nosili kality bez guzów. Ukraińcy z Derci byli raczej wrogo nastawieni do Polaków, czym także wyróżniali się spośród swoich współziomków z innych wsi.

W odległości trzech kilometrów od Derci w kierunku Rokitna znajdowała się Borowina, mała wioska mieszana polsko-ukraińska, rozparcelowana w 1925 roku. Polacy stanowili tutaj większość. Było 35 rodzin polskich (175 osób) oraz 7 ukraińskich (47 osób). Samych Januszkiewiczów było w Borowinie 11 rodzin, 3 rodziny Marcyniaków, 3 rodziny Zaruskich, po dwie Kozieńskich, Węglowskich, Puchalskich, Mików, Hanuszewiczów i pojedyncze rodziny: Buczyńskich, Bronowickich, Łozińskich, Ćwików, Zalewskich, Rudnickich, Jakubowskich, Szramów i Sawczków. Współzycie między Polakami i Ukraińcami w Borowinie było dobre. Gościli się wzajemnie np. z okazji wesel. Dzieci ukraińskie uczyły się razem z polskimi w 4 klasowej szkole, która mieściła się w jednej izbie w domu nauczyciela Polaka. Polacy chodzili do kościoła w Rokitnie oddalonego 8 km od Borowiny. Raczej nie zdarzały się opuszczenia mszy św. nawet w zimie przy wielkim mrozie. Na odpust św. Teresy (3 października) zjeżdżały się do Rokitna wielkie tłumy z wiosek polskich roz-

rzucanych w promieniu około 30 km. Z Borowiny do Rokitna droga wiodła przez Budę, wieś ukraińską liczącą około 40 rodzin. Buda zamieszkała była przez samych Ukraińców, była tam również szkoła 4 klasowa, mieszcząca się w jednej izbie wiejskiego domu. Wreszcie wspomnieć trzeba o Snowidowiczach, dużej wsi ukraińskiej, leżącej w widłach rzek Bodli i Stwigi, liczącej około 300 rodzin, z których zaledwie dwie rodziny były polskie. Snowidowiczanie wyróżniali się bardzo serdecznym stosunkiem do Polaków. Ponieważ snowidowickie panny słynęły z urody, wielu Polaków z Budek Snowidowickich, a także żołnierzy z KOP-u pożeniło się w Snowidowiczach. Wiele Ukraińców ze Snowidowic nosiło polskie szlacheckie nazwiska, np. było tam kilka rodzin Fedorowiczów. Najczęstsze chłopskie nazwiska spotykane w Snowidowiczach to Romaniuk i Łopuga.

* * *

Powiat Sarneński o powierzchni 5578 km² ze 181 300 mieszkańcami był jednym z sześciu największych powiatów Polski międzywojennej. Teren powyżej opisany mierzył zaledwie około 500 km², stanowił więc małą część powiatu, wysuniętą najdalej na Wschód. Na tym kawałku ziemi przysłoniętym od północy panoramą lasów, a dalej błot poleskich, urozmaiconym trzema małymi rzeczkami, które płynęły na północ na spotkanie Prypeci, znajdowało się siedemnaście wiosek z ponad dwudziestoma tysiącami mieszkańców. Dziesięć wsi ukraińskich z ponad osiemnastoma tysiącami mieszkańców dominowało nad siedmioma wioskami polskimi z około trzema tysiącami mieszkańców. Wsie ukraińskie wyróżniały się zwartą zabudową. W wiosce dom mieszkalny, szopa, obora i stodoła znajdowały się pod jednym dachem, w wymienionej kolejności. Dom mieszkalny zazwyczaj miał dwie izby i sień, do której wchodziło się przez niskie drzwi i wysoki próg. Dom posiadał trzy okna. W pierwszej izbie głównym przedmiotem był piec. Zajmował znaczną część izby. W dolnej części pieca, w tak zwanym podpiecku, niektórzy trzymali świnie lub kury. Wyżej była niszka, palenisko i popielnik. Garnki z potrawami do gotowania wstawiali na widelkach wprost do ognia. Na noc wygarniali ogień z popielnika. Do rana jednak przechowało się w popiele trochę żaru, z którego następnego dnia rozpalali ogień. Dym z pieca unosił się prostym kanałem do leżaka nad sufitem, a potem do komina. W górnej części pieca było legowisko dla starców i dzieci. Obok pieca był tak zwany przymurek, na którym też ktoś spał, zwykle parobek lub wyrostek. W drugiej izbie znajdowały się kominek, wodnik, stół, ława do siedzenia i prycza drewniana do spania. Nad pryczą było małe okienko. Na deskach pryczy rozciągano gunie i na nich spano. Do spania układała się razem cała rodzina, a czasami w jednym domu mieszkały dwie lub trzy rodziny, spali razem. Biedniejszy gospodarz miał tylko jedną izbę i sień. Miejsce honorowe w mieszkaniu było w rogu na ławie, na sianku. Nazywało się to miejsce „pokucie”.

Znane było powiedzenie: „Na pokucie sediti ne pop to kutia, abo dereń bez putia”, (albo pop, albo kutia, albo kompletny duren). Izba była oświetlana łuczywem, które paliło się na specjalnym kominku, zawieszonym pod sufitem, blisko drzwi. Kominiek upleciony z wikliny, oblepiony gliną, posiadał uchwyt dla łuczwa zrobiony z kawałka blachy. Trzeba było uważać, by nie uderzyć głową w kominiek, co zdarzało się często. Szaf i kufrów nie znali. Bieliznę przechowywali w beczkach. Mniejsza beczka (bodnia) stała pod pryczą, albo koło ławy. Posiłki spożywali z jednej miski, nawet jeżeli mieszkali razem dwie lub trzy rodziny (żonaci synowie). Dzieci jadły razem z jednej miski na środku izby. Mężczyźni również razem z jednej miski, a kobiety oddzielnie. Rządził zawsze stary ojciec. Dopóki byli razem, mieli wspólną kasę. Synowi, który się ożenił i odchodził z domu, wspólnie budowali nowe gospodarstwo.

W osadzie rozparcelowanej gospodarstwo zbudowane było inaczej. Na rozległym podwórzu dom mieszkalny usytuowany był oddzielnie. Naprzeciwko domu znajdowały się pod wspólnym dachem szopa, stajnia i obora. Stodoła była w tylnej części podwórza, często oddalona od domu około 300 metrów. Studnia była zwykle dosyć daleko od zabudowań, na jakimś stoku. Szukali wody źródlanej. Obok studni z żurawiem znajdowało się koryto dla pojenia bydła. Nie urządzano oddzielnie gnojowiska. Bydło przez całą zimę stało na oborniku, podścielano tylko słomę. Wiosną wywożono obornik na pola. Całość gospodarstwa okolona była płotem z żerdzi, w którym był przejazd do sąsiada.

Polacy inaczej budowali swoje domy, inaczej też urządzali mieszkania. Wprawdzie do spania służyły także prycze, częściej łóżka. Posiadali szafy ubranio-

we oraz kufrы. Do oświetlania mieszkań służyła lampa naftowa.

W roku 1921 na tamtych terenach było ponad 74% analfabetów, podobnie jak w europejskiej części Rosji, gdzie analfabetyzm sięgał 90%. Polacy w odróżnieniu od Ukraińców dbali o nauczanie dzieci, nawet z narażaniem się na surowe kary. Nauczanie języka polskiego było tajne. W każdym domu polskim była książeczka do nabożeństwa, zbiór pieśni kościelnych w języku polskim, najczęściej przepisywanych ręcznie do zeszytów szkolnych. Po odzyskaniu niepodległości, analfabetyzm zwłaszcza wśród mężczyzn zmniejszył się o połowę, co dobrze świadczy o Polsce międzywojennej. Władze kościelne również zadbały aby na te najbardziej zaniedbane tereny wschodnie dosłać księży wysokiej klasy. Takim był ks. Bruno Wyrobisz, warszawianin, bardzo gorliwy kapłan, który dbał nie tylko o życie religijne, ale organizował kształcenie dzieci i młodzieży, podnosił poziom kultury, co zaowocowało po latach w zupełnie nowej sytuacji, po przesiedleniu tych ludzi na Ziemię Zachodnie. Przykład: mieszkańcy Staryków, Aleksandrowki i Budek Snowodowickich przesiedleni do Minkowic Oławskich pod Wrocławiem, przez długie lata stanowili bardzo prężne środowisko religijne i kulturalne. Mówili pięknym polskim językiem bez brudnych słów! Ogromnie szanowali się wzajemnie, pomagali sobie, nie znane były np. kradzieże. Dopiero po latach, gdy nastąpiło przemieszanie ludności, gdy zbudowano „gospodę” dla rozpijania Minkowiczów i wreszcie wpływy polskiej telewizji dokonały spustoszeń w obyczajach i życiu religijnym tej wspólnoty „kresowej”, która tak pięknie zorganizowała się po przesiedleniu w nowe i całkiem inne warunki bytowania na Dolnym Śląsku. cdn

Motto: „Ocalić od zapomnienia”

WIESŁAW ŻELISKO

Nadwórna

W odległości 38 km na południe od wojewódzkiego miasta Stanisławowa u stóp wschodnich Gorzanów, w pięknym zakątku nad brzegiem rzeki Bystrzycy, którą zwą Bystrzycą Nadworniańską, w odróżnieniu od Bystrzycy Sołotwińskiej leży powiatowe miasto Nadwórna. Do miasta ze Stanisławowa można dojechać dwiema drogami. Jedna wiedzie przez Łysiec, Bohorodczany, druga zaś przez wioski: Czernijów, Tyśmieniczany, Cyczyłów, Tarnowica, Leśna i Nazawizów. Teren, na którym powstało to miasto, był już zamieszkały w okresie późnego paleolitu, czego dowodem są wykopaliska we wsiach Łanczyn i Wołosów. W pobliżu samego miasta znajdują się szczątki umocnień i kurhanów z XIV wieku. Początki miasta są ściśle związane z zamkiem wzniesionym we wsi Pniów, którego ruiny istnieją do dziś i są oddalone o dwa kilometry od centrum Nadwórnej.

Właścicielami Pniowa byli Kuropatowie, ród szlachecki pochodzenia węgierskiego, który ziemie w tych stronach otrzymał jeszcze w połowie XIV wieku w czasach Władysława Opolczyka, w okresie bardzo silnych wpływów węgierskich na Rusi Halickiej. Ziemie nadane rodowi Kuropatów bogate były w lasy. Drzewo spławiano Bystrzycą na stepowe Podole. Ale przede wszystkim były to obszary solne. Zarówno Pniów, jak i Nadwórna, leżą w pasie solnym obejmującym najbliższe okolice Nadwórnej — na północy: Słotwinę, Rosólnię Starunię, Maniawę, a na południu: Łojowę, Delatyn, Zarzecze, Ostaw Biały, Ostaw Czarny i Łanczyn. W Nadwórnej były solanki, a w Pniowie do 1878 r. istniała warzelnia soli. Zasłużony i głośny w dziejach Ziemi Halickiej ród Kuropatów wyrósł z soli. Pniów jako gniazdo rodu odgrywał niejednokrotnie ważną rolę w dziejach tych ziem, a zamek pniowski, nazwany później zamkiem nadworniańskim, był twierdzą w której w razie potrzeby chroniła się okoliczna szlachta i pozostała ludność.

Dzieje Nadwórnej i jej nazwa są ściśle związane z zamkiem. Właściciele zamku najpierw nie opodal

zamku wydzielili obszar ziemi na założenie wioski, która z biegiem czasu stała się miastem. Była więc najpierw „wioska nadworna”, a następnie „miasto nadworne” i wreszcie ustaliła się nazwa Nadwórna. Pierwsze pisane wieści o mieście Nadwórna pojawiły się w 1595 r. Zamek wzniesli w drugiej połowie XVI w. Kuropatowie na wyniosłym płaskowzgórzu Pniowa zwanym Zabereżem. Strzegł on dostępu ze wschodu i z południa, bowiem w okolicach Pniowa i Nadwórnej przecinały się drogi z Węgier i Ukrainy. Od chwili wybudowania zamku w Stanisławowie zamek ten należał do najważniejszych twierdz na Pokuciu. Potężne mury obronne były głównym atutem tej warowni. Zamek zbudowano z kamienia ciosanego i cegły. Wraz z zabudowaniami zewnętrznymi tworzył prostokąt. Dziś pozostały tylko mury zewnętrzne wysokości dwu pięter. Na czterech rogach tego prostokąta wznosiły się potężne baszty; od zachodu sześcioboczne, a od wschodu dodatkowa baszta w ścianie zachodniej i kątowe baszty z dwoma rzędami strzelnic: jedna w ścianie wschodniej, a druga w południowej. Zamek, według legendy, był połączony podziemnym korytarzem z monastylem prawosławnym (skitem) w Maniawie i kościołem nadworniańskim. Posiadał piękne komnaty i zabudowania gospodarskie, które okalały rozległy dziedziniec. Wewnętrzne budowle zamku rozebrano. W ich miejsce dziś rozpościera się barwny kobierzec łąki.

Zamek pniowski z biegiem lat przekształcany i umacniany przez swych posiadaczy stawał się coraz ozdobniejszy i bardziej warowny. Stanowił ostoję okolicznej ludności broniąc jej zarówno przed najazdami zewnętrznymi, jak i przed grasującymi bandami opryszków. Jednak w 1621 r. wataha opryszków z chłopem Hryniem Kajdaszem i szlachetką Lesiem Berezowskim na czele przy pomocy sługi dworskiego Stefana Bukłasko i pachółka dworskiego Prokopeczko, którego potomkowie do dziś mieszkają w pobliżu zamku opanowała zamek i zniszczyła go. Po odbudowaniu zamek dalej pełnił swą funkcję.

Przyszły lata 1648-1654 – lata buntów chłopskich i powstania Chmielnickiego. W 1648 r. do zamku schroniła się okoliczna szlachta, mieszkańcy Nadwórnej oraz Kałusza, uciekając przed rzezią zbuntowanych kozaków i chłopów. Po dwutygodniowym oblężeniu armia Symeona Wysoczana, szlachcica z Ottynii, zdobyła zamek i złupiła go. Nie zdążyła jeszcze załoga zamku przyjść do siebie po tym napadzie, a już w następnym roku 1649, podczas oblężenia Zbaraża zdobył go jeden z zagonów kozackich. Twierdza ta ponownie dźwignęła się ze zniszczeń i w latach następnych skutecznie odpierała najazdy czambułów tatarskich. Za jedną z najważniejszych dat w dziejach Nadwórnej i zamku można przyjąć rok 1676, kiedy to w czasie wojny z Turkami załoga zamku dzielnie stawiała opór oddziałom turecko-tatarskim, wysłanym spod Stanisławowa w celu jego zdobycia. Po tych oblężeniach możliwości obronne zamku zostały nadwężone, a ludność Nadwórnej i Pniowa poniosła duże straty. Niemalą rolę w najazdach na zamek watah opryszków odegrały właśnie między innymi rodami magnackimi, jak Potoccy, Tęczyńscy itp.

Wraz z wygaśnięciem rodu Kuropatów w 1746 r. znikła świetność tej kresowej warowni, która wraz z całym kluczem dóbr nadworniańskich przeszła na własność Cetnerów, a następnie Telefusów i Potoczkich. W rezultacie rozbioru Polski w 1772 r. Nadwórna, jej zamek i cała Ziemia Halicka weszła w skład Cesarstwa Austriackiego. W 1887 r. Nadwórna i Pniów były własnością Zakładu Kredytowego Ziemskiego (Boden Credit Anstalt) w Wiedniu. Od 1905 r. dwie te miejscowości figurują już jako własność austriackiego skarbu.

Zamek pniowski, który z chwilą przyłączenia części Pniowa do Nadwórnej (ok. 1930 r.) należy nazywać raczej zamkiem nadworniańskim (i tak go zwą obecnie) – aż do końca XVIII w. był zamieszkały. Dopiero na początku XIX w. uległ zaniedbaniu i powolnej ruinie. Zaczęto go rozbierać na materiał budowlany, z którego zbudowano w Nadwórnej browar i kilka domów.

Dziś z tego zamku pozostały ruiny. Jego świetność przypomina kurhan usypany obok zamku, w którym według podań śpią snem wiecznym dziełni jego obrońcy oraz napastnicy: Kozacy, Turcy, Tatarzy i zbuntowani chłopci – złączeni jedną bratnią mogiłą. Archiwum zamku zostało złożone w Zarządzie Lasów w pobliskim miasteczku Delatynie. Spłonęło ono w 1904 r. w czasie pożaru tej miejscowości.

Jak pod opiekuńczymi skrzydłami tej twierdzy rozwijało się samo miasto Nadwórna? Początek miasta stanowiło podgrodzie. Był to typowy zaścianek szlachecki położony u stóp zamku, w którym osiedliły się rody szlacheckie dworzan: Kuropatów Rowińskich, Kolankowskich, Bidzińskich, Bednarskich, Skowrońskich i Niżnikiewiczów, których potomkowie mieszkali tam i przetrwali aż do 1945 r. tj. do chwili wywiezienia na tzw. Ziemie Odzyskane. Ród Kuropatów w celu zwiększenia swych dochodów wydzielił część włości pod wioskę nadworną, która z biegiem czasu rozrosła się do wielkości miasta nadwornego.

Rozwój miasta rozpoczyna się z początkiem XVII wieku, a szczególnie po utworzeniu w 1603 r. parafii rzymsko katolickiej i budowie kościoła – fundacji Pawła i Mikołaja Kuropatów. Wkrótce po wybudowaniu kościoła wytyczono plac na rynek, a w jego środku wzniesiono ratusz. Wokół ratusza skupia się życie handlowe. Osiedlają się tam bogaci kupcy, urzędnicy i rzemieślnicy. W drugiej połowie XVII w. i w XVIII w. Nadwórna była już znaczącym ośrodkiem rzemieślniczym. Mieli tu swoje warsztaty kuśnierze, bednarze, murarze, krawcy i rzeźnicy. Rzemieślnicy zaspokajali potrzeby całej okolicy, np. bednarze dostarczali beczek na przewóz solanki i do browaru. Kotlarze zaopatrywali w kotły warzelnie soli w Nadwórnej, Pasiecznej, Rosolnej itp.

Rola Nadwórnej jako szlaku handlowego wzrosła z końcem XVII w., kiedy to kupcy z Węgier jadący na wschód omijali Mołdawię. Każdego roku odbywały się tu dwa jarmarki, a targi każdego tygodnia. Na doroczne jarmarki zjeżdżali kupcy z całej Polski, Węgier, Mołdawii i z Rusi.

Rozwój miasta był jednak ciągle hamowany przez najazdy kozackie, tatarskie, tureckie oraz napady band opryszków (rozbójników). Krwawy najazd Kozaków miał miejsce w 1771 r., kiedy to po rozgromieniu konfederatów barskich jeden z zagonów zdobył Nadwórnę. W 1775 r. bandy opryszków Dobosza spustoszyły okolice miasta.

W XVIII w. Nadwórna była już ważnym ośrodkiem gospodarczym. Hrabia Kuropatnicki w swojej *Geografii Galicji*, wydanej w 1786 r., tak pisze o tym mieście: „Miasto i wielka Włość J.W. hr. Cetnera arcymarszałka Galicji obfite ma źródła solne, w których sól warzą i wielka tu jest plantacja naddniestrzańskich tytoniów”.

Rozpoczęcie w 1879 r. eksploatacji złóż lekkiej benzynowej ropy naftowej w Pasiecznej, wsi położonej 12 km na południowy zachód od miasta, przyspiesza jego rozwój. Młodsza kopalnia była kopalnia ropy naftowej w położonym o 9 km na południowy zachód Bitkowie. Otrzymywano tu bogatą ropy lekką, zawierającą 40% benzyny. Bitków dawał, aż do wybuchu drugiej wojny światowej produkcję dzienną ok. 10 wagonów ropy. Przewożono ją przez Nadwórnę, gdyż tu zbudowano w 1894 r. linię kolejową, która połączyła miasto ze Stanisławowem i Lwowem, a na południu biegła do Słowacji, Węgier i Austrii. W 1902 r. tuż koło stacji kolejowej zbudowano zbiorniki na ropy i rafinerię ropy.

Okolice Nadwórnej to nie tylko zasoby ropy naftowej, to również ogromne złoża gazów ziemnych, które do drugiej wojny światowej nie były należycie eksploatowane. Eksploatacja złóż ropy naftowej położonych na większych głębokościach rozpoczęła się dopiero po zajęciu tych terenów przez Związek Radziecki.

Do rozwoju miasta przyczyniły się również pobliskie zasoby leśne. W Nadwórnej powstały tartaki, do których drzewo zwożono z pobliskich gór kolejką wąskotorową. Kolejka ta połączyła Nadwórnę z położoną blisko granicy słowackiej, a następnie (od 1938 r.) węgierskiej Rafajłową oraz takimi wsiami, jak Zielona i Pasieczna.

Górskie lasy karpackie dostarczały runa leśnego, drzewa, a połoniny służyły do wypasu bydła i owiec. Na pogórzach kwitło rolnictwo, gdzie oprócz zboża uprawiano len, chmiel i tytoń. Miejscem zbytu i wymiany tych artykułów były targi w Nadwórnej, w której zbiegało się aż siedem dróg; dwie ze Stanisławowa, trzecia ze Solotwiny, czwarta z Bitkowa, piąta przez przełęcz Pantyrską ze Słowacji, Austrii i Węgier, szósta z Rumunii i Rusi Zakarpackiej przez Jałobnicę i Delatyn, siódma z Łanczyna.

Nadwórna była zapleczem zaopatrzeniowym dla rozwijającego się powoli przemysłu naftowego, solnego i tartaczego. Stała się też stopniowo ośrodkiem ruchu turystycznego — stąd szlaki biegły w głąb Gorganów. Sama Nadwórna posiadała zabytki w kościele parafialnym rzymsko katolickim; były tu portrety fundatorów kościoła Kuropatów oraz ciekawe obrazy i wota. Można też było zwiedzić cerkiew greckokatolicką z resztkami sprzętu sakralnego przeniesionego ze skitu Maniawskiego.



Kościół w Nadwórnej (stan w 1993 r.)

Nadwórna w okresie I wojny światowej była terenem walk między wojskami austro-węgierskimi a rosyjskimi. W okolicach tego miasta bohatersko walczyła II Brygada Legionów Polskich pod dowództwem gen. Józefa Hallera.

Po zwycięstwie armii rosyjskiej nad armią austro-węgierską pod Lwowem i nad Wisłą na przełomie września i października 1914 roku Nadwórna została zajęta przez oddziały kozackie i doszło do groźby przełamania frontu austriackiego w Karpatach Wschodnich.

W swojej historii Nadwórna kilkakrotnie zajmowana była przez sotnie kozackie — we wrześniu 1914 r. pojawiły się one tam znowu i szykowały do ofensywy na Węgry przez Rafajłową i przełęcz Pantyrską, położoną ok. 35 km od miasta. Na przełęcz tej od strony węgierskiej, w celu powstrzymania Rosjan stanęli polscy legionści.

12 X 1914 r. 13 kompania Legionów wchodzi do wsi Rafajłowa i stacza tam pierwszy bój II Brygady na Ziemi Halickiej. 24 X 1914 roku legionści zdobywają Nadwórnę, a 29 X 1914 r. staczają krwawy bój pod wsią Mołotków nie opodal miasta. W grudniu 1914 r. legionści pod naporem Kozaków wycofują się z Nadwórnej, a front ustala się między wsią Zieloną a Rafajłową, kilkanaście kilometrów na południe od miasta.

W okresie 1914 do 1917 r. Nadwórna w wyniku walk kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. W 1914 r. spłonęła część miasta. Ogień strawił wówczas modrzewiową cerkiew, browar oraz kilka domów. Z ran tych Nadwórna leczyła się aż do 1939 r. 30 VII 1916 r. armia Brusilowa znów zdobyła miasto i Rosjanie pozostali w nim aż do 1917 roku.

Współcześnie Polacy więcej wiedzą o bojach I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego, natomiast mało o walkach II Brygady Józefa Hallera. Polskość ziemi nadwórniankiej została okupiona krwią młodych legionistów II Brygady. Zostały na niej ich mogiły. Została droga Legionów prowadząca z Rafajłowej na przełęcz Pantyrską zbudowana z bali drewnnych.

Został na tej przełęczy krzyż z napisem:



*„Młodzieży polska,
patrz na ten krzyż,
Legiony polskie
dźwignęły go wzwyż,
Przechodząc góry,
doliny i wały
Dla Ciebie Polsko
i dla Twej chwały”.*

Rokrocznie w dniu 11 Listopada odbywały się uroczystości przy mogile poległych legionistów w Mołotkowie (ok. 120 poległych) z udziałem przedstawicieli najwyższych władz wojskowych, miejscowych harcerzy i lokalnych władz. Po uroczystościach uczestnicy byli zawsze podejmowani przez właścicielkę majątku Mołotkowa p. Matyldę Matkowską.



Mołotków. Mogiła poległych Legionistów w 1914 r.

Zawieszenie broni 11 listopada 1918 roku nie przyniosło spokoju Huculszczyźnie i całej Wschodniej Galicji. Austriacy bowiem, opuszczając te tereny w listopadzie 1918 roku, oddali je Ukraińcom. Rozpoczęła się wojna polsko-ukraińska. Dopiero w drugiej połowie 1919 r. Nadwórna została wyzwolona przez wojska polskie pod dowództwem gen. Żeligowskiego i przy wsparciu POW.

Władze polskie w 1919 roku ustanowiły Nadworną siedzibą powiatu o powierzchni 1939 km².

Tuż przed wybuchem II wojny światowej Nadwórna liczyła ok. 11 tys. mieszkańców. Z tej liczby około 40% stanowili Żydzi, 35% Ukraińcy i 25% Polacy. W latach 1890-1918 osiedliło się tutaj kilka rodzin austriackich, alzackich, czeskich, niemieckich, ormiańskich i pochodzenia włoskiego. Wtedy to przybyli do miasta: Bauerowie, Deckertowie, Fischerowie, Hanusowie, Hofbauerowie, Karcherowie, Klemensowie,

Menscheckowie, Perchałowie, Peschekowie, Petrusowie, Schmidtowie, Passakasowie, Teodorowiczowie, Wilczkowie i inni. Byli to wysokiej klasy rzemieślnicy, kupcy i urzędnicy. Szybko spolonizowali się tworząc fachową elitę miasta. W mieście jako siedzibie powiatu znajdowały się: starostwo, wydział powiatowy, inspektorat szkolny, sąd powiatowy, komenda powiatowa i miejska policji oraz inne instytucje. Oprócz kościoła rzymsko katolickiego i cerkwi grecko katolickiej było kilka synagog i żydowskich domów modlitwy. Społeczność żydowska w mieście liczyła ok. 5000 osób, byli to przeważnie kupcy i rzemieślnicy. Żydzi osiedlili się w Nadwórnej już w XVII wieku.

Miała Nadwórna piękny szpital powiatowy, którego długoletnim dyrektorem był dr Beltowski. Miała ochronki (przedszkola) polską i ukraińską, dwie siedmioklasowe szkoły powszechne (podstawowe) – jedną żeńską, a jedną męską. Od 1936 r. działało gimnazjum koedukacyjne, którego dyrektorem był prof. Folprecht.

W okresie 1919-1939 starostami nadworniańskimi byli: S. Siekierski, S. Wolski, Z. Robakiewicz i S. Sokół, który został następnie prezydentem Gdyni, a po wkroczeniu Niemców został tam przez nich zamordowany. Gospodarką miasta kierowali burmistrzowie, którymi byli zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Byli to m.in.: J. Androwski, W. Swyszcz, Demiańczuk i J. Żelisko.

Życie kulturalno-społeczne i polityczne Polaków skupiało się w organizacji paramilitarnej „Strzelec”, w Związku Inwalidów Wojennych, w Związku Rezerwistów i Kombatantów. Istniał Związek Szlachty Zagrodowej oraz Stowarzyszenie Kupców i Przemysłowców. Działało prężnie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, które dysponowało własną salą widowiskową i gimnastyczną. Przy „Sokole” działał teatr amatorski i chór. Istniało też Towarzystwo Szkoły Ludowej z własną świetlicą i biblioteką. Dzięki staraniom proboszcza nadworniańskiego ks. J. Smaczniaka w latach trzydziestych wybudowano Dom Parafialny z salą kinowo-teatralną.

Prężnie działała drużyna harcerska. Życie sportowe skupiało się w czterech klubach: w Polskim Klubie Sportowym „Bystrzyca”, Ukraińskim Klubie Sportowym „Beskid”, w Żydowskim Klubie Sportowym „Hakoah”. Na krótko przed wybuchem wojny rozpoczął działalność Polski Klub Sportowy „Strzelec – Strymba”. Ukraińcy skupiali swą działalność kulturalno-oświatową w Domu Narodowym. Mieściło się tam towarzystwo gimnastyczne „Łuh”, organizacja oświatowa „Proświta” oraz organizacja młodzieżowa „Plast”.

Żydowskie życie kulturalno-społeczne kierowane było przez kahał. Działało prężnie Stowarzyszenie Kupców Żydowskich oraz Koło Adwokatów Żydowskich.

Druga wojna światowa przerwała ustabilizowany tryb współżycia mieszkańców tego miasta. Armia Czerwona zajęła Nadwornę 20 września 1939 roku. W październiku tego roku na podstawie przeprowadzonego „referendum” Nadwórna wraz z całym obszarem województwa stanisławowskiego została wcielona do Radzieckiej Ukrainy. W okresie od

września 1939 do czerwca 1941 roku Nadwórna stanowiła ważne centrum przerzutu ochotników do Armii Polskiej gen. Sikorskiego we Francji. Przez Karpaty, a stamtąd do Francji lub na Bliski Wschód. Więzienie w Nadwórnej wypełniło się już w 1939 r. tymi młodymi Polakami, których ucieczka przez „zieloną granicę” nie powiodła się i zostali złapani przez żołnierzy radzieckich.

Zajęcie Nadwórnej przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 r. rozpoczyna okres tragedii mieszkańców tego miasta, tragedii niewyobrażalnej w cywilizowanym świecie. Oprócz aresztowań patriotów polskich przez NKWD w 1940 r. wywieziono setki mieszkańców tego miasta i powiatu nadwórniańskiego do ZSRR, przeważnie do Kazachstanu i na Syberię. Wywożono całe rodziny z niemowlętami i starcami.

Z powodu braku miejsca w więzieniu w Nadwórnej część więźniów przewożono do więzień w Stanisławowie. Opuszczając to miasto w czerwcu 1941 r., NKWD wymordowało tam więźniów politycznych. Mordu na więźniach dokonało też NKWD w samej Nadwórnej, gdzie życie straciło ok. 80 osób. Groby tych ofiar znaleziono nad rzeką Bystrycą na drodze do wsi Mołotków i w okolicy wsi Łojowa.

Po zajęciu Nadwórnej w czerwcu 1941 r. przez Niemców okres martyrologii jej mieszkańców trwał nadal. Getto w Nadwórnej założyli Niemcy 20 VI 1942 r., a w końcu tego roku zostało ono zlikwidowane. Niemcy, pod kierownictwem gestapowca Brandta w październiku i w listopadzie 1941 r. wymordowali ok. 3500 Żydów. Ocenia się, że wymordowano lub wywieziono do obozu zagłady w Bełżcu ok. 5 tys. Żydów nadwórniańskich. Z rąk Gestapo zginęło lub zostało wywiezionych do obozów zagłady równie wielu Polaków. Szczególnie prześladowano członków Armii Krajowej. Rozstrzeliwano ich w więzieniach Gestapo w Stanisławowie. W latach 1942-1944 narastał fanatyzm nacjonalistów ukraińskich. Bandy UPA napadały na Polaków i dokonywały krwawych mordów całych polskich rodzin. Wyrzynano w pień polskie wsi i osiedla. Ocenia się że, w okresie od 1939 do 1945 r. w Nadwórnej zginęło ok. 63000 mieszkańców.

W 1945 r. ludność polska w Nadwórnej i powiatu nadwórniańskiego została przymusowo przesiedlona na tzw. Ziemię Odzyskaną. Po mordach dokonanych przez NKWD, Gestapo i UPA, po przymusowym opuszczeniu ojcowizny, dorobku całych pokoleń — trzeba było rozpocząć nowe życie, na nowych terenach, często spotykając się z niechęcią ludności autochtonicznej.

Mieszkańcy Nadwórnej osiedlili się przeważnie na Dolnym Śląsku w Nowej Rudzie i okolicznych wioskach: Włodowice i Jugów, w Legnicy, we Wrocławiu, w Głubczycach, Ząbkowicach, Prudniku, Paczkowie, Brzegu i Opolu. W Nadwórnej pozostało tylko kilka rodzin polskich. Przeważnie były to małżeństwa polsko-ukraińskie.

Dziś Nadwórna wchodzi w skład „oblasti iwano-frankiowskiej”. Stanisławów obecnie to Iwano-Frankiówsk i leży na terytorium Ukrainy. Liczy ok. 16 tys. mieszkańców. Do polskości w samej Nadwórnej

przynajmniej się tylko 30 rodzin, a w całym powiecie nadwórniańskim ok. 100. Ośrodkiem polskości jest tam kościół rzymskokatolicki. Kościół nadwórniański w okresie władzy radzieckiej został zamieniony na magazyn. W 1991 r. dzięki przychylności władz Ukrainy został przyjęty przez Polaków w stanie kompletnej ruiny. Dziś kościół jest częściowo odbudowany. Odbuwają się w nim msze św., w niedzielne popołudnia. Nadwórna i Kołomyja stanowią jedną parafię rzymsko katolicką i należą do dekanatu inwanofrankiowskiego (stanisławowskiego). Dużą zasługę przy odbudowie kościoła w Nadwórnej położył ks. dziekan Kazimierz Halimurka, oraz państwo Szymanowscy — mieszkańcy miasta, którzy pozostali w nim i nie wyjechali do Polski. Proboszczem parafii kołomyjsko-nadwórniańskiej jest ks. Buk. W 1992 r. rozpoczęło działalność w tym mieście Towarzystwo Kultury Polskiej na Ukrainie. Oddziałowi nadwórniańskiemu tego Towarzystwa przewodzi pan Piotr Lewicki — nauczyciel historii. Dalsza odbudowa kościoła, a szczególnie pokrycie go dachem oraz rozwój działalności Towarzystwa Kultury Polskiej w Nadwórnej w dużej mierze zależeć będzie od wsparcia otrzymanego z Polski.

Dziś samo miasto jest znacznie rozbudowane i unowocześnione. Jest siedzibą dużej rafinerii nafty oraz kombinatu leśnego z przedsiębiorstwem produkcji płyt laminowanych. Okolice miasta to teren pokryty szybami naftowymi, gdzie oprócz ropy wydobywa się gaz ziemny. W mieście działa kilka szkół średnich. Powiat nadwórniański pokrywa sieć dróg asfaltowych, a miasto stało się ważnym centrum komunikacyjnym. W wyniku działalności Towarzystwa Kultury Polskiej na Ukrainie i przychylności miejscowych władz odradza się polskość na tych ziemiach. Coraz odważniej mieszkańcy Nadwórnej przyznają się do polskich korzeni.

We wrześniu 1992 r. zostały odbudowane krzyże na poboju legionistów II Brygady pod wsią Mołotków oraz na przełęczy Pantyrskiej. Krzyże te istniały w owych miejscach do chwili zajęcia tych terenów przez Armię Czerwoną w 1939 r. Na cmentarzu nadwórniańskim zachowało się tylko kilkanaście grobów polskich mieszkańców. Zachowała się tam również mogiła powstańca z 1863 roku oraz mogiła legionistów II Brygady poległych w 1914 r. Do dziś istnieje wspólny grób policjantów poległych w 1921 r. w walce z bandytyzmem. A oto nazwiska polskie, które można jeszcze odczytać na nagrobkach: Franciszek Czepielewski (1902-1937), Jan Roński (1863-1921), Salwarowski, Zasławska, Łękawa, Abgarowicz de Abga (lekarz), Konarscy, Wierzbowsy, Gregorowicz, Zagórska, Czerny, Tyszkowski, Dobrzaniecka, Wolska, ks. Jabłonowski, Gębkowscy, Szajna, Temporalówna, Pasieczna, Masarski, Antoni Bidziński (1944).

Opisane tu losy tego małego kresowego miasteczka są tylko fragmentem tragedii, jaką przeżyły setki tysięcy mieszkańców tej części Rzeczypospolitej, która dziś wchodzi w skład Ukrainy i Białorusi.

A zamek nadwórniański wznosi ciągle w niebo swoje ruiny, które każą zwiedzającym zastanowić się nad przemijaniem wszystkiego, co ludzkie.

Było sobie takie miasteczko na Pokuciu

Malowniczo wśród lesistych wzgórz nad rzeczką Czernicową, dopływem Prutu, leży Gwoździec. Przed 1939 rokiem administracyjnie należał do powiatu Kołomyja woj. stanisławowskiego.

Jak wiele kresowych grodów narażony był Gwoździec na najazdy sąsiednich Wołochów, Tatarów, Turków. Dlatego już w XIV wieku zbudowano tu warowny zamek, który odegrał znaczną rolę w odpieraniu wrogów.

Pokucie miało wielu panów: ruskich, polskich, węgierskich, bowiem Ludwik Węgierski nadał tę ziemię ks. Władysławowi Opolskiemu, a ten przekazał ziemię kołomyjską w tym i Gwoździec szlachcicowi ruskiemu Waszce Teptukowiczowi, po którym jego synowie jakiś czas tą ziemią władali.

Parafia rzym-kat. powstała w Gwoźdźcu w 1475 roku, drewniana świątynia była pod wezwaniem Zwiastowania N.M.P. Nasilenie się najazdów tatarskich i tureckich w końcu XVI i w XVII wieku spowodowało zniszczenie sieci parafialnej na Pokuciu, w tym parafii w Gwoźdźcu. Na początku XVIII wieku reaktywowano ją, a stało się to dzięki staraniom i funduszom możnego rodu kniaziów Puzynów. W 1715 roku Michał Puzyna, pisarz litewski, osadził w Gwoźdźcu zakon o.o. Bernardynów. Wybudowano drewniany kościółek i 7 czerwca 1719 r. sporządzono akt fundacji i zapisu na rzecz Zakonu. Akt fundacji został wpisany do Metryki Koronnej 10 kwietnia 1723 r. W pięć lat od tej daty tj. w 1728 r. spłonął drewniany kościół i klasztor zakonników. Na budowę nowego kościoła, ale już podobnie jak i klasztoru murowanego, Zofia Puzynina zapisała sporą sumę i kosztowności. 29 kwietnia 1730 r. poświęcono kamień węgielny, budowę wspierali spadkobiercy księcia Michała Puzyny. Zbudowana jednonawowa, barokowa świątynia, posiadała pięć ołtarzy z których szczególnie piękny był główny, wsparty na wysokich kolumnach z cudowną figurą Chrystusa na krzyżu. Z kościołem połączony był murowany, piętrowy, trzyskrzydłowy klasztor. Budowa jego trwała lat 10, ukończono ją w 1730 roku dzięki pomocy kasztelana sochaczewskiego Krzysztofa Mierzejewskiego i ofiarnej pracy parafian, szczególnie z rodziny Krasnodębskich. W klasztorze mieszkało ok. 15 zakonników, którzy prowadzili pracę duszpasterską w Gwoźdźcu, Kułaczkowcach i 20 okolicznych wsiach. Oprócz działalności duszpasterskiej, klasztor rozwijał działalność oświatową. Założona w 1784 roku szkoła parafialna przez z górą sto lat, bo do 1885 r. pełniła swą służbę. Przy klasztorze był wzorowo prowadzony ogród warzywny, owocowy, kwiatowy, pasieka, a w dwóch dużych stawach hodowała ryb. Klasztor spełniał też rolę charytatywną. W roku 1770 Pokucie zostało dotknięte zarazą. Dokonała ona w Gwoźdźcu ogromnego spustoszenia, obok znacznej liczby mieszkańców zmarło 8 zakonników. Kościół opustoszał, groza zawisła nad ludźmi. Z opuszczenia przez 34

lata swego wielce pożytecznego rządzenia parafią, podźwignął go gwardian O. Eukarpisz Weigel. Dbał on o potrzeby duchowe i doczesne wiernych, założył przy klasztorze infirmerię, coś w rodzaju szpitala, jednego na tym terenie. Dbał też o rozwój oświaty, szczególnie szkołę.

Od połowy XIX w., aby usprawniać pracę duszpasterską, w rozległej parafii zaczęto budować kaplice i małe kościółki w okolicznych wsiach: Dżurkowie Sorokach, Zahajpolu, w Rosohacz, Słobódce Polnej. Konsolidowało to społeczność katolicką utożsamianą z polskością. 3 września 1888 piorun uderzył w kościół gwoździecki. Spaliły się: gontowy dach, wnętrze i część klasztoru. Utworzono Komitet odbudowy, który zbierał fundusze na terenie całej Galicji.

Dopiero po 8 latach 28 czerwca 1896 r. arcybiskup krakowski Jan Puzyna dokonał konsekracji odbudowanego kościoła. Ks. Biskup urodził się w 1842 roku w Gwoźdźcu. W Jego pogrzebie w roku 1911 w Krakowie wzięła udział delegacja z Gwoźdźca w osobach ówczesnego wójta Mikołaja Krasnodębskiego i rolnika Piotra Traczuka w pięknych strojach huculskich.

Na odpust, który odbywał się w Gwoźdźcu 13 czerwca przychodziły pielgrzymki niemal z całego Pokucia. Od rana do późnego wieczoru w kościele odbywały się nabożeństwa odprawiane przez księży grekokatolickich. Przed dużą kamieną dzwonnica, stały dziesiątki kolorowych kramów obleganych przez młodzież, dzieci i dorosłych. Radosne śpiewy, mieszały się z głosami piszczałek, kogucików blaszanych, trąbek, a nad wszystkim tym radosnym zgiełkiem górowała melodia spizowych dzwonów, których dźwięk słychać było wiele kilometrów. To było święto, święto radosne i oczekiwane, bratające Polaków, Rusinów, Ormian a nawet Żydów handlujących w ten odpustowy dzień.

Żydzi przeważnie zajmowali się w Gwoźdźcu handlem oraz rzemiosłem, ich sklepiki i warsztaty były charakterystycznym akcentem krajobrazu Gwoźdźca. W połowie XVII wieku wybudowano tu Synagogę, którą pięknie ozdobił malarz Izaak Leib. Uległa ona spaleni, a na jej miejscu zbudowano murowaną, odnowioną po zniszczeniach I wojny światowej, którą zniszczono kompletnie w 1941 roku podczas okupacji niemieckiej.

W drugiej połowie XIX wieku ludność żydowska w Gwoźdźcu miała zdecydowaną przewagę — w 1881 roku Polaków było 230, Rusinów 354, Żydów 973. Grekokatolicy posiadali w Gwoźdźcu swoją świątynię. Była to 5-cio kopułowa cerkiew z drewnianą dzwonnica.

Wiele małżeństw było mieszanych, a wówczas dzieci chrzczono według życzenia rodziców. Relacje między katolikami czyli Polakami, a grekokatolikami czyli Rusinami niemal do wybuchu II wojny były w Gwoźdźcu przyjazne. Obok Rusinów i Żydów w Gwoźdźcu i okolicznych wsiach właścicielami dworów byli Ormianie. W Kułaczkowcach i Trofanówce: Agopsowicze,

w Gwoźdźcu Bogdanowicze, Bohosiewicz. Wszyscy żyli w zgodzie i przyjaźni, co w dniach zarówno świąt jak i klęsk żywiołowych można było stwierdzić. A było tak w roku 1911, kiedy to ulewne deszcze spowodowały wylew Czerniawy i pomniejszych potoków, powodując duże straty. W następnym roku w pobliskich wsiach: Winograd, Chwaliboga, Czechowa wiele osób chorowało na tyfus, nadmiar pożar strawił część zabudowań Gwoźdźca. Rok 1913 też należał do ciężkich ze względu na deszcze które padały przez dwa letnie miesiące co spowodowało klęskę nieurodzaju i drożyznę. I w tym wypadku wzajemna pomoc pozwalała przeżyć trudny czas. Nadszedł rok 1914. Podczas ofensywy rosyjskiej w czerwcu 1916 r. front przesunął się pod Gwoździec. Część mieszkańców uciekła, część schroniła się w murach klasztoru. Działania wojenne wyrządziły wiele strat w ludziach, bydło, budynkach, nastąpiły czasy głodu, nędzy i chorób. Klasztor zorganizował pomoc, wspomagał mieszkańców bez względu na narodowość czy wyznanie.

Zniszczony na skutek działań wojennych i wielokrotnych przemarszów wojsk austriackich i rosyjskich, Gwoździec z trudem dźwigał się ze zniszczeń. W pierwszych latach niepodległości w odbudowie miasteczka założyli się szereg osób. Należał do nich ks. gwardian Telesfor Gabryl, inż. Jasiński, Stefania Krasnodębska i inni, którzy zorganizowali samorząd z burmistrzem i ławnikami, wśród których byli reprezentanci wszystkich narodowości. Powstało Koło Rolnicze z wielobranżowym sklepem, Kasą Reifeisena, zorganizowano pomoc dla najbardziej poszkodowanych i inwalidów wojennych. Racjonalnie wykorzystywano amerykańską pomoc dla podniesienia rolnictwa. Ziemia Pokucia należała do żyznych, była to gleba pszenno-buraczana, która dawała bardzo dobre plony mimo, iż rolnictwo bazowało na pracy fizycznej i zaprzęgu konnym. Przemysł rolny na skutek braku funduszy i taniej siły roboczej, był słabo rozwinięty. W miasteczku był tylko jeden młyn wodny na rzece Czerniawie, olejarnia bazująca na słonecznikach, od których złociły się latem łąny, a jedna cegielnia zaspokajała potrzeby budownictwa opartego o drewno. Spokojne czyste miasteczko, choć nie było skanalizowane i do II wojny nie było zelektryfikowane ożywiało się w dni targowe tj. w poniedziałki. Wówczas to z pobliskiej Czarnohory zjeżdżali Huculi w swych sukiennych czerwonych spodniach, białych lnianych koszulach i baranich kiptarach haftowanych czerwoną nicią. Przywozili drewno, budulec, wyroby ze skór baranich, wspaniały owczy ser. Okoliczni chłopci też w ludowych strojach lnianych pięknie haftowanych, przyprowadzali bydło, dorodne czerwono-brązowe krowy, świny a nawet kozy. Przy ciepłym klimacie uprawiano tytoń, wożony do fabryki w Zabłotowie. Buraki cukrowe wywożono koleją do cukrowni pod Horodenką. Dojrzawały tu nawet winogrona, morele, i orzechy, nie mówiąc o obfitości innych owoców jak śliwek, czereśni, gruszek i jabłek. Plody rolne i owoce były tu najtańsze w porównaniu do cen w innych części Polski.

Rzemiosło, a przede wszystkim handel był zdominowany przez Żydów. Ich sklepy (przeszło 70) zajmowały Rynek, a jedyny hotel usytuowany był obok

torów kolejowych prowadzących do Zaleszczyk. To też wielką uciechę mieli jadący pociągami podróżni czytając duży szyld: „HOTEL DO SPANIA właściciel URCIO SZLAM”.

Stosunkowo nie dużo było w mieście Rusinów, ośrodkiem ich był nowo zbudowany „Narodnyj Dim” w którym obok sali teatralnej mieściła się bardzo dobrze prosperująca kooperatywa zaopatrzona w różnorodny towar, słowem w to, czego chłop-rolnik potrzebował. Była też mleczarnia produkująca doskonałe masło eksportowane do Niemiec. Sklep ten nazywał się „Masłosojuz” i cieszył się dobrą renomą. Tu miały również swoją siedzibę ukraińskie stowarzyszenia. Dopiero podczas okupacji, my Polacy mogliśmy poznać ich prawdziwą działalność i cele, przed tym maskowane działalnością kulturalną i gospodarczą.

W miasteczku było tylko kilka budynków z cegły, m.in. duży budynek Sądu Grodzkiego za którym stało więzienie i piętrowy budynek 7-mio klasowej szkoły powszechnej. Miała ona w okresie międzywojennym wielu dobrych nauczycieli, jak małżeństwo Giżejowskich, Świtalskich, Bączkowskich, Ilnickich, oraz siostry Maria i Zofia Szaszkiewiczówny. Byli to często nauczyciele społecznicy, organizowali teatr szkolny, byli inspiratorami życia kulturalnego, gdyż w miasteczku nie było nawet kina, a mało osób posiadało radio. Ośrodkiem życia kulturalnego były też organizacje Sokół, Strzelec, Koło Gospodyń, w szkole Harcerstwo. W 1930 roku Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” miało siedzibę w stylowym drewnianym, pięknym budynku, który niestety spłonął. W czynie społecznym i pomocy okolicznych ziemian zbudowano w latach 30-tych okazały ceglany budynek. Była tu duża sala teatralno-balowa, biblioteka, sale gier a nawet Urząd Miejski. W życiu miasteczka miała też swój udział Straż Pożarna zwana Fajermanami. Strażacy w swych granatowych szamerowanych mundurach, w błyszczących, złotych kaskach uświetniali wszystkie uroczystości, szczególnie kościelne, np. podczas Wielkiejnocy (straż przy grobie Chrystusa) czy Bożego Ciała. Natomiast „Sokoli” i „Sokolice” w pięknych strojach uświetniali festyny, pokazy gimnastyczne i inne sportowe imprezy. Przy budynku „Sokoła” rozciągały się boiska, korty tenisowe, słowem tereny rekreacyjne dla wszystkich, a chętnych nigdy nie brakowało. Miejsce było latem ocienione wiekowymi lipami, co nadawało dodatkowych atrakcji. Ozdobą miasteczka był malowniczo, na wysokim brzegu Czerniawy położony pałac książąt Puzynów. Po lewej jego stronie rosła grupa wspaniałych dębów pamiętająca, jak głosiła tablica pod jednym z nich, przemarsz wojsk idących z hetmanem Tarnawskim pod Obertyn. Niestety historyczne dęby zostały wycięte po roku 1946.

W pałacu Puzynów ostatnie dni swego młodego życia dokonał poeta i żołnierz Powstania Listopadowego: Dominik Magnuszewski, pielęgnowany przez księżnę Hortensję Puzyninę, córkę generała Dwernickiego. Poeta zmarł 25 lutego 1845 r. i pochowany został na gwoździeckim cmentarzu, obok nekropolii książąt Puzynów. Postawiono Mu piękny nagrobek na którym widnieje szablą, księgą, a na niej pióro. Do tego XVIII wiecznego, obrosłego kasztanami i jesionami cmentarza prowadziła ulica królowej Jadwigi.



Grób Dominika Magnuszewskiego

Przy tej ulicy mieszkał ród Krasnodębskich, skoligacy z niemniej liczny rodem Traczuków i Jarosławskich. Z tego rodu wywodziło się wiele zasłużonych dla rozwoju miasteczka osób, jak wieloletni jego wójt Mikołaj Krasnodębski (jego wnuk Włodzimierz brał udział w bitwie pod Monte Cassino). Drugi „Montecassińczyk”, kawaler wielu orderów, w tym *Virtuti Militari*, to Władysław Traczuk, którego matką była Helena Krasnodębska. Po wojnie zamieszkał w Kanadzie, gdzie był jednym z najbardziej aktywnych założycieli i członków Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Przy ulicy Królowej Jadwigi urodzili się: Maria Jarosławska (po mężu Żabska) malarka i znany po II wojnie w Krakowie (gdzie miał parę wystaw) malarz, Edward Filip. W Gwoźdźcu urodził się również reżyser Jerzy Kawalerowicz i jego brat Zbigniew, który zmarł w wieku chłopięcym i spoczywa na gwoździeckim cmentarzu. Rodzina Jerzego Kawalerowicza ma też swój znaczący udział w podniesieniu kultury miasteczka. Było miejscem urodzenia wybitnych duchownych: wspomnianego arcybiskupa, kardynała ks. Jana Puzyny, obecnego biskupa lwowskiego Rafała Kiernickiego, ks. Mariana Opalińskiego z pobliskiej wsi Winogród, którego całą rodzinę wymordowała UPA w 1944 roku oraz Kapelana Sybiraków zesłańca Ks. Edmunda Cisaka.

Ostatnie lato Gwoźdźca w granicach II RP było słoneczne i upalne jak w całej Polsce. W pamiętny piątek 1 września radio podało wiadomość o napaści Niemiec na Polskę. Na murach ukazało się orędzie prezydenta Ignacego Mościckiego. Zaczęły obowiązywać rozporządzenia stanu wojennego. 3 września w niedzielę po sumie w kościele rozeszła się wiadomość o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię i Francję, ludzie nabrali otuchy.

Dopiero po paru dniach zaczęli napływać uciekinierzy z zachodu, a potem na drodze prowadzącej do pobliskiej granicy rumuńskiej zaczął się ruch, zarówno w dzień, jak i nocą.

Jak grom z nieba spadła wiadomość o przekroczeniu granicy przez wojska sowieckie. I rzeczywiście, na udekorowanym śpiesznie przez Ukraińców i Żydów moście na Czerniawie ukazały się czołgi, wozy i w długich szaroburych szynelach i czapkach z gwiazdą, sowieccy żołnierze.

Powiało niepokojem i grozą. Na organizowanych mityngach obok przedstawicieli najeźdźców, szkolali Poskę niestety niektórzy znani nam Żydzi i Ukraińcy. Język ukraiński, którego dotychczas uczono od II do VII klasy, stał się językiem nauczania. W szkole zatrudniono nowych nauczycieli w tym j. rosyjskiego. Do listopada miały Grodziec opuścić wszystkie osoby, które tu przybyły z za Sanu. Okoliczne dwory zostały ograbione, a ich właściciele (jak Agopsowicze) zostali aresztowani. Wdowa po księciu Leonie Puzynie Zofia z Platerów wraz z córką Teresą i synem Stanisławem opuściła pałac i ukrywała się w polskich domach. Pod koniec września zaczęli powracać żołnierze polscy z 49 pułku piechoty (stacjonujący przed wojną w Kołomyi). Kilku (jak Stanisław Cisak, student medycyny) zginęło, niektórzy jak Jan Wadowski, Henryk Krasnodębski, przeszli poprzez Węgry na Zachód. Nieliczni, w ich liczbie Władysław Traczuk, usiłowali przekroczyć pobliską granicę rumuńską. Udało to się Włodzimierzowi Semotiułkowi, który potem walczył również pod Monte Cassino.

Nadeszła niezwykle śnieżna i mroźna zima 1939/1940 roku, a z nią tragiczny świt 10 lutego 1940, kiedy to do bydłych wagonów ładowano całe polskie rodziny nie wyłączając dzieci i starców. Służbę porządkową przy wagonach pełnili Żydzi i Ukraińcy, którzy jeszcze tak niedawno stanowili przyjazną zdawało się część naszej miasteczkowej społeczności. Z Gwoźdźca wywiezione zostały rodziny policjantów, a z tych pamiętam panią Kwiatkowską, Klimczakową, Obłąkowską, Wadowską — wszystkie z dziećmi.

Z kolonii Gwoździeckiej ze swych gospodarstw zostali wywiezieni: Józef Babiarz z żoną Heleną i dziećmi (9 osób), Maria Cieśla z córką Bronisławą, Anna Woźniakowska z 6 mies. córeczką, Andrzej Bularz z jedną córką i synem, Karol i Wiktoria Grocholscy, Józef Mach z żoną Anielą i trójką dzieci, Józef Wszolek z żoną Marią i 3 dzieci, Karol Cisak z żoną Marią i 3 dzieci, Jakub Cebula z 5 dzieci, Stanisław Śniatecki z żoną i 4 córeczkami, Andrzej Haдук z żoną Rozalią i 6 osobami z rodziny, Jan Śniatecki i Zofia z 4-ką dzieci, Józef Kuźniar z synem, Stanisława Orłowska w ciąży (córeczka urodziła się na Syberii), Stefania Kubik z 2 synami, Wojciech Cieśla z żoną i jej rodzicami, Rozalia Cieśla i 1-no roczną córeczką Alicją, Melania Borgula z 4 dzieci, Andrzej Gacal z matką, i synem, Stanisław Szumlański z żoną Walerią i 2 synami, Maciej Harhala z żoną i 3 synami, Zofia Harhala z synem, Paweł Baran z żoną Magdaleną i 4-ką dzieci, Mieczysław Cisak z żoną Wiktoria i 2 synami, Stanisław Grocholski z żoną Anną i 4 dzieci, Emil Sajewicz z żoną, Kazimierz Blanki z żoną Wandą, Władysław Opaliński z żoną Honoratą i 2-ma córkami, Maria Bizoń z 2 synami.

Wywóz lutowy był ogromnym szokiem dla pozostających. Żyliśmy w ogromnym napięciu i ciągłym ocze-

kiwaniu na następny wywóz, który miał miejsce 13 kwietnia 1940 roku. Po otrzymaniu listów z Syberii, życie skoncentrowało się na wystawianiu w kolejkach po chleb, który suszono na suchary, cukier, kaszę, mydło i wysyłano to wraz z odzieżą do rodzin wywiezionych. Zmora życia stały się najczęściej nocne rozmowy na komisariacie NKWD, z których nie zawsze się powracało do domu, ale zawsze **musiało się podpisać oświadczenie**, że nikt się nie dowie nawet z rodziny o treści i przebiegu rozmowy. Ten **system szukania konfidentów**, trzymania w nieustannym zagrożeniu rujnował Polaków psychicznie. Toteż z ulgą powitaliśmy wybuch wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 roku. Zdawało się, że najgorsze za nami, że już bliżej końca wojny. Niewielu z mieszkańców Gwoźdźca wiedziało o obozach koncentracyjnych i terrorze niemieckim, niektórzy sądzili, że to tylko propaganda komunistyczna. Rzeczywistość okazała się inna. Na naszym terenie Niemcy wysługiwali się głównie Ukraińcami. Straszne czasy nastały dla Żydów, którzy nie uciekli z sowieckimi wojskami. Wszystkich starano się zamknąć w getcie ale ponieważ część z nich nie podporządkowała się temu rozkazowi, Niemcy podpalili Rynek; spłonęły domy a w nich wielu Żydów. Resztę pogнали częściowo pieszo, częściowo na furmankach do lasów w Szeparowcach za Kołomyją, gdzie dokonał się ich tragiczny los. Jednak znaleźli się w Gwoźdźcu Polacy, którzy pomagali Żydom. Do nich należała m.in. Stefania Krasnodębska, moja matka, małżeństwo Janina i Karol Krzeszowiczowie. Ukryli oni w piwnicy pod swą stajnią 5-ro Żydów: Mendla, Moszka i Frydla Bergmanów oraz Preszla i Stelle. Małżeństwo Aniela i Piotr Nosał ukryli żydowską rodzinę: Neubargerów, którzy również doczekali końca wojny i wyjechali do Stanów Zjed-



Kościół parafialny i klasztor OO Bernardynów z 1723 r.
w Gwoźdźcu pow. Kołomyja

noczonych. Ci, którzy ocaleli spowodowali, że zarówno Krzeszowiczowie jak i Nosalowie otrzymali DYPLOM HONOROWY wydany w Jerozolimie 1 sierpnia 1985 roku przez Instytut Pamięci YAD VASHEM i medal „sprawiedliwy wśród narodów świata”. Po blisko 50 latach od opuszczenia Gwoźdźca my, garstka jego dawnych mieszkańców razem z księdzem Edmundem Cisakiem odwiedziliśmy nasze miasteczko. W dniu odpustowym 13 VI poświęconym św. Antoniemu stanęliśmy przed naszym kościołem, wewnątrz którego z prawej strony nawy był kiedyś jego ołtarz. Przed kościołem stoi nadal kamienna figura św. Jana z Dukli, która przetrwała okupację niemiecką i sowiecką. Ze wzruszeniem weszliśmy do nowego kościoła którego wnętrze zostało odczyszczane przez ludzi którzy tu obecnie mieszkają.

Kresowi kapłani

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Serce oddał Podolu

Gródek Podolski zawsze był miasteczkiem, gdzie większość mieszkańców stanowili Polacy. Przed wojną były tu dwa kościoły, ale zostały zniszczone i rozebrane pod koniec lat 30. Po wojnie wierni wyznania rzymsko katolickiego zaczęli gromadzić się wokół kaplicy na starym cmentarzu. Z tych księży, którzy byli tu skierowani, na dłużej nie zatrzymał się nikt. Władza i jej „kompetentne organa” swoją pracę wykonywały na należytych poziomach. Ale do czasu.

Przed 18 laty został skierowany tu z dalekiej Łotwy ksiądz Władysław Wanaks. Przybył tu znad dalekiego Bałtyku, z Rygi i od razu pokochał te podolskie jary, pagórki i rzeczki.

Po raz pierwszy zetknął się z kapliczką, w której przyszło mu służyć wiernym i Bogu w późny styczniowy wieczór. Pogoda była „pod psem”. Roztopy. Brnął od bramy cmentarza po rozmiękłym śniegu, wpadając raz po raz w błoto. Pierwszą jego myślą było: — zbudować tu ludziom normalną ścieżkę, asfaltowaną lub moszczoną płytami”.

Władze znów zaczęły swą działalność w stosunku do nowego księdza. Ale tu kosa trafiła na kamień. Sam ksądz opowiadał, że to chyba Opatrzność Boża czuwała nad nim przez cały czas i pomagała przezwyciężać trudności i omijać pułapki. Jeżeli dodać do tego ogromną energię, poczucie humoru i swoistą umiejętność wybrnięcia z każdej sytuacji — to otrzymamy pełny szkic do obrazu księdza Władysława Wanaksa.

Pierwszą próbą księdza była próba ognia. Postanowiono spalić kaplicę i winę przerzucić na księdza. W wieczór poprzedzający swą pierwszą Wielkanoc na Podolu ksiądz porządkował jeszcze sprawy, przygotowywał się do jutrzejszego święta. Z tego powodu został dłużej w kaplicy. Nagle usłyszał wybuch i poczuł swąd dymu. Rzucił się do wyjścia i zobaczył dach objęty ogniem. Nie namysłając się

długo, zaczął płaszczem i sutanną gasić ogień. Za chwilę podbiegli ludzie i udało się uratować kaplicę. Pierwsza próba likwidacji parafii księdza Wanaksa nie powiodła się. Ileż jeszcze ich było — trudno zliczyć. Powiadał ksiądz, że nie było miesiąca, żeby nie był wzywany na „rozmowę” do władz, lub nie miał jakichś innych nieprzyjemności. Ale, na szczęście, to wszystko już minęło.

Stopniowo zaczął ksiądz odbudowywać kaplicę. Zaczął od wymiany podłogi. Przy tej okazji rozbudował podziemia tak, że mogli tam pomieścić się wierni. Tego władze przestraszyły się najbardziej — wierni w katakumbach! Pozwolono księdzu rozbudować kaplicę. Ksiądz Władysław zażądał po pięć metrów wokoło. Na zdziwione miny i pytania, czy nie można mniej, odpowiadał kategorycznie, że nie, bo Chrystus miał pięć ran. W końcu jakoś się zgodzono na te pięć metrów. Tu znów ksiądz przemyślał sytuację i rozbudował kościół tak, że za głównym ołtarzem zostawił miejsce i dopiero dalej dobudował kaplicę. Znów podniósł się krzyk — co to takiego? ... i kazano zlikwidować przerwę w zabudowie. Wykorzystano to na galerię wokół ołtarza. Z oknami znów było to samo. Zaproponowano tradycyjnie kwadratowe okna. Ksiądz zaprotestował, że to nie hala sportowa, a kościół i okna powinny być strzeliste i wysokości 5 metrów (motywacja jak wyżej). I tak miesiąc za miesiącem, wezwanie za wezwaniem, sąd za sądem i to wszystko oprócz normalnych obowiązków duchownego.



Pięć lat trwała rozbudowa kościoła. Teraźniejszą formę uzyskał on dopiero w 1987 roku. Jest to trzynawowa świątynia: środkowa nawa — to szerokość dawnej kaplicy, która tworzy teraz prezbiterium z głównym ołtarzem, boczne nawy — to jest to rozszerzenie po pięć metrów, dwie wieże z dzwonami, obszerna zakrystia. Jest to chyba jedyny kościół zbudowany na Ukrainie w dobie „rozwinętego socjalizmu”.

Ale tego nie wystarczyło księdzu. Tak się „wciągnął” w budownictwo, że mając do dyspozycji cały cmentarz, gdzie ostatni pochówek odbywał się w latach 30, postanowił zbudować dom starców. Po nowych „bojach” o swoje plany, zbieraniu materiałów budowlanych i planów budowy ksiądz uzyskał

wreszcie pozwolenie. Po 6 miesiącach powstał trzykondygnacyjny budynek. Wierni ofiarnie przyczynili się do jego budowy. Gdy już powstał Dom Opieki, powstał nowy projekt, żeby otworzyć tu seminarium duchowne.



I znów Ksiądz Wanaks miał udowodnić swoje racje i wytrzymać wszystkie przeciwności. Teraz jest to jedyne na Ukrainie wyższe seminarium duchowne. Już trzeci rok 50 alumnów studiuje teologię. Na stałe przebywa tu pięciu profesorów, a kolejnych pięciu dojeżdża z Polski na wykłady.

W Domu Opieki na razie 30 osób starszych i samotnych przebywa w pomieszczeniach nad garażami. Mieszczą się tu też pokoje gościnne. Gościnne są one nie tylko z nazwy. Ksiądz zawsze mile wita gości i zawsze ma dla nich skromnie zastawiony stół i miejsce na nocleg.

Jakby tej budowy w Gródku księdzu nie wystarczyło rozpoczął on budowę, przebudowę i remonty jeszcze 18 obiektów w swojej parafii. Zabiega o pomoc z Polski dla tych kościołów w postaci akcesoriów kościelnych: dzwonów, szat i naczyń liturgicznych. Pomoc ta napływa nieprzerwanie.

Mimo, że teraz księdzu Władysławowi pomagają już i inni księża, to i tak wszystkie sprawy stara się załatwić sam. Zawsze chętnie zamieni bodaj parę słów z gośćmi.

Trzeba tu zaznaczyć, że kościół nigdy nie stoi pusty, a w święta to nawet ludzie stoją na ulicy. Naturalnie, przed kościołem nie ma już tej błotnistej ścieżki, tylko szeroki plac obłożony płytami, jest brama wjazdowa z figurami świętych. Wszystko to zostało wtopione naturalnie w ten stary cmentarz, na którym już praktycznie nie widać mogił, a tylko wśród kwiatów i drzew stoją krzyże i nagrobki.

Na nasze zdumione pytania, jak to wszystko udało się zrealizować bądź co bądź w latach 70 i 90 — skromnie odpowiedział, że to Opatrzność Boska czuwa nad nim i nad wszystkimi jego poczynaniami. Człowiek ten, mimo że przeniesiony został w całkiem inne realia życiowe, nie znając prawie języka polskiego, wtopił się w Podole, jak by był stąd rodem, wtopił się w ten krajobraz całym sercem i został pokochany za to przez wiernych.

Jeszcze raz Czortków

(...) Urodziłem się 27 grudnia 1909 r., jednak z młodości wczesnej nic nie pamiętam. W 1914 r. ojciec został powołany z pierwszą mobilizacją jako podoficer, a matka wraz z babką musiała uciekać, pozostawiając mieszkanie. Do Czortkowa wróciliśmy dopiero w lecie 1918 r. Z mieszkania nic nie zostało.

Nabyte później wiadomości pozwoliły ustalić, że Czortków, a właściwie Czartków, od nazwiska właścicieli Czartkowskich — leżał w samym środku późniejszego województwa tarnopolskiego i on na początku był przewidziany na miasto wojewódzkie. Przeważała jednak intencja podniesienia rangi Tarnopola, leżącego bliżej granicy z Rosją Bolszewicką. Były to ziemie Rusi Czerwonej (od Grodów Czerwieńskich leżących u styku Zbrucza z Dniestrem). U zbiegu rzek leżały Okopy św. Trójcy, gdzie później Zygmunt Krasiński umiejscowił swoją *Nie-Boską komedię*. Ziemię piękną i urodzajną poprzeryzaną jarami rzek wpływającymi do Dniestru jako zlewiska Morza Czarnego Jadwiga wniosła we wianie Jagielle w XIV wieku i od tego czasu bez przerwy należały one do Polski, a później do zaboru austro-węgierskiego.

Czortków zamieszkiwały trzy nacje: Polacy, Rusini, którzy później przemianowali się na Ukraińców, i Żydzi. W miejscowości Biała, po drugiej stronie Seretu zamieszkiwali Tatarzy zachowujący swój strój, ale używający języka ukraińskiego.

Lasów mało. Na stokach jaru zwanego Ścianką w I wojnie światowej wycięto drzewa, które ułożone w sągi służyły do opalania lokomotyw linii kolejowej Monasterzyska — Czortków. Gdy zabrakło paliwa maszynista zatrzymywał pociąg i z pomocnikiem ładowali drzewo w polanach na dalszą jazdę. Na Ściance rósł już później tylko młodniak i drzewa ozdobne, a nawet dzikie jabłonie. Seret — rzeka wówczas nie zatruta, była zasobna w ryby i mnóstwo małży. W zimie zamarała (a zimy były srogie) i często lody groziły zerwaniem mostu, który w latach późniejszych ratowali saperzy rozsadzając lód.

W pobliżu Ścianki na podmokłej łące u Sawickiego urządzano często festyny z różnymi grami, wchodzeniem na słup, loterią itp. Przygrywała dęta orkiestra kolejowa.

Stacja kolejowa w Czortkowie usytuowana była w dzielnicy Wygnanka Dolna. Odrębna początkowo Wygnanka Górna włączona została później do miasta. Rzeka Seret przepływała miasto w ten sposób, że Wygnanka Dolna i Wygnanka Górna były po wschodniej stronie rzeki, a Czortków i Stary Czortków po jego stronie zachodniej. Wygnanka Dolna i Wygnanka Górna jeszcze w czasach zaboru austriackiego posiadały swoje niezależne gminy. W gminie mieścił się areszt i funkcjonował jeden policjant w granatowym mundurze austriackim z szabłą. Miał on obowiązek zatrzymywania osób na polecenie wójta, posiadał również bęben, którym zwoływał obywateli w celu ogłoszenia różnych zarządzeń wójta.

Osobliwością Czortkowa był zamek (na zdjęciach). Budowa solidna, z piaskowca miejscowego o grubości

murów przekraczających jeden metr. Zamek opierał się najazdom tatarskim, ale zniszczony został w czasie najazdu szwedzkiego. Lubiliśmy się bawić w jego murach i w czasie takiej zabawy urwał się głaz, który ściągnął jednego z bawiących się i połamał mu rękę. Tam też odgrzebano z ziemi dwie średniowieczne armaty, przewiezione później do muzeum we Lwowie. Lokalizacja zamku była dość dziwna, gdyż znajdował się on nie na górze, tylko pod stokiem jaru. Podobno dawniej rzeka Seret podchodziła pod jego mury. Później odpłynęła, a niedaleko murów zlokalizowano szkołę powszechną (jak się dawniej mówiło na szkołę podstawową). Najstarszym jej przedstawicielem był nauczyciel Gulewicz. Z pochodzenia Ukrainiec, ale przypominam sobie, że jeszcze w okresie panowania Austrii uczył nas śpiewać „Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały...”

W szkole były stosowane kary cielesne, przeważnie trzcina po wewnętrznej stronie dłoni, przy czym Gulewicz posyłał delikwenta, by sam sobie wyciął z łoży pręt. Poza tym za karę ustawiano w kąt, lub kazano klęczeć, albo pozostawiano w klasie po lekcjach. Gulewicz uczył jeszcze moją matkę i opowiadała mi ona, że żona nauczyciela Gulewicza, też uczyła w szkole, ale raz uderzyła jakąś Żydówkę w złości tak silnie książką po głowie, że ją zabiła i za karę była odsunięta od nauki w szkole. Do tej szkoły chodził kwiat młodzieży z Czortkowa. Po ukończeniu czwartej klasy szkoły podstawowej zdawać można było do Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego. Było to gimnazjum koedukacyjne typu humanistycznego. Z wybitniejszych profesorów uczyli tu prof. Banach matematyk, prof. Krawicz od łaciny i niski wzrostem prof. Skibiński, który uczył przyrody. Przed nim przyrody uczył prof. Sommerstein, który był słaby w języku polskim. Uczniowie zapisywali całe zeszyty jego wypowiedziami, które nas śmieszyły. Np. „bocian brodzi po wodzie” albo „kuna to jest taki, że jak wejdzie do kurnika, to biada im.” Biedaka, jak się dowiedziałem po wojnie, zamordowali Niemcy, przy czym grób kazali mu wydrapać sobie palcami. Dyrektorem w gimnazjum był prof. Matuszewski — jak po wojnie się dowiedziałem, wywieziony został do Kazachstanu przez Sowieców gdzie był pastuchem. Tam prawdopodobnie zmarł.

Między zamkiem a Gminą w Wygnance były koszary wojskowe, tzw. dolne ze stawkiem obok, spalone przez Rosjan w czasie I wojny światowej. Był to teren naszych zabaw. Przeważnie toczyliśmy tam wojny na kamienie z młodzieżą ukraińską i żydowską. Drugim takim miejscem wojen był spalony pałac rabina w środku miasta. Z opowiadań matki wiem, że były w nim ogromne oranżerie, w których kupowano nawet figi. Pałac spłonął w czasie I wojny światowej Rabin przeniósł się do Wiednia, a pałac stał w ruinie aż do naszego wyjazdu z Czortkowa w 1928 r., a zapewne i nadal. Czortków posiadał duży procent (chyba z 30%) Żydów, którzy też nadawali ton miastu, zajmując się różnymi zawodami, a przeważnie handlem. Nie brak też było inteligencji żydowskiej.

Schodząc z koszar krętą ulicą przez wysokopienny park do ulicy Średniej, która łączyła się z ul. Kolejową, w trójkącie między tymi ulicami mijało się Seminarium

Nauczycielskie z dużym dziedzińcem. Do śródmieścia trzeba było przejść mostem rzekę Seret i przed sobą miało się piękny owalny budynek ze sklepami na dole i na górze, który nazywał się Bazar. Na wysokości I piętra biegła dokoła kolumnada z ławeczkami, na których rozsiadali się sprzedawcy różnych towarów. Raz do roku w czerwcu na św. Piotra i Pawła odbywał się w Czortkowie duży jarmark, na który zjeżdżali się handlarze nawet z odległych miejscowości. Oprócz innych towarów sprzedawano gliniane garnki zwane z ruska „hładuszczykami”, tzn. gładzonymi, z których wyrobu słynęła Górna Wygnanka. Wypalano garnki nocami, a ponieważ Górna Wygnanka leżała na szczycie jaru na wysokości około 300 m, przeto ognie widoczne przy wypalaniu garnków wyglądały z daleka bardzo urokliwie. Garnki te były w powszechnym użyciu na wsi, dlatego w razie zbitcia do ich naprawy istniał specjalny zawód „druciarza”. Byli to przeważnie biedni Huculi, którzy chodzili z torbami zaopatrzeni w cienki drut i obciążki, wykrzykując: „garnki drutować!” Kto miał uszkodzony garnek, oddawał go do naprawy, a ci arcymistrzowie oplatali go misternie drutem tak, że nadal nadawał się do użytku. Ludzie liczyli się z każdym groszem i łatwiej było coś naprawić aniżeli kupić nowe.

Był jeszcze jeden bardzo pożyteczny zawód hycła i handelesa, które i obecnie bardzo by się przydały.

Hycel jeździł wozem z budą i łapał bezpańskie psy na łąsso. Psy z daleka wyczuwały niebezpieczeństwo i szybko zmykały. Musiał zatem wykazywać wiele sprytu, by podejść takiego bezpańskiego psa. Zapewne w niejednym wypadku unikano rozwleczenia się wścieklynym.

Handelesa jak go nazywano, przeważnie ubogi Żyd, chodził i pokrzykiwał: „handele, handele, butelki, stare szmaty skupuje!” On i jego rodzina z tego żyli i nie trzeba było zakładać specjalnego przedsiębiorstwa surowców wtórnych z prezesami, głównymi księgowymi itd.

Był jeszcze jeden zawód „nosiwody”. Żydzi od piątku wieczór do soboty wieczór zgodnie ze swoimi przepisami religijnymi nie mogli zajmować się niczym, co znamionowałoby pracę. Czortków miał wodociąg i kanalizację tylko w śródmieściu. Pozostałe peryferie korzystały ze studzien i źródeł doskonalej zresztą wody, która co parę kroków biła ze ścian jaru. Studnie niejednokrotnie trzeba było kopać bardzo głęboko, jeżeli mieszkano się na zboczu jaru. Tam gdzie mieszkaliśmy niedaleko Gminy na Dolnej Wygnance w 100 letnim dworcu, studnia na podwórzu miała głębokość 50 m. Wiadra na długich łańcuchach wyciągało się korbą, ale wodę używano tylko do prania i innych potrzeb gospodarczych, ponieważ w tej studni często topiły się koty, mimo, że była zadaszona i chroniona obudowaniem drewnianym. Po wodę do picia chodziliśmy aż do źródła niedaleko dolnych koszar.

Idąc dalej ulicą Mickiewicza dochodziło się do kościoła rzymsko-katolickiego, który zajmował centralne położenie w mieście, jak opisano w umieszczonym na początku wierszu i którego fotografię również załączam. Do kościoła przylegał klasztor OO. Dominikanów, który to przed opuszczeniem w 1941 r. spalili sowieci, a zakonników pomordowali. Istnieje

dokładny opis ekshumacji zwłok pomordowanych, którym nie rozporządzam, ponieważ przesłałem go znajomej osobie. Opis powinien być w posiadaniu mego brata.

Niestety rzeczy tych nie znam z atuopsji, ponieważ nie byłem w Czortkowie w czasie okupacji. Również nie mogę powiedzieć o powstaniu, jakie tam wybuchło w jesieni 1939 r. i jakie to spowodowało represje; wspomniano o tym w czasie jednej z audycji telewizyjnych. Powstanie wywołali studenci, którzy później przekradali się do Rumunii, by uniknąć wywózki na Sybir.

Należy wspomnieć, że w Dolnej Wygnance niedaleko ruin zamkowych, znajdowała się cerkiew grekokatolicka. Był zwyczaj, że w przypadku małżeństw mieszanych, małżonkowie wybierali, czy chcą ślub brać w cerkwi, czy w kościele. Dzieci natomiast przyswajały sobie taką religię jaką ustalono w rodzinie. Przeważnie chłopcy szli za ojcem, a dziewczyny za matką. W naszej rodzinie wujek Leopold Strasser jako katolik wziął ślub z Ukrainką w cerkwi, natomiast dzieci wychowano w wierze katolickiej. Ten ślub w cerkwi ocalił życie wujkowi w czasie okupacji sowieckiej. Na podstawie złośliwego donosu oskarżono wujka o namawianie Ukraińców do przechodzenia na katolicyzm. Przed sądem, gdzie groziła mu kara śmierci lub wywóz na Sybir, na swoją obronę przytoczył okoliczność, że nie mógł namawiać Ukraińców do przechodzenia na katolicyzm, ponieważ sam brał ślub w cerkwi.

Za bazarem w kierunku Starego Czortkowa mieścił się zarząd miasta, a w nim trzyletnie konserwatorium muzyczne. Za nim znajdował się piękny murowany budynek 8-klasowego prywatnego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego. Po odzyskaniu niepodległości zostało ono upaństwowione. I wojna światowa wielu przerwała studia, dlatego niektórzy profesorowie kończyli je na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w latach dwudziestych. Dyrektor Matuszewski pochodził z Nowego Sącza, z Krakowa natomiast ksiądz Zabrzewski, który nauczał języka francuskiego.

Sławne były tzw. „majówki”. Raz do roku w maju całe gimnazjum udawało się na wycieczkę do Czarnego Lasu, gdzie przy ognisku urządzano zabawy, gotowano w kotle herbatę i bawiono się aż do wieczora.

Przy tej okazji należy wspomnieć o silnym związku harcowskim a właściwie skautingu, założonym w Czortkowie w 1910 r. równocześnie z jego organizacją we Lwowie, założoną przez Małkowskiego. Założony w okresie okupacji austriackiej, przetrwał szczęśliwie okres Ukrainy, o której jeszcze wspomnę, i miał wielu wspaniałych działaczy, jak Opacki, Szul i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Pierwszy zlot skautów odbył się w lecie 1919 r. w Kamieńcu Podolskim, a I Zlot Międzynarodowy w 1924 r. w którym uczestniczyłem i mam z niego dwa zdjęcia.

W 1919 r. główne pomieszczenie, jakbyśmy dzisiaj nazwali „harcówka”, mieściło się w gmachu „Sokoła” Towarzystwa Gimnastycznego. W latach 1919-23 w harcówce posiadaliśmy jeszcze karabiny.

Skoro wspomniałem o Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, muszę wyjaśnić, że posiadało ono piękny

gmach w Czortkowie, jak i we wszystkich miejscowościach miejskich dawnej Małopolski Wschodniej. W sali teatralnej odbywały się często przedstawienia amatorskie, jak i przyjeżdżały teatry zawodowe. Odbywały się też akademie szkolne i jasełka w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Do teatrów zawodowych młodzieży szkolnej nie można było uczęszczać, jak i do lokali publicznych, a nie dać Boże pobierać lekcje tańca poza szkołą. Próbowaliśmy te przepisy omijać, ale kończyły się one przeważnie wpadką, gdyż w tak małym mieście niczego się nie dało ukryć.

Celem wspólnego uczenia się, będąc w czwartej klasie gimnazjum, utworzyliśmy wspólnie z kolegami niby kółko naukowe. Z miejsca przekształciło się ono w towarzyskie. W niedzielę zbieraliśmy się u koleżanek mających duże mieszkania, przeważnie rodzin adwokackich, bogatych kupców itp. Koleżanki przynosiły coś na ząb, na miejscu podawano kawę lub herbatę i zaczynało towarzyską zabawę, polegającą na wywoływaniu do drugiego pokoju, w celu pocałowania koleżanki.

Po paru takich spotkaniach dowiedziała się o tym dyrekcja gimnazjum. Wybuchł wielki skandal i miano wydalić ze szkoły około 30 osób. Ponieważ w kółku tym uczestniczyła młodzież rodziców wysoko postawionych na terenie miasta, sprawę umorzono. Od czasu do czasu urządzano wspólne zabawy na terenie gimnazjum. Jako tańce towarzyskie modne wówczas były kadryl i lansjer, które nie wymagały obejmowania partnerki.

Wspomniałem poprzednio o naszych walkach z Ukraińcami. Przewodził im „Czarny Józek”. On wypowiadał nam wojnę, np. w ruinach pałacu rabina, a my przygotowywaliśmy broń — proce i kamienie. Za klasztorem w kierunku Starego Czortkowa znajdowały się tzw. Mogiłki. Był to teren pofałdowany, przeważnie poryty norkami susłów. W czasie wojny polsko-ukraińskiej stała w kotlinie artyleria i po niej pozostało dużo pocisków artyleryjskich, których nikt nie usuwał. Co sprytniejsi z naszej paczki nauczyli się odkręcać zapalniki od szrapneli, a wewnątrz w kalafo-nii znajdowano ołowiane kulki średnicy 1 cm, w sam raz nadające się do wystrzeliwania z proc. Stanowiły one wysmienity materiał wojenny do walk z Ukraińcami.

Gdzieś w kwietniu 1921 r. miałem się udać wraz z czterema kolegami na Mogiłki w celu rozbrowienia paru pocisków, gdyż w następnym dniu wypadła niedziela i zamówiona walka. Długo się wahałem, gdyż w dniu tym miałem obowiązkową spowiedź w naszym kościele i obawiałem się ojca. Nie poszedłem i będąc już w kościele usłyszałem wybuch o dużej sile — trzech kolegów zginęło. Jak się później wyjaśniło wypadek przedstawiał się następująco. Myśląc, że w dużym pocisku będzie więcej wspomnianego wyżej śrutu, wzięto do rozbiórki jeden z pocisków największych. Ponieważ leżał on w pozycji niewygodnej do tego przedsięwzięcia, postanowiono ustawić go pionowo. Stankiewicz, tak nazywał się kolega usiłujący to uczynić, objął pocisk obiema rękami chcąc go unieść. Pocisk o kształcie zwężającym się ku górze, wyslizgnął się i spadając na inne pociski spowodował straszną

w skutkach eksplozję. Ze Stankiewicza pozostały tylko luźne strzępki, które trzeba było później zbierać dookoła, by móc pochować. Kołaczkowskiemu urwało głowę, a jego brat odbiegł od miejsca wybuchu jeszcze około 50 m z rozprutym brzuchem i wychodzącymi z niego wnętrznościami. Zmarł później w szpitalu. Pogrzeb był ogromną manifestacją całego miasta. Później śmiercionośne pociski usunięto, a my zaniechaliśmy już naszych domowych wojen.

Czortków jako miasto nadgraniczne, stanowił w okresie monarchii austriackiej duży garnizon.

Po wojnie stacjonował w nim 9. Małopolski Pułk Ułanów i Korpus Ochrony Pogranicza w sile 1 kompanii. Jeszcze w latach dwudziestych 9. Małopolski Pułk Ułanów przeniesiono do Trembowli, a w Czortkowie rozmieszczono tylko Korpus Ochrony Pogranicza „Czortków”. Dowodził nim w pewnym okresie późniejszy dowódca Armii Krajowej — gen. Grot-Rowecki.

Natomiast przyspiewka modna wówczas w pułkach ułańskich głosiła o 9 pułku Ułanów: „Zmienił Czortków na Trembowlę, teraz płacze jak niemowlę”. Pewnie dlatego, że Trembowla była naprawdę małą miasteczką.

* * *

Po I wojnie światowej stosunki z Ukraińcami unormowały się na tyle, że uroczyste obchodzono na Nowy Rok ruski uroczyste święcenie wody (tzw. Jordan). W uroczystości brali udział nie tylko przedstawiciele kościoła katolickiego, ale i władze państwowe. Poza tym w rodzinach mieszanych obchodzono podwójne święta Bożego Narodzenia. Trzech Króli w kościele rzymskokatolickim było dniem wigilijnym w kościele greckokatolickim.

Teraz opiszę jak w oczach 9 letniego chłopca widziałem przyjsie niepodległej Polski do Czortkowa.

(...) Było to chyba 1 listopada 1918 r. gdy zauważyłem jakiś niepokój i szeptanie między starszymi ludźmi. Jak to zwykle czynią dzieci, podслушалиśmy słowo Ukraina, Ukraina... Zmówiłem się wówczas powodowany ciekawością ze starszym ode mnie synem naszych gospodarzy Zygmuntem Poleszczukiem. Był już w I klasie gimnazjalnej i nosił granatowy mundur z jednym paskiem na kołnierzu oraz na głowie okrągłą czapkę, taką jakbyśmy nazwali obecnie „degolówką”. Na czapce w wieńcu liści laurowych figurowała duża litera „G”.

Mieszkaliśmy wówczas na ulicy Średniej i do miasta mieliśmy około jednego kilometra. Wchodząc na most, zauważyliśmy patrol żołnierzy austriackich, którzy na czapkach zamiast bączka z literami c.k. mieli żółto-niebieską kokardę. Nie zwróciłoby to specjalnie naszej uwagi, gdyby nie to, że wym. patrol widząc mego kolegę w mundurku szkolnym — zatrzymał nas, zerwał jemu czapkę z głowy, odpiął z czapki literę „G” i wrzucił ją do Seretu. Od razu zrozumieliśmy słowo „Ukraina” i biegiem pobiegliśmy do domu.

To był dopiero początek. Zaczęły dochodzić do nas wiadomości o represjach i morderstwach dokonywanych na skutek donosów sąsiadów Ukraińców na sąsiadów Polaków. W domu opowiadano o wypadku, gdy żona poszła po zakupy, a po męża przyszedł patrol ukraiński, kazał mu wyjść do ogrodu i tam

wykopać sobie grób. Po wykopaniu grobu ów człowiek prosił, by pozwolono mu przynajmniej napisać list do żony, gdyż nie będzie wiedziała co się z nim stało. Początkowo żołnierze się zgodzili, ale gdy usiadł na wykopanej ziemi i rozpoczął pisanie, silny cios kolbą w głowę pozbawił go przytomności. Wrzucono żyjącego jeszcze do grobu i zakopano. Takich morderstw było więcej. Na stokach ścianki była ustawiona po wojnie kamienna mogiła ucznia klasy gimnazjum, który będąc krótkowidzem zabłąkał się w czasie ucieczki po pierwszym wkroczeniu Wojska Polskiego i jego wycofywaniu się. Wartanowicz, takie nazwisko nosił ów student, został zamordowany w bestialski sposób przez wydłubanie oczu, ucięcie rąk i nóg o czym przekonano się po jego ekshumacji. Po wojnie pokazywano te dowody bestialstwa komisji międzynarodowej, w celu udowodnienia, że taki naród o instynktach zwierzęcych nie może mieć samodzielnego państwa. Było to konieczne, ponieważ w Małopolsce Wschodniej przynależność państwowa miała być ustalona na podstawie plebiscytu, czego szczególnie domagała się Anglia.

W czasie tego półrocznego panowania Ukrainy można się było napatrzeć na istną rewię mody żołnierskiej. „Kucmy”, czyli wysokie czapki z wiszącymi do tyłu jakby naszymi dawnymi wylotami u kuntuszów, haftowanymi złotem, srebrem i frendzlami na szpiczastym zakończeniu. Szerokie szarawary w butach z cholewami, zapewne na wzór zaporoskich, lance noszone na piechotę itp. To powodowało ironiczny stosunek Polaków do Ukraińców, gdyż uważano je za błazenadę.

Jakiś kolejarz Polak napisał nawet wiersz satyryczny o tym wojsku rozpowszechniony potajemnie, z którego zachował mi się w pamięci jedynie fragment: „Żoute sztany mały z zadu i tak iszły na paradu, sztyry mile iszły piszki, aż im workotły kiszki”. W tłumaczeniu polskim znaczyło to: „cztery mile szli pieszo aż im w brzuchu burczało, a żółte spodnie mieli z tyłu, co miało podwójne znaczenie.

No ale był i ruch oporu Polaków. W pierwszym rządzie Polacy przestali posyłać dzieci do szkół, które z miejsca stały się szkołami o ukraińskim języku nauczania. Wprawdzie w szkołach podstawowych od trzeciej klasy był to język również obowiązkowy, ale tylko 2 do 3 godzin tygodniowo, a teraz miał być to język wyłączny.

Również kolejarze polscy odmówili służby na kolejach obecnie ukraińskich.

Powstała Polska Organizacja Wojskowa. Ojciec zajmował w niej jakieś stanowisko dowódcze, ponieważ otrzymywał pieniądze na zasiłki dla kolejarzy nie pracujących. Jak to się dokładnie odbywało nie wiem, ponieważ nigdy o tym w domu nie rozmawiano przy dzieciach, a po wojnie ten temat nie był również poruszany. Wiem, że oprócz Adolfa Walcharza, mego ojca, do organizacji tej należał mój wuj — Leopold Strasser. Pewnego razu przyjechał po pieniądze jakiś kolejarz z prowincji, który nie wiedząc, że od godziny 18.00 obowiązywał stan wojenny i zakaz chodzenia bez przepustki, szwendał się po mieście. Patrol ukraiński, który go zatrzymał, dowiedział się od niego, że przyjechał po pieniądze i po nitce do kłębka dowie-

dzieli się, kto te pieniądze wypłaca. W dniu następnym, gdy siedzieliśmy przy obiedzie, przyszli żołnierze ukraińscy i aresztowali ojca. Ojciec został osadzony w więzieniu, we wspólnej celi, w której siedziało kilkudziesięciu mężczyzn. Wiem o tym, ponieważ poszliśmy ojca odwiedzić. Nikt nas nie zatrzymywał, musiał tam być piramidalny bałagan i po wejściu na I piętro zobaczyliśmy duże pomieszczenie, oddzielone od korytarza kratami do samej podłogi. Ojciec zbiedniały i zarośnięty przywołał nas do krat, a my jak to dzieci płakaliśmy.

Po około 2 tygodniach ojciec niespodziewanie zjawiał się w nocy. Był cały zawszawiony i rozebrał się w sieni, a odzież matka natychmiast spaliła. Co się okazało? W więzieniu tym, do którego, jak wspominałem wyżej, można było wchodzić i wychodzić jak się chciało, zbuntowali się więźniowie, którzy byli zapatrywań komunistycznych. Rozbili więzienie i uciekli za Zbrucz na Ukrainę, zabierając ze sobą mego ojca. Ojciec tylko dlatego, że miał przy sobie duży sygnet, wykupił się od nie przynoszącej mu korzyści wolności i powrócił do domu.

Niestety, po trzech dniach przyszli znowu po ojca i zaprowadzili do więzienia. W domu państwa Peruckich gdzieś mieszkali, mieszkał też sędzia Rusin, do którego matka udała się po protekcję i ten spowodował zwolnienie ojca.

W kwietniu 1919 r., jak opowiadali rodzice, generał Rozwadowski dla uratowania swej rodziny, zamieszkałej gdzieś koło Czortkowa uderzył od kierunku Stanisławowa i wyparł wojsko ukraińskie. Otrzymałem od matki duży pęk czerwonych piwonii i pobiegłem na ul. Mickiewicza witać wkraczające oddziały. Wśród szpaleru ludzi widziałem ewakuowaną ochronkę. Wszystkie dzieci były ubrane w krakowskie ubranka ludowe. Piwonie wręczyłem jadącemu na koniu oficerowi, jednak uroczystość trwała krótko, ponieważ artyleria ukraińska bardzo celnie zaczęła ostrzeliwać szrapnelami ulicę Mickiewicza. Wszyscy się rozbiegli a ja zatrzymałem się aż w domu.

(...) Niestety nasza radość trwała krótko. Wskutek naporu wojsk ukraińskich nasze oddziały musiały się wycofać po trzech dniach pobytu w Czortkowie.

Uciekli z nimi wszyscy dorośli mężczyźni i młodzież zdolna do służby wojskowej. Uciekł też nasz ojciec i nastąpiła dla nas straszna bieda. Jedliśmy przeważnie supę agrestową. Mama robiła co mogła, by nas utrzymać, prała ludziom bieliznę. Powrót ojca nastąpił dopiero w lecie, wraz z wkroczeniem Armii Hallera.

Całe dni spędzaliśmy wśród żołnierzy. Widok polskich żołnierzy wywoływał głębokie wzruszenie i wyciskał łzy. To był nieopisany patriotyzm. Wtedy naprawdę odczuwało się swoją polskość i miłość ojczyzny.

Wojna jednak trwała nadal i nadszedł rok 1920. Po czwartej klasie szkoły podstawowej zdałem do pierwszej klasy gimnazjum. Nie rozpocząłem jej jednak w Czortkowie, lecz w Nowym Sączu. Wojska ukraińskie już jako sprzymierzone z Polską wycofywały się przed bolszewikami. Widziałem całe pociągi tych żołnierzy, już rozbrojonych przez nasze wojska, jadące na zachód z całymi rodzinami i dobytkiem ...

ARTUR HUTNIKIEWICZ

Na marginesie art. p. Jerzego Zielińskiego pt. „Dziennikarze i politycy lwowscy lat trzydziestych XX w.” (S.F. 1994 nr 4). Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Zielińskiego, ponieważ lata trzydzieste to istotna część mojej własnej biografii. W r. 1934 zdałem egzamin maturalny w VI Gimnazjum Państwowym na Łyczakowie, a następnie aż do magisterium w r. 1939 studiowałem na Uniwersytecie Jana Kazimierza polonistykę, filologię klasyczną i historię. Wiele osób wymienionych w artykule znałem osobiście. Redaktorzy „Sygnałów” Karol Kuryluk i Tadeusz (nie Wincenty) Banaś byli moimi nieco starszymi kolegami z seminarium naszego wspólnego Mistrza prof. Eugeniusza Kucharskiego. Franciszek Wilk, już w pierwszych dniach okupacji sowieckiej zesłany do łagrów, a po wydobyciu się stamtąd dzięki armii Andersa najbliższy później współpracownik i następca Stanisława Mikołajczyka, był moim bardzo bliskim kolegą z polonistyki. Jerzego Lerskiego (Lerski to jego nazwisko rodowe, a Sołtysik to nazwisko jego ojczyma), późniejszego „Emisariusza Jura”) poznałem już w latach gimnazjalnych w „Straży Przedniej”, która wbrew temu, co sugeruje p. Zieliński, była istotnie organizacją apolityczną, nie miała nic wspólnego z tzw. obozem sanacyjnym i z rozgrywkami w tym obozie, zwłaszcza po śmierci Piłsudskiego. Założona przez głównego ideologa tzw. obozu belwederskiego Adama Skwarczyńskiego była organizacją pracy obywatelskiej młodzieży, której celem było wychowywanie młodych Polaków i Polek w ideałach bezinteresownej pracy w służbie dla Polski, a jej ideowym patronem i wzorem osobowym był Józef Piłsudski, jego życie, działalność i pisma. „Straż Przednia” nie była też żadną przybudówką Legionu Młodych czy Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, które jako skupiające młodzież pomaturalną i pełnoletnią miały już charakter wyraźnie polityczny.

Mariana Naszkowskiego pamiętam jeszcze z lat gimnazjalnych jako prezesa Sodalicji Mariańskiej, który w latach późniejszych przeszedł wymowną ewolucję światopoglądową stając się jednym z czołowych działaczy lwowskiej młodzieży komunistycznej, a po wojnie wiceministrem spraw zagranicznych komunistycznego reżimu.

Do informacji dotyczących długoletniego redaktora „Wieku Nowego” Bronisława Laskownickiego można by dodać, że był on pierwszym na ziemiach polskich założycielem organizacji dziennikarskich, oczywiście we Lwowie, Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Dziennikarzy Polskich (1893) i Towarzystwa Dziennikarzy Polskich (1895).

Do spisu dzienników lwowskich należałoby dodać „Kurier Lwowski” wychodzący w latach 1893-1935, po r. 1918 reprezentujący poglądy inteligencji demokratycznej, a założony przez zasłużonego działacza w ruchu ludowym Bolesława Wysloucha. Pisywali w nim m.in. Jan Kasprowicz, Henryk Rewakowicz, Włodzimierz Jampolski i Iwan Franko.

Z pism o orientacji piłsudczykowskiej należałoby wymienić wychodzące w latach trzydziestych „Nowe Czasy”, „Redutę”. „Tydzień Polski”, reprezentujące tzw. ideologię państwową, pragnącą jednoczyć w pracy dla niepodległego państwa polskiego wszystkich jego obywateli, również mniejszości narodowe. Pisma te wiele uwagi poświęcały stosunkom polsko-ukraińskim.

Nie zgadzam się z poglądem p. Zielińskiego, że Uniwersytet i Politechnika „stanowiły bastion endecji”. To kwestia optyki, punktu widzenia. Nacjonalizm wszędzie, nie tylko w Polsce, zawsze był głośny, hałaśliwy, prowokacyjny i agresywny, a ten swoisty jego styl istnienia i sposoby działania tworzyły złudzenie, że jest on siłą dominującą. Tymczasem istniała jednocześnie i wcale nie ukrywała swych poglądów młodzież demokratyczna, piłsudczykowska, socjalistyczna i ludowa, a poza tym ta milcząca większość, trzymająca się z dala od polityki i zajęta wyłącznie swymi studiami.

Aleksander Domaszewicz nie był profesorem UJK, lecz jedynie wykładowcą ze stopniem doktora. Przyszły prezydent na wychodźstwie Stanisław Ostrowski był w r. 1939 tylko prywatnym docentem. Stanisław Stroński od r. 1920 działał wyłącznie w Warszawie jako redaktor dzienników chadeckich „Rzeczpospolita” (1920-24) i „Warszawianka” (1924-28), a od r. 1927 był profesorem romanistyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Młody poeta lwowski Rogowski miał na imię Stanisław (a nie Tadeusz); jeden z czołowych lwowskich „młodych narodowców”, docent na wydziale prawa UJK Stahl miał na imię Zdzisław, (a nie Włodzimierz). Leon Schiller nigdy nie był dyrektorem teatru lwowskiego, w latach trzydziestych był jedynie zaproszonym reżyserem za dyrekcji Wilama Horzycy. „Sygnały” nie były, jak pisze Autor, „na dłuższe okresy zamykane przez policję”, przerwy te były spowodowane trudnościami finansowymi, oraz nieporozumieniami ideowymi w samym zespole redakcyjnym.

Wśród robotniczych organizacji młodzieżowych działała też we Lwowie Organizacja Młodzieży Pracującej, w skrócie OMP.

Kongres Pracowników Kultury we Lwowie w r. 1936 nie miał nic wspólnego z kulturą Lwowa, ani w ogóle z kulturą, był wyłącznie komunistyczną prowokacją polityczną.

DANUTA NESPIAK

Tarnopolskie nowości

Ma Tarnopol, miasto hetmańskie, które okrutnie ucierpiało od dwóch wojen światowych, nie tylko swojego piewce ale również niestrudzonego badacza prowadzącego od lat żmudne kwerendy materiałów dotyczących historii rodzinnego miasta. Czesław E. Blicharski wydał w bieżącym roku następną pozycję „Tarnopolanie na starym ojców szlaku”. Obszerna bo licząca 399 stron praca zawierająca dokumentację fotograficzną dzieli się na 2 części. Pierwsza to alfabetyczny zestaw krótkich not biograficznych Tarnopolan i osób związanych z tym miastem (w sumie ponad 2 tys. nazwisk) przez losy których przewijają się wszystkie niedole i dramaty ludzi kresów. Być może, że ktoś znajdzie w tym „tarnopolskim alfabecie”, krewnych, przyjaciół, znajomych. A losy rzucały ich często po bezkresnych przestrzeniach nieludzkiej ziemi i frontach II wojny światowej po których często wybierali emigracyjne finisze. Czasem przy nazwiskach są tylko lakoniczne informacje – np. Dobrzański Jan wójt Petrykowa koło Tarnopola utopiony przez Ukraińców w Serecie w Boże Narodzenie 1944 roku, Laub Leopold, znany fotograf tarnopolski zginął w miejscowym getcie w 1942 ale dominują bardziej szczegółowe, np. Fałęcki Władysław nauczyciel IV Państwowego Gimnazjum Żeńskiego im. J. Piłsudskiego w Tarnopolu, wiosną 1940 aresztowany przez NKWD, w lipcu ewakuowany piechotą do Podwołoczysk, a stamtąd etapem do Mag-

nitogorska za Ural. Zwolniony z początkiem stycznia 1942 r. zmarł z wyczerpania 6 lutego 1942 na stacji kolejowej w Czelabińsku w drodze do Armii Polskiej.

Drużga część zatytułowana przez autora „Aneksy” kompozycyjne oparta jest o dwa obszerne rozdziały o różnej „materii” tarnopolskiej, która odkrywa ile wysiłku włożył autor w tropieniu dziejów swego miasta.

Pierwszy rozdział pt. „Trzy okupacje” mieści szereg krótkich opracowań (kilka autorstwa Bożeny Blicharskiej oraz Jadwigi Król i Eustachego Ilnickiego) poświęconych takim tematom jak tajna organizacja POW, konspiracyjne harcerstwo, szkolnictwo i tajne nauczanie, procesy tarnopolskich Akowców, ich wywozy i ucieczki.

Drugi rozdział zatytułowany „Diaspora tarnopolska” zawiera panoramę działalności Tarnopolan w Polsce od Zjazdu absolwentek Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego p. Lenkiewiczowej w 1959 roku w Katowicach do uroczystości związanych z odsłonięciem pamiątkowych tablic i przekazaniem sztandarów „sokolic” OO Paulinom na Jasnej Górze. Przedstawione zostały również starania Tarnopolan w Polsce i tych którzy zostali tam o odzyskanie kościoła dominikańskiego (list z prośbą o pomoc w tej sprawie wysłał tamtejszy komitet kościoła 2L.VII 1990 do Papieża Jana Pawła II, ale kościoła nie odzyskano). Autor zamieścił również wyjątki z prasy krajowej i Dziennika Polskiego w Londynie na tematy „tarnopolskie”. Praca zawiera bibliografię w której zwraca uwagę duży dział czasopism. Oby inne miasta, podobnie jak Tarnopol, miały również swego Blicharskiego.

AKTUALNOŚCI

WOJCIECH JERIE

Między Lwowem a Buenos Aires

Redakcję „Semper Fidelis” odwiedził Lwowianin dr med. Leonard Wanke. W latach 1937-39 był st. asystentem przy Katedrze Anatomii Patologicznej na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Dr Wanke od 46 lat mieszka w Argentynie, w Buenos Aires, gdzie w latach 1950-82 pracował w Instytucie Onkologii tamtejszego uniwersytetu. Od czasu swego wyjazdu ze Lwowa w 1939 r. po raz pierwszy odwiedził Polskę w tym roku. No i oczywiście był we Wrocławiu, gdzie jest tyłu Lwowian i gdzie mieszkają córki jego brata prof. dr Adama Wanke, wybitnego antropologa, wieloletniego Kierownika Katedry Antropologii Uniwersytetu Wrocławskiego (zmarł w 1971 roku).



Niezwykłe interesującą opowieść o wojennych losach dr Wankego przekazujemy Czytelnikom Semper Fidelis.

Zaczął się w 1939 roku, kiedy z okien szpitala obserwowałem wejście Armii Czerwonej do Lwowa. Wojska sowieckie posuwały się wzdłuż ulicy Łyczakowskiej i szły po chodnikach, podczas gdy jezdnią w przeciwnym kierunku szła szeroka rzeka naszych żołnierzy w niewolę sowiecką. Wtedy poczułem, że Polska ginie...

Zdecydowałem się wyjechać do wojska polskiego we Francji. Zdawało się, że będzie to rzecz prosta, gdyż miałem znajomego dyrektora szpitala w Śniatynie na samej granicy rumuńskiej. Umówiliśmy się tak, że ja do niego przyjadę, on mi da przewodnika i bez trudu przejdę granicę. Było to nawet połączone z tym, że ja miałem być forpocztą dla całej lwowskiej kliniki chirurgicznej. Jeśliby mnie się wszystko powiodło, klinika pojechałaby tą samą drogą. Zrobiłem tak jak to było planowane, tylko że dyrektor szpitala był uciekinierem z Rosji. O tym dowiedział się dowództwo rosyjskie i pod groźbą zesłania, zobowiązało go do współpracy. I to on właśnie wydał mnie przewodnikowi, który zaprowadził mnie wprost na granicę, do placówki sowieckiej.

Byłem w więzieniu najpierw w Tarnopolu, potem w Charkowie. W Charkowie czekaliśmy do upadku Francji. Gdy padła Francja natychmiast wysłano nas do łagrów. W łagrach przeszedłem przez bardzo ciężki okres, bo wystarczyło tylko pół roku, ażeby zdrowi, silni chłopcy, wspaniali kandydaci na żołnierzy stali się na wpół szkieletami. Nie chciała nas przyjąć jako robotników żadna kolonia, ponieważ co chwilę ktoś umierał. Po wielu próbach sprzedania nas jako robotników do różnych kolonii, wszystko wypadło negatywnie. Najpierw byliśmy kolonią krawiecką, potem szewską, gdzie robiliśmy z opon samochodowych buty. Bo każda z opon składała się z 7 albo 8 warstw nagumowanego płótna, więc rozdzielaliśmy te opony na poszczególne warstwy i z tego szyliśmy buty, które chroniły od błota i śniegu. Lecz gdy się skończyły opony, już nie mieli co z nami robić. Wtedy przypadkiem przyszła jakaś komisja. Mój kolega szturchnął mnie i mówi do mnie: „Idź i powiedz, że jesteś lekarzem”, więc poszedłem do jednego oficera i powiedziałem mu kim jestem. Na drugi dzień zawołał mnie do siebie i powiedział:

— Wy jesteście lekarzem?

— Tak.

— No więc od dzisiaj będziecie odpowiedzialni za zdrowie waszych kolegów.

Byłem zaskoczony. Odpowiedziałem, że naturalnie podejmuje się i będę ich leczył. Ta kolonia była nad rzeką Pieczorą — ostatnia stacja gdzie droga kolejowa krzyżowała się z tą rzeką. Nigdy na tej rzece nie mogli wybudować mostu i kolej tam stała, a zaopatrzenie całej północy szło tamtędy. W związku z tym musieli zrobić bazę, ażeby wszystkie rzeczy, które przychodziły do nich z południa gdzieś deponować, zanim zostaną przetransportowa-

ne na drugi brzeg rzeki Pieczory. Do tego potrzebowali sprawnych pracowników, ażeby szybko móc rozładować te wszystkie towary i żeby pociąg mógł odjechać. Oficer radziecki powiedział mi: „Rosjanie mi rozkradną wszystko, a Polacy nie kradną. Dlatego ja chcę Polaków”. Od tego czasu nikt nie umarł, ani jeden więcej. Dlatego naprawdę miałem wielką satysfakcję i jak myślę, że jeśli komuś uratowałem życie, to tym chłopakom, którzy byli wtedy ze mną.

Stamtąd wysłali nas nad morze Aralskie. Byliśmy tam krótki czas, a potem mieliśmy wrócić, jako że układ „Stalin — Sikorski”, postanowił, że nasze wojsko wyjedzie do Persji. Kiedy już jechaliśmy z powrotem w górę rzeki, rzeka zamarzła, dlatego musieliśmy czekać aż odmarznie, co stało się dopiero w marcu. Na pokładzie była grupa trzech chłopców, którzy mieli wysoką gorączkę, jeden z nich miał wysypkę tyfusową. Wiedziałem, że mam 500 ludzi, wszystkich zaważonych i tyfus, oraz trzytygodniową podróż w górę rzeki. W ciągu tych trzech tygodni mogli mi umrzeć wszyscy na ten tyfus plamisty. Pierwsza rzecz, to kazałem izolować wszystkich gorączkujących, zdjąłem z nich całe ubrania aż do naga, wszystkim ściąłem włosy. Gdy przyjechaliśmy do Kaganu, polski generał, generał Szarecki (późniejszy szef sanitarny całego II korpusu), kazał zawołać lekarza, i pierwsze o co mnie zapytał to czy jest tyfus, czy nie. Odpowiedziałem, że jest, że cała barka jest zaważona, że miałem jeden wypadek śmierci, ale w tej chwili jest tylko jeden podejrzan, który jeszcze gorączkuje i jeden, który już wyzdrowiał. Generał Szarecki powiedział wyraźnie, że ktokolwiek jest podejrzan, należy go natychmiast odstawić do szpitala. Byłem tu w strasznym położeniu, bo zaklinają mnie koledzy żebym ich nie zostawiał, niektórzy mieli gorączkę a wszy mieli wszyscy. Nie mogłem ich zostawić. Wszystkich gorączkujących zabrałem i pojechaliśmy do Krasnowodsk, stamtąd do Pachlewi, do Persji. Może z tyfusem się ktoś znalazł, ale już w zupełnie innych warunkach.

Potem zrobili mnie lekarzem X dywizji i pojechałem do Palestyny. W Palestynie przyjął nas gen. Zajac — dowódca wojsk polskich i płk. Bałaszewski, który był szefem sanitarnym. Jak dowiedział się, że ja w wojsku polskim nie byłem, (bo miałem kategorię „C”) to powiedział mi: „Natychmiast pojedź pan do Aleksandrii, tam jest szkoła podchorążych, tam robią z pana ludzi. A potem zobaczymy co pan umie”. To był kwiecień 1942 roku, miałem wtedy 30 lat. Pojechałem więc do Aleksandrii. W Jerozolimie na dworcu spotkałem chłopaków ze Śniatyna, którzy przeszli tę samą drogę, tylko im się udało. Oni przeszli do Syrii, byli w Brygadzie Karpackiej, byli pod Tobrukiem i z urlopu wracali do Egiptu. Gdy przyjechałem do El Amarii pod Aleksandrią, do szkoły podchorążych, otworzyły się ramiona dowódców. Nie chcieli wierzyć — pierwszy żołnierz z Rosji, który przyjechał do Egiptu. Wtedy pojawiła się, po prostu „szarańcza” reporterów z Aleksandrii, którzy chcieli się dowiedzieć coś o Rosji. Ale płk. Okulicki, który był naszym dowód-

cą, zabronił nam mówienia o Rosji, żeby nie psuć stosunków z Aliantami. Gdy pojawili się ci aleksandryjscy korespondenci, niewiele im mogłem powiedzieć. Ale za to jak przyszli koledzy, każdy pytał o swoich znajomych, swoją rodzinę i przede wszystkim jak wygląda Rosja. Więc mówiłem im, że Rosja jest to „kraj szatana”, że Rosja to jest jedno wielkie kłamstwo. Bo oto przykład: nie można pracować gdy jest temperatura poniżej -20°C , a oni wywieszają tabliczkę: „Mrozu dziś nie ma” i się pracuje.

Po skończeniu szkoły podchorążych, przydzielili mnie do szpitala nr 1 jako kierownika laboratorium i patologa, ale wkrótce posłali mnie na uniwersytet w Jerozolimie, na kurs medycyny tropikalnej. Kiedy skończyłem ten kurs, przyjechałem do mego szpitala i tam dostałem wiadomość, że moja żona także zdołała wydostać się z Rosji. Generał Szarecki obiecał mi, że jak tylko przyjedzie do wojska, to zostanie przyjęta (moja żona była pielęgniarką). Tak też się stało, została przyjęta, a następnie przyjechała do Teheranu, gdzie się spotkaliśmy. Ja moją żonę poznałem po wyjściu z łagrów i pobraliśmy się w ciągu tygodnia, ponieważ chciałem ją uratować... i udało mi się. Ale niestety zaraz musieliśmy się rozstać. Potem chcieliśmy pracować w jednym szpitalu, ale przyszedł jakiś major, Tostanowski się nazywał i powiedział: „Proszę pana, ja pana potrzebuję. Trzeba przebadać na malarię zgrupowanie artylerii, która jest w El-Habaniji”. El-Habanija była to mała oaza na pustyni, gdzie znajdował się szpital RAF-u. Powiedział, że moim zadaniem będzie zbadanie wszystkich żołnierzy na malarię, a następnie miałem pojechać do Mosulu, gdzie miałem spotkać żonę. Wykonałem moje zadanie, rzeczywiście w tym angielskim szpitalu było wspaniale, dostałem swego ordynansa — Araba w białym kitlu, z czerwonym fezem i z taką szarfą. Kiedy przychodziłem, to już czekał z fotelem żeby mi podsunąć, czyścił mi buty i miałem wszystko co tylko można sobie wyobrazić.

Z Mosulu odesłany zostałem do Kirkuku. To było główne źródło naftowe na całym Środkowym Wschodzie. Miejsce niesłychanie ważne strategicznie. Niemcy wysilali się, żeby zniszczyć zarówno te źródła naftowe jak i rurociągi, więc celem naszej armii było pilnowanie tych źródeł naftowych. Kirkuk jest znany jako najbardziej gorące miasto na świecie, zwłaszcza w miesiącu najcieplejszym jakim był lipiec. I ja właśnie zostałem tam skierowany na czerwiec, lipiec i sierpień. Było tam skoncentrowanie całego naszego wojska. Na wizytację przyjechał tam gen. Sikorski, tak więc widziałem gen. Sikorskiego na dwa dni przed jego śmiercią, ponieważ stamtąd wracał do Gibraltaru.

Mieliśmy straszny los w tym Kirkuku. Wystarczy powiedzieć, że szpital miał 1000 łóżek, a mieliśmy 2000 chorych, dwóch chorych w jednym łóżku. Były tam tylko dwie choroby: malaria i czerwotka. Pracowaliśmy po kilkanaście godzin dziennie, w upale dochodzącym do $50-60^{\circ}\text{C}$ w cieniu. Mieliśmy wizytę angielskiego gen. Willsona i w czasie obiadu on powiedział: „W tej chwili odbywa się jedna z naj-

wiekszych bitew świata — bitwa pod Kurskiem. Żołnierze giną masami. My tutaj jesteśmy z dala od pola walki i mamy tylko dwóch wrogów: komara i muchę. Ale wasza rola nie jest niczym mniejsza od roli tych żołnierzy, którzy teraz giną pod Kurskiem.”

Potem mój szpital pojechał do Egiptu, nad samą granicę między Afryką i Azją — nad Kanał Suezki. Ledwo tam przyjechałem, dostałem rozkaz o przeniesieniu do trzeciego szpitala. Szpital ten pojechał do Włoch, a ja z tym szpitalem. Moja żona została zaś w „Domu matki i dziecka” w Palestynie i tam urodziła się moja pierwsza córka.

Przyjechaliśmy do Włoch z początkiem stycznia 1944 roku, no i w maju była bitwa o Monte Cassino. Dostawaliśmy rannych wprost z pola walki, przysyłano ich samolotami. I tam właśnie było „moje Monte Cassino” — z daleka od samej bitwy, nie mniej jednak bardzo pracowite. Pracowaliśmy pod rentgenem, w ciemności i wielkim upale, bez wytchnienia. Jak na złość dostałem wtedy czerwotki. Leczenie polegało na wstrzykiwaniu emetyny, które wymagało leżenia w łóżku. Ja nie leżałem byłem lekarzem. I to był mój wkład w Monte Cassino...

Potem, kiedy skończyliśmy już wojnę, przyszły straszne rozczarowania. Ale odwiedził nas gen. Anders i powiedział: „Nie martwcie się. Będzie konferencja pokojowa, a Churchill obiecał, że to ja będę reprezentował Polskę na tej konferencji.” Nam powiedzieli, że jedziemy do Anglii. Zdawaliśmy broń, i straszna była nasza rozpacz.

Wojna skończona, a Polska w niewoli. Mowy nie ma o tym, żeby wracać do Polski. Moja żona raczej chciała, bo w końcu udało mi się ją sprowadzić do Anglii z Palestyny. Moja córka miała już wtedy 4 lata. Nie chciała nas przyjąć żadna z kolonii brytyjskich, ani Kanada, ani Australia, ani nawet Stany Zjednoczone. Jedyna Argentyna, która otworzyła szeroko swoje bramy przed nami. Na Argentynę zdecydowało się 20000 żołnierzy z armii Andersa. Pojechaliśmy razem.

* * *

Po raz drugi w życiu rzuciłem się w przepaść, pierwszy raz kiedy przechodziłem granicę polsko-rumuńską, a drugi raz w nieznane, ponieważ nie chciałem jeść chleba kraju, który sprzedął nas w niewolę sowiecką. Początkowo poszedłem pracować jako robotnik, ale potem poznałem polskiego lekarza, który od razu wziął mnie do siebie i przedstawił mnie w szpitalach. Dostałem się na uniwersytet w Buenos Aires i powoli rozwijała mi się praktyka. W końcu nostryfikowałem dyplom, to także była długa droga i bardzo niewdzięczna, ponieważ nostryfikację dostałem prawie po 20 latach pobytu w Argentynie.

Swoją opowieść dr Wanke zakończył słowami: „Jeżeli mi tylko powiecie, że ja jestem potrzebny, że ja tu coś pożytecznego mogę zrobić, to zaraz przyjeżdżam.” Chęć być pożyteczny, chęć coś jeszcze zrobić. I gdybym mógł tutaj znaleźć dla siebie jakies miejsce, jestem do dyspozycji.

W dniu 9 września 1994 r. minęło 100 lat od utworzenia Wydziału Lekarskiego na Uniwersytecie Lwowskim. Szczególnie uroczystości obchodzono tę rocznicę we Wrocławiu, gdzie lwowskie dydaktyczno-naukowe środowisko medyczne znalazło swe miejsce po II wojnie światowej. Dla uczczenia tej rocznicy zorganizowany został Zjazd Historii Medycyny i Farmacji, nad którym patronat objął Rektor Akademii Medycznej prof. dr hab. med. Jerzy Czernik. Obrazom przewodniczyli: prof. dr hab. Kazimierz Jabłoński i prof. dr hab. Bolesław Popielski – samodzielni pracownicy naukowcy jeszcze z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie oraz ich uczniowie: prof. dr hab. Tadeusz Heimrath i dr hab. Edmund Waszyński. Do bardzo interesujących referatów należała wypowiedź prof. dr hab. K. Jabłońskiego o ostatniej hailitacji na Wydziale Lekarskim we Lwowie w listopadzie 1939 r. oraz dr Wandy Wojtkiewicz-Rok o profesorach i uczniach lwowskiego Wydziału Lekarskiego od jego powstania do wybuchu II wojny światowej. W Zjeździe wzięła udział grupa młodych pracowników naukowych obecnej Uczelni Medycznej ze Lwowa. Bardzo ciekawie i doskonałym językiem polskim mgr farm. Taras Tereszczuk przedstawił referat o nekropolii farmaceutycznej na Cmentarzu Łyczakowskim. Imprezami towarzyszącymi sesji były dwie piękne wystawy profesorów medycyny: Henryka Becka i Zbigniewa Hirnlego. Jednocześnie w bibliotece Akademii Medycznej przedstawił swe zbiory ekslibrisów medycznych dr med. Wiktor Dziulikowski, również autor drugiej wystawy pt. „Polska sztuka medalierska o tematyce medycznej we Lwowie”, udokumentowana bogato ilustrowanym katalogiem wydanym sumptem Stowarzyszenia Lekarzy Dolnośląskich przy poparciu Grupy Lekarzy Lwowskich przy TML i KPW.



Medal zasługi z 1888 r.
Wystawa Higieniczno-Lekarska i Dydaktyczno-Przyrodnicza



Medal z 1908 r. – Lwów
Jubileuszowa Międzynarodowa
Wystawa Kucharsko-Spożywcza ETC.

V-ty Zjazd Harcerzy-Kombatantów,
Obrońców Lwowa 1939 r.

W dniach 28-29.V.1994 r. odbył się w Krakowie 5-ty Zjazd Harcerzy Kombatantów – Obrońców Lwowa z 1939 r.

Otwarcie Zjazdu i sesja historyczna odbyła się w sali senatu UJ. Uczestniczyli, oprócz członków kompanii harcerskiej Obrońców Lwowa, harcerze Chorągwi Krakowskiej, przedstawiciele ZG TML i KPW, zaproszeni goście oraz prasa, radio i telewizja.

Program zjazdu obejmował:

- sesję historyczną
- gawędy z przedstawicielami kręgów starszo-harcerskich
- ognisko harcerskie
- Msza św.
- złożenie kwiatów na grobach Marszałka Piłsudskiego i Generała Sikorskiego.

Harcerze Kombatanci Obrony Lwowa 1939 r. wydają wspomnienia – harcerzy kresowych z okresu przedwojennego, wojny i powojennego. Dotychczas ukazały się 3 części wspomnień pt. „Od lat najmłodszych do późnej siwizny” Feliksa Catego wzbogacające polskie harcerstwo. Kontynuowana jest współpraca z obecnym harcerstwem polskim działającym na dawnych ziemiach kresowych.

VI zjazd przewidziany jest w maju 1995, na który zapraszamy. Zgłoszenia prosimy kierować na adres:

Mgr Stanisław Podusowski
ul. Juliusza Lea 77/18
30-058 Kraków

Materiały do wspomnień prosimy nadsyłać na adres:

Prof. dr hab. med. wet. Remigiusz Węgrzynowicz
Herbowa 17 m. 4
71-427 Szczecin

* * *

W dniach od 23 do 25 września 1994 r. odbyło się w Sobótce k/Wrocławia XVII spotkanie Kręgu byłych Skautów – Harcerzy najstarszej polskiej Drużyny Harcerzy I-ej Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki. Spotkania mają już swoją tradycję, gdyż prócz przyjacielskich rozmów, spraw organizacyjnych i gawęd są wspomnienia Uczestników czasu wojny, jak również są wygłoszone ciekawe referaty związane tematem z Miastem Semper Fidelis.

(inf. własna)

Redaktor Naczelny wraz z Redakcją serdecznie przeprasza W.Sz. Czytelników za spóźnione wydanie niniejszego numeru „Semper Fidelis”. Złożyło się na to wiele czynników, m.in. choroba redaktora.

I spotkanie dziennikarzy lwowskich i zajmujących się problematyką kresową w Krakowie od 3-4 września

W Krakowie odbyło się I-sze Spotkanie dziennikarzy Prasy Lwowskiej i Wschodnio-Małopolskiej połączone z otwarciem (2.IX) dużej wystawy w Domu Polonii pt. Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie w wydawnictwach od II wojny światowej”.

Organizatorem Spotkania był Oddział Krakowski TML i KPW przy czym główny trud i ogromny wysiłek osobisty był udziałem inicjatora Spotkania V-ce prezesa Oddziału mgr inż. arch. Andrzeja Chlipalskiego oraz Sekretarza dr. Romany Machowskiej. Udział w Spotkaniu wzięli oprócz przedstawicieli redakcji czasopism kresowych, wydawanych w ramach naszego Towarzystwa, (Semper Fidelis, Głos Buczacza, Biuletyn Informacyjny Oddz. Poznańskiego, Kłodzkiego, Spotkań Świerzan, Strzechy Stryjskiej i itd) prezes Federacji Towarzystw Kresowych, Stanisław Mitraszewski oraz red. Janusz Olejnik (Słowo – Dziennik Katolicki) red. Bogusław Kowalski i Tadeusz Trajdos (Myśl Polska), Jan Sura (Biuletyn Informacyjny Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego), red. Janusz Wasylkowski (Rocznik Lwowski), kol. Krzysztof Bu-

lżacki (Na Rubieży), a gości ze Lwowa reprezentowali – red. Bożena Rafalska (Gazeta Lwowska), red. Teresa Dutkiewicz (Biuletyn Federacji Polskich Organizacji na Ukrainie) oraz czworo młodych zapaleńców z prywatnego „Radia Lwów”. W Spotkaniu uczestniczył też ks. Kowalczyk redaktor dwujęzycznego biuletynu „Radość Wiary” wydawanego przez parafię rzym.-kat. w Drohobycz. Spotkanie to, które prowadził red. dr Ryszard Terlecki oraz znakomita wystawa winny były być zauważone w ogólnopolskich (nie tylko lokalnych) masmediach. Ale wiadomo, że środowiska kresowe nie cieszą się tam sympatią.

Zarząd Główny TML i KPW gratuluje i składa serdeczne podziękowanie Oddziałowi Krakowskiemu przede wszystkim vice-prezesowi mgr inż. arch. Andrzejowi Chlipalskiemu oraz sekretarzowi dr Romanie Machowskiej za trud i serce włożone w organizację całości.

Słowa podziękowania kierujemy również na ręce pana prezesa Krakowskiego Sokoła mgr Konrada Firleja za zaproszenie nas na Światowy Zlot Odrodzonego Sokoła w programie którego z satysfakcją zwiedziliśmy wystawę „Sokolstwo na Ziemiach Polskich „Galicja”.

(inf. własna)

NASI CZYTELNICY PISZĄ

Niżej podpisany, urodzony w 1933 r. w Lublinie, ale... ochrzczony w Parafii Kościoła O. Bernardynów we Lwowie, zamieszkały do 1943 r. we Lwowie, ulica Ormiańska 19 (róg ul. Grodzickich – z okna widać było wschodnią pierzeję Rynku z kamienicą Czarną i Królewską...).

W czasie okupacji hitlerowskiej w porze letniej na mojej ulicy została dokonana egzekucja jedenastu zakładników vis a vis wejścia na dziedziniec krugankowy katedry ormiańskiej od ul. Ormiańskiej, był to podobno odwet za zabitego Niemca, jadącego dorożką tą ulicą w godz. policyjnej. Po otwarciu ruchu pieszego – zablokowanego poprzednio przez ukraińską policję – pozwolono przejść obok rozstrzelanych. Byłem tam osobiście: przeciskałem się przez tłum ludzi wąskim przejściem, wiele osób szło chała i miało chustki przy oczach... Była wystawiona warta przez Gestapo, którzy przed egzekucją przyjechali dwoma ciężarowymi, zakrytymi samochodami. Na jezdni wystawiona była tablica, treści nie pamiętam, po przeciwnej stronie chodnika i do połowy jezdni leżeli pokotem, rozstrzelani w kałużach krwi. Byli to młodzi mężczyźni, raczej wychudzeni, z ogolonymi głowami. Ubrani byli w bardzo zniszczone, popielate, rozpięte bluzy drelichowe i takie spodnie, na nogach mieli drewniaki sięgające do kostek, bez sznurówek. „Widzenie” to trwało nie więcej jak pół godziny, następnie odcinek ul. Ormiańskiej (od ul. Grodzickich do ul. Krakowskiej)

– został ponownie zamknięty, a ja już z okna pierwszego piętra swojego mieszkania widziałem bardzo szybko pędzący samochód ciężarowy z plandeką, który na skrzyżowaniu z ul. Grodzickich skręcił w lewo w kierunku Placu Strzelceckiego. Tylne ściana samochodu nie była zasłonięta – widziałem więc dobrze z góry sterczące nogi powrzuconych zwłok.

Później przechodząc ciągle tą ulicą zwracałem uwagę na ślady odlupañ w deskach płotu od kul karabinowych pod którym odbyła się egzekucja oraz na niedostatecznie zatarte plamy krwi na deskach płotu, (róg ulicy Ormiańskiej i Krakowskiej był oparkaniony drewnianym płotem z desek – był tam mały skład węgla). Nie pierwsza to była publiczna egzekucja hitlerowska na ulicach i placach miasta Lwowa...

Pomimo tego, że rodzina moja mieszkała na tej ulicy, nie wiedzieliśmy kim byli rozstrzelani.. a może ktoś z Państwa zna więcej szczegółów?

Po wojnie byłem dwa razy we Lwowie – parkan zlikwidowany, na miejscu składu węgla jest mały, zaniedbany kwietnik i... ani śladu jakiejś tablicy pamiątkowej o zbrodni, która się tu wydarzyła, jest to wyraźny dowód, że nie byli to Ukraińcy ani też Rosjanie...

Łączę lwowskie pozdrowienia!
Bogusław Kurkowski

Odwiedzając parafie polskie na Pokuciu (maj 94 r.) udawaliśmy się również na cmentarze polskie, by zapalić znicze i oddać hołd pomordowanym przez bandy UPA — Rodakom. W Kosowie Huculskim zostaliśmy poinformowani przez p. Halinę Tkaczuk — wnuczkę właściciela słynnej ongiś Fabryki Kili-mów w Kosowie, wielkiego patriotę polskiego i działacza społecznego — p. Gruszkowskiego — że, nasi Rodacy z Kosowa zamierzają uczcić pamięć pomordowanych Rodaków odpowiednim pomnikiem. Czy-nią obecnie do tego przedsięwzięcia przygotowania. Kompletują listę nazwisk pomordowanych oraz gromadzą środki na ten cel. Do nas zwrócili się z prośbą o zaapelowanie do Rodaków w Kraju i na Zachodzie o pomoc w ustaleniu pełnej listy pomordowanych oraz ofiary na pokrycie kosztów wystawienia pomnika. O analogicznym przedsięwzięciu myślą też Rodacy z pobliskich Kut.

Wszelkie informacje odnoszące się do pomordowa-nych zgłaszać należy na adres: Halina Tkaczuk, Kosów, ul. Niezależności 237 — Ukraina (Аліна Ткачук, Косів, вул. Незалежності 237, обл. Івано — франківск, Україна). Ewentualne ofiary można też przekazywać za pośrednictwem: TML i KPW Klub Kołomyjan „Pokucie” w Kluczborku, konto

53 628-39882-132 w PKO BP w Kluczborku lub bezpośrednio do Kosowa.

Przy tej okazji pragniemy podnieść jeszcze jedną istotną sprawę odnoszącą się do pamięci Rodaków pomordowanych na Kresach Płd.-Wsch. Otóż wios-ną br. odwiedziliśmy m.in. mogiłę pomordowanych Rodaków we wsi Św. Trójca pod Zabłotowem na Pokuciu. Wioska wystawiła skromny pomnik ku czci pomordowanych, podobno przy współudziale społeczności ukraińskiej tej wioski. Tablica umieszczona na płycie pomnika głosi: (cytat dosłowny) „Zginęło śmiercią tragiczną 64 osoby. Pamięci tych, którzy wierni Bogu i Ojczyźnie oddali życie 13.10.1944 r. hołd składają Rodacy” 24..VI.1993 r.

Zwraca uwagę treść tablicy, tej i jej podobnych. Czy muszą one zawierać przekłamania i dwuznaczno-ści? Czy ku przestrodze przyszłych pokoleń nie należy pisać na tablicach całej prawdy? Na nasze pytania dlaczego tak jest, Rodacy wzruszali ramionami wzdychając: „nie zezwalają”, „dobrze, że tyle”?!.

A przecież, jeśli mamy ułożyć dobrosąsiedzkie stosunki z naszymi sąsiadami wschodnimi i wycią-gnąć wnioski z nauki historii — to musi być ujawniona cała prawda, choćby nie wiadomo jak przykra i bolesna.

Mieczysław Budzianowski
Prezes „Pokucia” Kl.

Z ŻYCIA TOWARZYSTWA

5-lecie Oddziału TML i KPW w Bydgoszczy

W dniu 25 czerwca 1994 r. obchodzono w Bydgoszczy 5 rocznicę powstania Oddziału Bydgosko-Toruńskiego. W uroczystości udział wzięli: wiceprezes Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej — Marian Szarybura ze Lwowa, prezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi — Eugeniusz Cydzik ze Lwo-wa, Prezydent Miasta Bydgoszczy — Edwin Warczak z małżonką, z upoważnienia wojewody dyrektor Urzędu Wojewódzkiego — Longin Nowak, prezesi wszystkich okręgowych związków i towarzystw, m.in. Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Sybiraków, Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, szef Klubu Pomorskiego Okręgu Wojskowego, komendanci Chorągwi i Hufca ZHP, a także przedstawiciele prasy, radia i telewizji. Na sali poza miejscowymi członkami Towarzystwa obecni byli prezesi oddziałów i klubów z terenu całego kraju oraz Zarząd Główny TML i KPW.

Obchody 5-lecia rozpoczęto uroczystą Mszą św. odprawioną w bazylice przez proboszcza, który wygłoszoną homilię poświęcił sprawom Towarzystwa. W Mszy św. udział wzięły poczty sztandarowe wszystkich wymienionych związków („Sokół” i harcerze wystąpili w mundurach organizacyjnych), ładnie się prezentowało w pelerynach Towarzystwo św. Wojciecha, a w bazylice Jerzy Michotek odśpiewał swoje lwowskie pieśni.

Główna uroczystość odbyła się w Klubie Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Obecny był 99-letni Obrońca Lwowa — mec. Tadeusz Piziewicz, któremu zebrani odśpiewali 200 lat. Po informacji o działalności Oddziału w minionym pięcioleciu bardzo ciepłe życzenia przekazali: miejscowe władze administracyjne, przedstawiciele Lwowa, prezesi — Zarządu Głównego TML i KPW, związków biorących udział w uroczystości, makroregionów, innych oddziałów TML i KPW, szef Klubu POW, a nawet Tońku i Szczepku z kabaretu „Pacalycha”.

Były też i odznaczenia. Złotą Odznakę TML i KPW otrzymali: Adela i Tadeusz Grzeszczukowie — inicjatorzy powołania Oddziału w Bydgoszczy, profesorowie Artur Hutnikiewicz i Andrzej Tomczak, docent Jerzy Dygdała z Klubu Toruńskiego, Augustyn Dorosz i Bolesław Krzemień z Klubu Grudziądzkiego, Józef Zegarliński i Danuta Śliwińska z Oddziału Bydgoskiego. Danucie Śliwińskiej wręczono również Honorową Odznakę Przyjaciół Harcerstwa, przyznaną przez Główną Kwaterę ZHP.

Członkami honorowymi naszego Towarzystwa zostali:

- Redaktor Urszula Guźlecka z Telewizji Bydgoskiej, która od samego początku sekundowała wszystkim poczynaniom Oddziału,
- Płk Franciszek Ostropolski — szef Klubu Pomorskiego Okręgu Wojskowego, który przez cały okres udzielał wszechstronnej pomocy,
- Hm Piotr Nawrocki — Komendant Hufca ZHP Bydgoszcz, który doprowadził do przyrzeczenia

pierwszych zastępów w Średniej Polskiej Szkole we Lwowie w maju 1991 roku — w 80 rocznicę powstania Harcerstwa Polskiego we Lwowie.

Po odznaczeniach była lampka szampa, a Jerzy Michotek zaśpiewał patriotyczną pieśń *Pamiętasz?* Następnie był wspólny obiad i występ kabaretu „Pacalycha” z Bytomia z programem „Serce batiara”.

Po tym występie członkowie Zarządu Głównego oraz prezesi oddziałów i klubów TML i KPW pojechali autokarem i samochodami do Pieczysk nad Zalewem Koronowskim, gdzie w wojskowym ośrodku wypoczynkowym odbywały się przez dwa dni obrady prezesów oddziałów i klubów oraz otwarte zebranie Zarządu Głównego TML i KPW. W pierwszym dniu wieczorem na zorganizowanym nad wodą ognisku pieczono kiełbaski, jedzono „chlib kulikowski” oraz do późnych godzin nocnych śpiewano lwowskie piosenki przy udziale i akompaniamencie członków kabaretu „Pacalycha”.

Kabaret wystąpił w Bydgoszczy dwukrotnie, jeden raz dla uczestników uroczystości 5.lecia, a drugi raz dla bydgoskiej publiczności. Na drugi dzień wystąpił w Pieczyskach dla letników przebywających w tej miejscowości na urlopie. Na każdym koncercie zespół był przyjmowany entuzjastycznie, niejednokrotnie wzruszenie ogarniało i występujących, i publiczność.

* * *

Oddział TML i KPW w Elblągu

Od 4 lat Oddział organizuje wspólne spotkania z Towarzystwem Miłośników Wilna i Grodna, Związkiem Sybiraków, Klubem Inteligencji Katolickiej. Od 3 lat Oddział opiekuje się młodzieżą polską z terenów wschodnich, uczącą się w Elbląskim Studium Nauczycielskim.

Już czwarty rok działa Społeczny Komitet Odbudowy Kościoła NMP w Kopyczyńcach. W tym czasie udzielono różnego rodzaju pomocy:

- 6000 szt. nowej odzieży z Zakładów Przemysłu Odzieżowego TRUSO w Elblągu o wartości 150 000 000 zł,
- 7 ton odzieży i obuwia używanego, dar społeczeństwa elbląskiego o wartości 25 000 000 zł,
- bezpłatny transport darów do Kopyczyńiec o wartości 27 000 000 zł załatwiły Browary Elbląskie i TRUSO,
- przedmioty i szaty liturgiczne o wartości ponad 30 000 000 zł.

Dzięki pomocy finansowej czynne są kościoły w Kopyczyńcach, Kociubińcach, Jabłonowie oraz remontowana jest kaplica w Chorostowie i budynek parafialny w Kopyczyńcach.

W ubiegłym roku powołany został Społeczny Komitet Odbudowy Kościoła w Rozyszczach na Wołyniu, któremu udzielono pomocy.

- 500 kg odzieży używanej,
- 600 kg żywności,
- 400 książek używanych i 45 śpiewników kościelnych.

W czerwcu b.r. powołano Komitet Pomocy Polakom w Kazachstanie. Ze strony miejscowych władz administracyjnych w Elblągu zapowiedziana jest po-

moc dla Polaków z Kazachstanu w postaci przydziału budynków mieszkalnych i gospodarskich na wsi oraz pomoc finansowa przy ich remontowaniu.

* * *

Oddział TML i KPW w Przemyśle

Oddział w Przemyśle działa wielokierunkowo. Rozgłosu i splendoru Oddziałowi dodaje kapela Przemyska „Ta joj”, która uświetnia wszystkie imprezy Towarzystwa oraz reprezentuje Przemysł w całej Polsce, przekazując autentyczny folklor lwowski. W ubiegłym roku na zaproszenie Oddziału TML i KPW przebywał w Przemyśle polski zespół artystyczny młodzieży szkolnej z Borysławia.

W 1993 r. zapoczątkowano dialog pomiędzy Towarzystwem Miłośników Lwowa i KPW w Przemyśle a Związkiem Ukraińców w Polsce — Oddział w Przemyśle. Deputowani z Borysławia oraz Związek Ukraińców w Przemyśle pomogli w sprawie wydania zezwolenia na budowę polskiego kościoła w Borysławiu.

Oddział TML i KPW opiekuje się młodzieżą z okręgu mościckiego, uczącą się w Szkole Rolniczej w Niemadowej (13 osób) oraz 4 uczennicami uczącymi się w liceach przemyskich (2 ze Lwowa i 2 z Dobromila). Oddział organizuje obozy harcerskie dla młodzieży polskiej ze Wschodu. W ubiegłym roku na obozie było 20 dzieci — 10 z Mościsk i 10 z Tarnopola.

Wspólnie ze Stowarzyszeniem Pamięci Orląt Przemyskich budowany jest pomnik na cmentarzu wojskowym w Przemyśle, upamiętniający Polaków pomordowanych w okresie terroru stalinowskiego. W dniach 10 do 13 sierpnia 1993 r. Towarzystwo TML i KPW w Przemyśle było współorganizatorem przyjmowania na noclegi i wyżywienie pielgrzymek (ok. 3000 osób) z okręgu lwowskiego, zdążających po raz pierwszy po wojnie na odpust w Kalwarii Paławskiej k/Przemysła. Zespół Pieśni i Tańca „Ostrowiacy” z Przemyśla występował we Lwowie w ramach obchodów 75 Rocznicy Odzyskania Niepodległości.

Działalność Oddziału w Przemyśle zdominowana była nieprzerwanie pomocą charytatywną. Nasilenie występowało przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocnymi. Tylko w 1993 r. dokonano 25 kursów samochodowych do 15 miast okręgów: lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego oraz jeden kurs do chmielnickiego, jeden kurs samochodem 3,5 tonowym z odzieżą i żywnością do Lwowa.

Przewieziono meble do wyposażenia Towarzystwa Kultury Polskiej we Lwowie i Tarnopolu, książki, maszyny do pisania, wyposażenie w sprzęt biurowy, lekarstwa, nowe obuwie za 15 mln zł dla dzieci w obydwóch polskich szkołach, sprzęt budowlany dla Cmentarza Orląt, przybory szkolne, organy elektroniczne dla Katedry Lwowskiej, aparaty telefoniczne, pianino, zieleni i krzewy do wysadzenia na Cmentarzu Orląt za 35 mln zł, dewocjonalia, szopki dla kościołów. W sumie przekazano ok. 8 ton żywności i ok. 7 ton odzieży i butów. Oddział Przemyski przekazywał na tereny wschodnie dary z różnych Oddziałów i klubów TML i KPW.

Sam Przemysł tylko w 1993 r. przekazał:

- 5100 kg żywności,

- 9000 kg odzieży używanej,
- organy, krzesła, fotele, stoły, lekarstwa, pianino, łopaty, kilofy i grabie na Cmentarz Obrońców Lwowa, krzewy dla Cmentarza, książki, przybory szkolne i biurowe, dewocjonalia.

Danuta Śliwińska

* * *

Mikrusy ze Lwowa w sądeckiej „szesnastce”

Zawada — peraferie Nowego Sącza. Przed szkołą im. Orłat Lwowskich zatrzymuje się autokar z dziećmi lwowskimi z tamtejszej szkoły im. Marii Konopnickiej (ul. Ochronek), „holowany” od granicy w Medyce przez panią Jadwigę Wawro. Serdeczne powitanie, znajome twarze — jest to bowiem rewizyta za ubiegłoroczny pobyt sądeckiego zespołu „MY-16” w Lwowie. Czeka ją też zaprzyjaźnieni rodzice, którzy zabiorą dzieci do domu.

Dużym przeżyciem dla dziatwy lwowskiej był udział w procesji Bożego Ciała. Religijność wśród dziatwy kresowej jest jakby odrobinę żarliwsza, spontaniczna, troszkę nawet archaiczna. — *Nam, starym kresowianom coś to przypomina* — mówi dr Jerzy Masior, lider Sądeckiego Towarzystwa Przyjaciół Lwowa i Kresów Wschodnich — *wracają obrazy tamtych lat...*

Dzieci oszołomione nowościami, dotykają oglądanych tylko na obrazkach lalkach Barbi, nie dają się oderwać od gier komputerowych, cieszą ich niedostępne za Bugiem gumy do żucia. Pełne szczęście, gdy otrzymują niewielkie złotówkowe kieszonkowe ufundowane przez Towarzystwo i Wspólnotę Polską. Pieniądze wydają oszczędnie, po namyśle, głównie na flamastry, tenisówki, bieliznę dziecięcą. Pakiety suwenirów dopełniają prezenty z domów: lalki, odzież.

Doktorowi Masiorowi, któremu „stuka” już siódmy krzyżyk, przychodzi do głowy taka refleksja: — *Jak bardzo w ciągu 5 lat zmieniły się nasze, polskie realia. Jak szybko tracimy dystans do niedawnych pustych półek sklepowych, ogonków kolejowych...*

Niezapomniany wieczór: wspólny koncert dzieci sądeckich i lwowskich, repertuar polski, stareńki, żywcem wyjęty ze śpiewników „Lwowskiej Fali”. Życzliwa pomoc prezydenta Jerzego Gwiżdża, Związku Sądeczan, przewodników PTTK.

— *To była wzruszająca i potrzebna wizyta* — dopowie doktor Masior. *Dzieciom lwowskim jest po prostu potrzebna Polska. Nam — tamtejsze wspomnienia, nasze korzenie.*

Jerzy Leśniak

Z Wołynia do Brzegu

W dniach od 4.08. do 18.08. br. Oddział Brzeski TML i KPW zorganizował kolonię letnią dla 35 dzieci i trzech wychowawczyń pochodzących z wiosek wołyńskich Ołyki i Cumania.

Kolonia zorganizowana została na zasadzie pobytu dzieci u zdeklarowanych rodzin Brzegu i okolicznych wiosek.

Dzieci odebrano ze stacji granicznej w Chelmie i przewieziono transportem samochodowym do Brze-

gu, jak również tym samym sposobem odwieziono dzieci do Chelma.

W czasie trwania kolonii zorganizowano dzieciom wspólne imprezy jak: zwiedzanie zabytków Brzegu oraz spacer po mieście, wycieczka do wrocławskiego ZOO oraz spacer statkiem po Odrze, wycieczka do Kotliny Kłodzkiej w czasie której zwiedzono Bardo Śl. Wambierzyce, Kudowę Zdrój, Polanicę Zdrój i Duszniki, zwiedzanie Brzeskiej Fabryki Zeszytów.

W każdą niedzielę odbywało się wspólne nabożeństwo w kościele Św. Krzyża, z inicjatywy ks. kapłana Bolesława Robaczka.

W dniu 14.08 podczas nabożeństwa odbyła się uroczysta Komunia Św. tych dzieci, które w tym roku w skromnych warunkach przyjęły Pierwszą Komunię na Wołyniu.



Pierwsza Komunia Święta dzieci z Wołynia w kościele w Brzegu

W dniu 17.08 odbyło się pożegnalne ognisko wspólne z „rodzinami kolonijnymi” oraz dziećmi miejscowymi. Były śpiewy, zabawa oraz pieczenie kiełbasy na ognisku.

Środki finansowe na pokrycie kosztów pochodziły od społeczeństwa, przez kwestę przeprowadzoną przez członków Towarzystwa pod kościołami.

Dzieci obdarowane zostały pomocami szkolnymi przez Kierownictwo Fabryki Zeszytów w Brzegu, słodyczami z Fabryki cukierków „Odra” w Brzegu, jak również przez rodziny u których dzieci przebywały.

O tym, że kolonia się udała, świadczyły lzy pożegnania w dziecięcych oczach, oraz tych którzy ich żegnali w dniu 18.08 po uprzednim nabożeństwie pożegnalnym w kościele Św. Krzyża.

Jest to niewątpliwy sukces organizatorów i dobroczyńców, do których szczególnie należą ks. kapłan Bolesław Robaczek, siostry zakonne, oraz członkowie Towarzystwa wśród których nie sposób nie wymienić p. Helenę Czoppa, Alicję Zbyryt, Juliana Jamroza i wiele innych zaangażowanych sercem i czynem w tę szybko a jak skutecznie zorganizowaną imprezę.

Wszystkim, oraz sponsorom należą się serdeczne podziękowania, co niniejszym czynię, życząc im po lwowsku: „Ta daj Boży zdrowi”.

Prezes Oddziału
Zbigniew Grata

APEL

Zwracamy się z uprzejmą prośbą o pomoc finansową dla odtwarzanych parafii polskich dekanatu Kołomyja. Nasi Rodacy na dawnych Kresach Wschodnich, po ciężkich doświadczeniach ostatniej wojny i okresu komunistycznego, odzyskali swoje świątynie i podjęli niecodzienny trud zabezpieczenia i renowacji kościołów – zabytków kultury polskiej. Równolegle podejmują starania w organizowaniu: życia religijnego, kulturalnego, oświaty i nauczania języka polskiego oraz wznowienia kontaktów z Macierzą. Pomóżmy im w tym zbożnym dziele, gdyż wobec ogromu zniszczeń i dewastacji, a jednocześnie własnego ubóstwa – sami nie udźwigną tego ciężaru.

Mieczysław Budzianowski

Ofiary prosimy wpłacać na konto:

Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
ZG we Wrocławiu
PKO IV O/Wrocław 93549-99192-132-0
– dla „POKUCIA”

Wykaz odbudowywanych kościołów. Krótki opis (miejscowości i ich liczba mieszkańców wg stanu z 1939 r.)

CENIAWA – wieś nad potokiem Olchowiec w pow. kołomyjskim, ok. 2000 mieszkańców; kościół należy do parafii kołomyjskiej; murowany (ok. 1910 r.) – jednowieżowy, jednoprzestrzenny; zniszczony, w latach 1946-92 pełnił funkcję magazynu nawozów sztucznych – ponowna konsekracja w 1992 r.

GWOŹDZIEC – miasto nad Czerniawą w pow. kołomyjskim, ok. 4000 mieszkańców, parafia rzym.-kat. Niepokalanego Poczęcia NMP dekanatu horodeńskiego, założona w 1475 r. przez Prokopa z Gwoźdzca; kościół i klasztor oo Bernardynów ufundowała w 1723 r. Zofia z Potockich księżna Puzynina; kościół (kons. 1775 r.) w stylu późnego baroku – dwuwieżowy, jednoprzestrzenny, przed nim na kolumnie figura błogosławionego Jana z Dukli; zniszczony, w latach 1946-91 pełnił funkcję magazynu szpitalnego – ponowna konsekracja w 1992 r.



Kościół
w Gwoźdzcju



Kościół
w Kołomyi

KOŁOMYJA – stolica Pokucia, miasto powiatowe nad Prutem u podnóża Czarnohory, ok. 42 000 mieszkańców; (Polacy, Żydzi, Ukraińcy, ostatnia siedziba Naczelnego Wodza w 1939 r., parafia rzym.-kat. Wniebowzięcia NMP założona przed 1353 r., kościół paraf. (1775 r.), barokowy, zniszczony, w latach 1946-90 zamieniony na Dom Handlowy, od 1992 – cerkiew unicka, jego rolę przejął kościół oo Jezuitów Ignacego Loyoli (1901 r.) w stylu neoromańskim – jednowieżowy, trójnawowy z polichromią; zniszczony, w latach 1946-90 pełnił funkcję magazynu mebli – ponowna konsekracja 3.11.90 r. obecnie siedziba parafii.



Kościół
w Kosowie

KOSÓW – miasto powiatowe nad Rybnicą u stóp Miejskiej Górki, ok. 6000 mieszkańców, lotnisko z zakładem przyrodoleczniczym dra Tarnawskiego, ośrodek sztuki huculskiej – tkactwo, ostatnia siedziba rządu II RP w 1939 r.; parafia rzym.-kat. NPM Różańcowej dekanatu kołomyjskiego, założona w 1740 r. przez Jerzego Dzieduszyckiego; kościół jednowieżowy, trójnawowy z polichromią murowany (1898) został zlikwidowany po II wojnie, jego funkcję przejęła kaplica cmentarna konsekrowana w 1992 r.



Kościół
w Kutach

KUTY — miasteczko nad Czeremoszem w pow. kosowskim u stóp Owidiusza, ok. 7000 mieszkańców, w tym Ormianie, obok Zaleszczyk najcieplejsze letnisko w II RP. Ośrodek sztuki huculskiej — garncarstwo; parafia rzym.-kat. Najświętszego Serca Pana Jezusa dekanatu kołomyjskiego, założonego w 1727 r. przez Józefa Potockiego, wojewodę kijowskiego; kościół (XVIII/XIX w.) — jednowieżowy, trójnawowy z transeptem; zniszczony, w latach 1946-92 pełnił funkcję magazynu — ponowna konsekracja w 1993 r.

NADWÓRNA — miasto powiatowe nad Bystrycą, ok. 10 000 mieszkańców, regionalne centrum naftowe (150 szybów), w okolicy słynne pobojuwiska II Brygady Legionów (Mołotków, Rafajłowa, parafia rzym.-kat. Wniebowzięcia NMP dekanatu stanisławowskiego założona w 1609 r. przez braci Pawła, stolnika halickiego i Mikołaja Kuropatów; kościół murowany (1713 r.) w stylu wczesnego baroku trójnawowy z kaplicą, będącą starszym kościołem, zniszczony, w latach 1946-91 pełnił funkcję zakładu przemysłowego i magazynu nawozów sztucznych — ponowna konsekracja w 1992 r.

OBERTYN — miasto nad Czerniawą w powiecie Horodenka, ok. 6000 mieszkańców. W 1531 r. hetman Jan Tarnowski odniósł zwycięstwo nad Wołochami; par. rzym.-kat. św. Piotra i Pawła, dekanat horodeński, założona w 1757 r. przez Rafała Skarbka chorążego kołomyjskiego; kościół murowany (1891) zburzony po II wojnie światowej. Funkcję kościoła pełni prywatnie mieszkanie.

OTTYNIA — miasteczko nad Woroną w pow. tłumackim, ok. 5000 mieszkańców, parafia rzym.-kat. Wniebowzięcia NMP dekanatu stanisławowskiego, założona w 1669 r. przez Andrzeja Potockiego, kasztelana krakowskiego; pierwszy kościół drewniany (1775 r.) drugi murowany (ok. 1905 r.) w stylu neoromańskim — jednowieżowy, trójnawowy; zniszczony, w latach 1946-92 pełnił funkcję magazynu — ponowna konsekracja w 1993 r.

ŚNIATYŃ — miasto powiatowe nad Prutem na granicy polsko-rumuńskiej, ok. 12 000 mieszkańców. Siedziba biskupa wołoskiego (1751-1788); parafia rzym.-kat. p.w. Wniebowzięcia NMP dekanatu horodeńskiego założona przed 1568 r; kościół murowany (1857) jednowieżowy, trójnawowy, zniszczony, w latach 1946-1993 pełnił funkcję magazynu. Ponowna konsekracja 1993 r.



Kościół
w Zabłotowie

ZABŁOTÓW — miasteczko nad Prutem w pow. śniatyńskim, ok. 6000 mieszkańców, parafia rzym.-kat. Świętej Trójcy dekanatu kołomyjskiego, założona w 1605 r. przez Stanisława Wołuckiego z Boguszyc, chorążego rawskiego; pierwszy kościół drewniany (1833 r.), drugi murowany (XIX/XX w.) w stylu neogotyckim — jednowieżowy, trójnawowy z polichromią; zniszczony, w latach 1946-91 pełnił funkcję magazynu nawozów sztucznych — ponowna konsekracja w 1992 r.

Bożena Krupska



Rocznica we Lwowie

W 50-tą rocznicę akcji „BURZA” w dn. 24 VII br. po Mszy św. odprawionej przez ks. bpa Rafała Kiernickiego ps. „Dziunio” na Cmentarzu Obrońców Lwowa zostały złożone wieńce m.in. przez członków Światowego Związku Żołnierzy AK. Oprócz Żołnierzy plutonu „Grom” wzięli udział pp. Eugeniusz Cydzik z oddz. „Wachlarz” z Grodna, Joanna Domaszewska ps. „Hanka” — legendarna łączniczka z Przemyślan i Hanaczowa, ppłk. Anatol Sawicki ps. Młot oraz Emil Teśluk ps. Totek, obrońca Gazowni, obecnie v-prezes Z.G. TML i KPW.

Jeszcze o „Karierze pana Frajera”

W numerze 2/94 *Semper Fidelis* p. Tadeusz Riedl wspomniał o odzyskaniu przeze mnie nagrania audycji *Wesołej Lwowskiej Fali* pt. „Kariera pana Frajera”. Warto by może wyjaśnić, w jaki sposób doszło do tego, że audycja ta została nadana przez Polskie Radio w Warszawie w roku 1988.

Otóż w okresie okupacji niemieckiej p. Jan Włodarski pracował jako elektryk w pewnej krakowskiej firmie, której zlecono wykonanie jakichś prac w lwowskiej radiostacji. Natrafił tam wśród różnych przedwojennych pozostałości na drewnianą paczuszkę z kompletem płyt, zabrał ją i przywiózł do Krakowa. Po wojnie p. Włodarski znalazł się w Gliwicach, gdzie jego córka Marta i zięć Jan Piela otworzyli zakład pieczętarski przy ul. Zwycięstwa 43. Lokal był na tyle obszerny, że zmieścił się tam również zakład zegarmistrzowski prowadzony przez p. Franciszka Cyptora i jego brata Józefa — mojego szkolnego kolegę i jednego z najbliższych przyjaciół. Któregoś roku p. Włodarski podarował te płyty p. Franciszkowi Cyptorowi w prezencie imieninowym i tak znalazły się one w posiadaniu rodziny Cyptorów.

Któregoś roku we wczesnych latach siedemdziesiątych, odwiedzając mego przyjaciela Józka Cyptora, dowiedziałem się o tych płytach. Postanowiłem zabrać je do Wrocławia i spróbować przegrać na taśmie; miałem bowiem w dyspozycji potrzebny do tego nowoczesny sprzęt, mianowicie gramofon „Bambino” i magnetofon „Melodia”. Pojawiły się jednak pewne trudności. Po pierwsze, okazało się, że płyty te są nagrane odśrodkowo. Po drugie, prędkość obrotów talerza była inna niż dwie czy trzy standardowe stosowane we współcześnie produkowanych gramo-

fonach. I po trzecie — odtwarzanie było zakłócone nieznosnymi szumami i trzaskami. Pierwsza trudność nie miała praktycznie żadnego znaczenia, ale drugiej trzeba było jakoś zaradzić. Osiągnąłem to zmieniając eksperymentalnie średnicę krążka napędzającego talerz gramofonu przez oklejanie go paskami gumy różnej grubości. W ten sposób doszedłem do właściwej prędkości obrotów i można już było przegrać audycję z płyt na taśmę. Trzeciej trudności nie mogłem pokonać; szumiało i trzeszczało jak przy słuchaniu Wolnej Europy, ale jednak z głośnika płynął „mniód i balcam” — kochane, przedwojenne głosy Tońka i Szczepka! Zrobiłem oczywiście kilka kopii, które rozeszły się po lwowiakach kilkanaście lat przed nadaniem tej audycji przez Polskie Radio. A trzeba pamiętać, że w owych czasach rozpowszechnianie tego rodzaju materiałów było zaliczane do kategorii „działalności dywersyjnej skierowanej przeciw Zachodniej Ukrainie”...

Na tym się jednak (na szczęście!) nie skończyło. O płytach u Józka Cyptora dowiedział się nasz wspólny kolega ś.p. Zbyszek Stankiewicz, który miał jakieś dojście do Polskiego Radia w Warszawie. Tak więc znalazły się one w Pracowni Rekonstrukcji PR, kierowanej przez wspaniałego lwowskiego fachowca. Praca nad oczyszczeniem dźwięku ze starych przedwojennych płyt decelitowych trwała kilka lat. Jednak mistrzostwo ś.p. p. Piechurskiego kierownika tej Pracowni, wsparte nowoczesnymi urządzeniami elektronicznymi, dało wynik zdumiewający zwłaszcza tych, którzy mogli porównać moje pierwsze amatorskie przegranie z oczyszczoną audycją nadaną przez Polskie Radio w okresie Bożego Narodzenia 1988 roku.

Tak to dzięki staraniom kilku lwowiaków uratowana została jedna z perełek przedwojennej twórczości lwowskich radiowców. Szkoda tylko, że Polskie Radio zaprezentowało tę audycję tylko raz, i to tak dawno temu...

DANUTA ŚLIWIŃSKA

Pacałycha

*Już te czasy minęli
Kiedy na Cytadeli
Kwitnęli moreli*

W naszej pamięci nie minęły jednak dawne czasy, dzięki pieczołowitemu zbieraniu i ratowaniu od zapomnienia folkloru podmiejskich lwowskich ulic m.in. przez wspaniały kabaret „Pacałycha” z Bytomia. Już trzeci kolejny program kabaretu rozśmiesza i rozczula do łez naszych rodaków w kraju. Oglądałam osobiście, i to wielokrotnie, programy drugi i trzeci. Były to „Bal u ciotki Bańdziuchowej” i „Serce batiara”. Obydwa znakomite, wzruszające, wspaniale odzwierciedlające nastrój przedwojennej lwowskiej ulicy.

Program „Serca batiara” — specjalnie został przygotowany na 75 Rocznicę Obrony Lwowa,

z rozbudowaną częścią patriotyczną, natomiast w pozostałej, podobnie jak poprzedni, wywołuje dużo śmiechu, daje wiele radości i niezapomnianych przeżyć. Wspaniały zespół kabaretu przybliżył nam lwowskie piosenki i dialogi znane, mniej znane, a także pisane obecnie, a wszystko w prawdziwym lwowskim bałaku. Wykonawcy przedstawiają je z werwą, z temperamentem, w żywym tempie, z uśmiechem, spontanicznie oraz bardzo naturalnie, i w tym są lepsi od zawodowych aktorów.

„Pacałycha” potrafi poruszyć w każdym z nas te najbardziej ukrywane czułe struny, wywołać zdrowy śmiech i bardzo, bardzo dużo radości. W piosenkach i scenkach śpiewają i mówią o Lwowie, lwowiakach, tęsknocie za ukochanym miastem, przywołują wspomnienia z życia podmiejskich ulic. A zespół? — dobrali się wszyscy jak w korcu maku, są mili, przyjaźni, mają serca wielkie, szczerze i gorące, witani są zawsze ogromnymi oklaskami i okrzykami, a na zakończenie występów nagrodą są nie milknące brawa na stojąco. Zespół to galeria postaci

z Wesołej Lowskiej Fali. Wszystkie osoby są godne podziwu, a Tońku i Szczepku — niezastąpieni w swoich typach — bezpośrednich, serdecznych batarów lwowskich. Występom towarzyszy znakomita kapela muzyczna.

Kabaret swoimi występami daje nam ogromną radość wzruszenia, a Rodakom za wschodnią granicą wymierną korzyść. Wszystkie dochody z koncertów przekazywana są głównie na odbudowę Cmentarza Orląt we Lwowie. Aktualnie zbierane środki finansowe z występów będą przeznaczone na odbudowę katakumb na tym Cmentarzu.

Prawdziwym DOBRYM DUCHEM zespołu, a jednocześnie autorką scenariuszy i reżyserem jest Danuta Skalska, prezes Oddziału TML i KPW w Bytomiu. Opracowanie muzyczne leży w rękach Andrzeja Migdałka i Tadeusza Udały, a teksty nowych piosenek

ułożył Ryszard Gerliński. A oto pełna obsada kabaretu: Tońku — Adam Żurawski, Szczepku — Ryszard Mosingiewicz, Ciotka Bańdziuchowa — Danuta Fattyga, Franka — Krystyna Kurek, Helcia — Maria Jelonek, Mińcia — Danuta Skalska, Jóźku — Ryszard Gerliński, Radca Stroń — Wincenty Skalski, Guściu — Franciszek Romaniszyn, Kapela — Tadeusz Udała, Kazimierz Tarnowski, Ireneusz Herisz, Jerzy Wojnar, Andrzej Migdałek.

Kabaret „Pacalycha” trzeba koniecznie zobaczyć. Występy „Pacalychy” z przeniesieniem autentycznej atmosfery lwowskiej, z prawdziwym, niekłamany humor, przeplatany nutką sentymentu, pozostaną na długo w pamięci wszystkich uczestników koncertów, a równocześnie dołożą cegiełki na dalszą odbudowę Cmentarza Orląt.

POSZUKIWANIA

Hieronim Welc był Obywatelem Miasta Lwowa, działał w Cechu Cukierników i w Radzie Miejskiej do wejścia wojsk radzieckich we wrześniu 1939 r. Miał cukiernię przy ulicy Akademickiej 5. Konkurował z mieszczącą się po przeciwnej stronie ulicy cukiernią Zalewskiego. W towarzystwie należało do zwyczaju dyskutowanie, którą cukiernię się woli. U Welca gromadzili się literaci i inni artyści.

W Jego zakładzie oprócz ciastek wytwarzano różne gatunki czekolad i pralinek. Miał patent na tzw. białą czekoladę, której smaku i jakości nikomu nie udało się powtórzyć.

Mieszkał przy ulicy Zimorowicza (przecznica od Akademickiej) w tzw. Kamienicy Chodorowksiej, której właścicielem był książę Lubomirski. Jako jeden z głównych odbiorców cukrowni w Chodorowie, własności Lubomirskich, był Welc z tą rodziną w przyjaźni, tak, że mieszkał na tym samym piętrze tej dużej, narożnej kamienicy. Miało to znaczenie o tyle, że kiedy komuniści weszli do Lwowa we wrześniu 1939 roku i służba książęca się rozpierzchła, Lubomirscy korzystali z kuchni u Welca.

Z kuchni tej i dachu nad głową korzystało też około 20 osób, które uciekły z początkiem września przed Niemcami. Większość z nich spała w gabinecie Welca pod dużą palmą, na dywanie. Po wejściu bolszewików niektórzy przeprawiali się do Rumunii, a inni wracali pod okupację niemiecką głównie przez zieloną granicę, a część przez tzw. Komisję Niemiecką działającą przy ulicy Orzeszkowej przez krótki czas w jesieni 1939 r., a później po raz drugi na wiosnę 1940 roku.

Welc pewnego dnia z końcem stycznia lub początkiem lutego 1940 r. wyszedł z domu rano do cukierni i nigdy do niej nie dotarł. Aresztowano go na ulicy i ślad po nim zaginął. Miał wtedy ok. 60 lat.

Jeśli ktoś słyszał coś o jego losie, był z nim w celi lub transporcie na wschód — ostatnia z jego rodziny prosi o wiadomość. Ewa Polaczek 30-051 Kraków, Urzędnicza 27/11.

Poszukuje się Stanisława Jaremy aresztowanego przez NKWD na początku 1940 roku w Tarnopolu. Przebywał prawdopodobnie później w którymś z więzień lwowskich (Brygidki Zamarstynów, Łackiego). Kto mógłby udzielić jakichkolwiek informacji o zaginionym proszony jest o podanie wiadomości na adres córki:

Janina Szymczak, Gdynia, ul. Narcyzowa 9 m 19.

Z żałobnej karty

Żołnierze Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego z głębokim smutkiem i żalem powiadają, że w dniu 18 września 1994 r. odszedł od nas na wieczną wartę w wieku 90-ciu lat ks. prałat płk AK dr Roman Jan Dąca kapelan żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego ps. „Longin”. Dowódca rejonu partyzanckiego AK „Nowosielce” dla samoobrony ludności polskiej przed okupantami hitlerowskimi i UPA w latach wojny i okupacji. Uczestnik bitwy z bolszewikami w r. 1920 i wojny obronnej w r. 1939. Odznaczony Orderem Srebrnego Krzyża Virtuti Militari, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości za udział w wojnie 1918-1920, Krzyżem Drugiej Obrony Lwowa rozpoczętej w 1939 roku, Krzyżem Armii Krajowej, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, czterokrotnie Medalem Wojska oraz wielu innymi.

Absolwent słynnej międzywojennej uczelni artylerzystycznej we Włodzimierzu Wołyńskim oraz wychowanek i doktor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Odszedł od nas nie tylko kapelan, ale również przyjaciel, który do ostatnich chwil swego życia żył naszym życiem i wspierał nas modlitwą i opieką duchową. Cześć Jego Pamięci.

Ogólnopolski Okręg Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. „Orląt Lwowskich” w Krakowie

„Wolny rynek”



MAŃKU: Niech mnie drzwi ścisnu, co ty Jóźku robisz przy tym stoliku? Sprzydasz, czy co?

JÓŹKU: Sprzydaj, bo ja jeżdżę tera handlowic.

MAŃKU: Ta ty nigdy nie był handlowic, ty si na tym znasz?

JÓŹKU: Tera kuźdyn jedyn jest handlowic. Trza z czegoś żyć. Trochi na tym zarabiam. Sprzydaj różny towary, taki uo jak masło, margaryny, śmitany, kawy.

MAŃKU: A jak ty na tym zarabiasz, bu chiba ni sprzydasz za bezdurnu?

JÓŹKU: Ta co, ja mentykaptys jeżdżę? Jeżdżę du różnych hurtowni, dzie wszystku jeżdż tańszy i co kupi, to tu trochi drożyj sprzydaj. Ot i cały interys. A ty z jakij putrzeby tu przyhulał?

MAŃKU: A z takij, ży tera wszeńdzi są różny ceny, z tegu zdurnieć można. Tu jak ja si duwiedział ży na tym placu kołu Opery jeżdż tanij niż dzie indziej, ży ogóli można sobi obglondnuć ruzmaity zagraniczny maneli — to ja tu przyhulał.

JÓŹKU: Ta pewni. U nas tera jak na perskim rynku. Kupisz co dusza zapragni, jeżeli masz duży szwajnerów.

MAŃKU: Fakstyczni, jak perski rynek. Widzy tu pełnu Moskali, Rumunów, Cyganów, tylku jeszcze Turków saraceńskich brakuj.

JÓŹKU: Nu właśni na tym pulega wolny rynek, ży każdemu wolnu dzie chce sprzydawać, pud Operu, na Świdnickij, pud Dworcym, nu wszeńdzi.

MAŃKU: Pewni zanidługu na Uniwersyteci i w magistraci. Mnie si to ni spudobi, ja ni lubim taki strentny bałagan.

JÓŹKU: Ta Mańku, to niważny jak to wyglonda. Na tym właśni tera pulega ryforma gospudarcza. Ty gazyt ni czytasz, czy tylywizji ni ubglondasz?

MAŃKU: Ta taki całkim durny jak si tobi zdaj, to ja ni jeżdżę, ali takuj jak sy spomny jak to si dawnij wy Lwowi handlowało, to po mojemu wtedy było lepij. Kupuwało si na raty abu na ksiunżeczki. Klijint był szanowany, nikt ci nigdy ni uszukał, bu wtedy ty by du takiego sklepu wiency ni poszyd. Chiba pamnientasz, ży tak było?

JÓŹKU: Czy ja pamnientam? Czy to ja na zakupy ni latał du wszystkich sklepów na Gródku!

MAŃKU: A ja du wszystkich na Łyczakowi! Przy drzwiach czenstu był dzwuneczyk, chtóry bałamkał jak wchodził klijint i subiekty zara si pudrywali.

JÓŹKU: Jo, jo, tak było. A u nas du nidawna mogły w bemben bić wchodzunc du sklepu, a spedientka niech ni powim czegu zy stołka ni pudniosła. Najwiency si ciszyła jak mogła puwiedzić, ży czegoś ni ma.

MAŃKU: Jak sy spomny jaki to pienkny byli sklepy dawnij, a jaki wygodny, bu byli branżowy a nie taki szwarc mydło i puwidło jak tera.

JÓŹKU: Oj, zicher ty masz racji. Za naszych czasów jak ty putrzybował nici, tu w sklepi byli nici, jak papir — tu papir, jak buty — tu buty. Nu, sam wiesz.

MAŃKU: I zawdy byli wszystki numery i różny gatunki i różny ceny. Jak ty sy kupił nawyt jedny sztuki i to ni drogi, to ci na końcu śliczni zapakuwali i zawionzali cienkim sznureczkim z taku pentelku na palic. I si jeszcze kłaniali i tu drzwi udprawdzali.

JÓŹKU: Albu taki placu jak tyn na chtórym siedzy, czy byli pud Tyatrym Wielkim abu na Akadymickij? Ta nikt by na tu ni zyzwolił, a pulicaj zara by wygonił!

MAŃKU: Ta pewni. Du tegu były spycjalny mniejsca. Kuło mni na przykład Plac Świentegu Antuniegu, dzie było nidrogu, ali gdy chto chciał jeszcze tanij kupić, tu szed za rugatki Łyczakowski, wiesz, tam kołu kasarni Ułanów Jazłowieckich.

JÓŹKU: A kuło mni był Plac Unii Brzeskiej i rugatka Gródecka, a jeszcze dawnij Kopytkowy kołu Świentyj Elżbiety.

MAŃKU: Tam baby ze wsi sprzydawali mliku z bańki, masła w liściu chrzanowym, syr w szmatcy, a pamnientasz ży jajku kusztuwało dwa groszy?

JÓŹKU: Ali pu aligancki tuwary trza było jechać tranwajim na dół du miasta, i ni du żadnych jakiś domów tuwarowych. Dom tuwarowy był tylku jedyn, koło Kawiarni Wiedeńskij, „Trust” si nazywał.

MAŃKU: Ach te aligancki sklepy w mieści, aż miłu wspomnuć. Pamnientasz niechtóry?

JÓŹKU: Ta pewni. Jak ty chciał kupić dobry pikuleta, to ty szed du sklepu „Bata” abu „Delka”, jak chciałyś coś z galanterii, to du Berty Sztark abu du Gabriela Sztarka, pu

rynkawiczki, pończochi i parasoli ubuwionzkowu du Pawłowskiego.

MAŃKU: A jak to ciastka — du du Zalewskiego na Akadymickij, pu zabawki du Hegidisa na Kupernika. A sklep Ridla na Rutuwskiego miał braci samy różny herbaty i kawy ud pudłogi aż pu sufit! Spomniał sy ja jeszcze, ży w aliganckich sklepach to jak chto przychodził kupować zy swoim miglancym — tu taki miglanc na pużygnani dustawał ud właściciela jakiś zabawny misztygałyk: balonik, czykuladki z ubrazkami, jojo abu coś innego. Ni powim już o Rynku, dzie przy straganach sidziały naszy lwowski przykupki co jak kanarki śpiwali: „Tylku u mni, u mni, pańciu! Rumbabar, kalafior jak szaflik, kiel, trymbulka, zilonu U mni najtanij!”

JÓŹKU: Nu a Krakidały? Tam to byłu gensto ud narodu, tylku tam tak handlowali jak tera wszeńdzi.

MAŃKU: A jak ty nie chciał wychodzić z chawiry, tu byli taki domukronżcy, co taskali swój towar du ciebi, różny towar, drobnu — jak sznurówki, guziki, nużyczki i inny fidrygały. Inni nusili nawyt dywany. Chodził tagży prawdziwy Chińczyk z pudełkami hyrbaty, abu Hucuły, co przynosili różny malowany łyżki, kołotuszki i kasetki rzyzbiony co si na kluczyk zamykali. Ja taku jeszcze mam. A tobi Jóźku to tu wygodni?

JÓŹKU: Ta ja tu z bidy handluji na tym stołku. Póki ciepłu, wiatyr ni duji i ni pada, można tu wytrzymać, ali jak si skończy kława pugoda, tu muszy cały tyn majdan zwijać i konic intyresu.

MAŃKU: Żeby tak Jóźku mieć sklep w kaminicy, abu choć taki ubwożny na kółkach jak tu punichtóry majum.

JÓŹKU: Ani marzy o tym. A szkoda, bu taka si we mni guronczka du handluwania rozdymała, ży mam du tego syrdeczny uchoty.

MAŃKU: Najgorszy, jak tak na staruść nima cu robić. A wiesz, ja pozawczoraj spotkał naszegu kulegi zy Lwowa, tegu muturuwegu Szeremety.

JÓŹKU: Ja gu duskunali pamnientam. Nie raz ja si szwarcował i za bilyt ni płacił, jak ja stał kołu niegu na pomości.

MAŃKU: On tyż na emeryturzy. My sy z nim przypomnieli nawyt znany lwowski pioseunki, te uo:

*Tranwaj za tranwajim, za tranwajim tranwaj,
A za tym tranwajim jeszcze jedyn tranwaj...*

Ten Szeremeta wciongli bałaka, ży ni moży żyć byz tranwaju.

JÓŹKU: To niech sy kupi tranwaj. Tera wszystku można kupić.

MAŃKU: On mi jeszcze bałakał, ży tam w remizji na Grabiszyńskij stoi na bocznych szynach taki stary trochu zdzyzelowany tranwaj i on gu zy sentymentu myji i pucuji ud czasu du czasu.

JÓŹKU: Mańku, Matku Boska! Ta ty mi z nieba spad z tym tranwajim na głowy!

MAŃKU: Jak to na głowy?

JÓŹKU: A tak, ży my z tegu tranwaju zy Szeremety na spółki zrubimy „Lwowski Sklep”!

MAŃKU: O ja nasypali szutru! A niech ci! A jak ty myślisz ten tranwaj tutaj zaciongnuń?

JÓŹKU: Najsampirw gu udmalujemy, purubimy lady i półki, a na końcu duczypimy du dobregu tranwaju i pudwieziemy gu pu szynach aż tutaj, du mostku nad fosu. Dalij trzeba bendzi go przykatulać.

MAŃKU: Jóźku, czy to muźliwi?! Jakby to byłu cudni, gdyby my mieli swój sklep! Oj powidz, powidz, jak to bedzi „Lwowski Sklep”, to co my lwowskiego bedziemy w nim sprzydawać?

JÓŹKU: Co si da! Ja ci ud razu wszystku wyklaruji. My gu pudzilimy na pół. Z jedny strony bedu tuwary spużywczy, a z drugij różny maneli.

MAŃKU: Już si tak cieszy, ży wytrzymać ni mogim. Nu jaki, nu jaki to bedu specyjalni lwowski tuwary?

JÓŹKU: A uo, na tyn przyład: Kiszki, salcesun, szpunderki, śledzi pucztowy, moskaliki, szmalic, chlib kulikowski, kajzerki, bajgieły, grysik, mamałyga, cukier monczka, marmelada, kawa Knajpa, cykoria Franka, kwargli... i precli.

MAŃKU: Oj, cudowni, cudowni! A co bedzi w drugij pułowi tranwaju?

JÓŹKU: Już mówim: Ancugi, kuszuli, krawatki, szelki, sztrumpki, kapcyliny, meszty, pikulety, sztyblety, pepegi na latu, szwimki, swetry i dżempy, no i ogóli... ja si już zmenczył. Ali fajnu bedzi, co?

MAŃKU: Sercy mi rośni! Hulajmy szybko du Szeremety po tyn tranwaj, bu gu jeszcze nam chto podsmytra. Takiego drugiego sklepu już nicht ni bedzi miał!

JÓŹKU: Nu tu co, Mańku — spółka blat? Już ni bedziemy bidy klepać!

MAŃKU: Ta fajnu, fajnu Jóźku! A tera pu drodze zaśpiwajmy sy naszy lwowski piosenki, te uo z filmu „Bedzi lepij”:

*„Potym pójdę du sklepiku, kupi masłu, syr i mniód,
Kulikowski chlib i mliku, abyś miała, jak obudzisz si,
Jedzenia, picia w bród...”*

(Na winiecie odtwórcy dialogów: Tadeusz Wojnarowicz i Jan Marian Szaby)



BROWARY DOLNOŚLĄSKIE „PIAST” S.A.

50-302 WROCŁAW, ul. Jedności Narodowej 204

Tel. 071 22 23 24, fax 071 22 27 23, tlx 071 24 58

Lista Ofiarodawców w lipcu i sierpniu br.

Zbigniew Lechowski, Wschowa	40.000	Andrzej Niesiołowski, Warszawa	100.000	Jakub Szlachetko	200.000
TML i KPW, Szczecin	200.000	S.C. Bader, Brzesko	200.000	A. T., USA	2.226.000
Władysław Nowicki, Kozuchów	40.000	Józef Stan, Toronto	1.642.000	W. T., USA	4.452.000
Danuta Bolanowska, Łódź	150.000	Józef Tarka, Zielona Góra	200.000	Stanisław Tarnowski, Poznań	50.000
Edward Adles, Kraków	60.000	Stanisław Mossoczy	100.000	Anna Pawlak, Toruń	100.000
Florian Gronowski, Gorzów Wlkp.	500.000	Andrzej Hanuszewski, Pyskowie	200.000	Andrzej Hanuszewski, Pyskowie	300.000
Jerzy Węgierski, Katowice	100.000	Ewa Cristina Jedniak	1.488.600	Zofia i Tadeusz Krzyśków, Bytom	100.000
Andrzej Hanuszewski, Pyskowie	300.000	K. Stive Rasiej		Jacek Miliński, Łódź	50.000
Stanisław Mossocay, Bielsko Biala	100.000	Maria Rasiej, Bogota	1.088.600	Wanda Klimkiewicz, Przemyśl	100.000
Feliks Cafi, Gniechowiec	120.000	Jan Karasiewicz, Chorzów	100.000	Józefa Lesiów, Wrocław	550.000
J. Matejka, Wolomin	200.000	Józef Szupurski, Paryż	2.517.600	Ewa Chylewska, Szwajcaria	fundator
Władysław, Franciszek Szajnerowie,		Józef Wojciechowski, Legnica	100.000		stypendium)
Rabka	100.000	Tadeusz Świątnicki, Przemyśl	100.000	I. M. T., USA	22.819.000
Spółem PSS, Brzesko	100.000	Wiktor Mokonek, Jelenia Góra	100.000	Józef i Joanna Starzecki, Wrocław	20.000
Józefa Bolanowska, Łódź	300.000	Józef Bieńko, Stalowa Wola	500.000	Stanisław Piel, Rzeszów	200.000
Zofia Frankowska, Ustrzyki Dolne	40.000	TML i KPW, Lubaczów	150.000	Maria Żurawska-Gangi, Toruń	400.000
Wanda Klimowicz, Szczawnica	90.000	Ireneusz Chojnacki, Łódź	100.000	Nadina Tysenkauz-Pietruska, Kraków	100.000
Brzeskie Z-dy Komunalne, Brzesko	200.000	Stanisław Józkiwicz, Katowice	200.000	Gryżyna Śtankiewicz, Bydgoszcz	20.000
Janina Blum, Wrocław	100.000	Krzysztof Braun, Sanok	100.000	TML i KPW, Świdwin	250.000
Ludwik Klonowski, Jasło	300.000	Bronisław Suchocki, Wrocław	50.000		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania.

OD WYDAWCY

- Zwracamy uwagę naszym Czytelnikom, że S.F. zwiększyło swoją objętość z 44 do 52 stron w związku z dużą ilością przysyłanych materiałów do druku. W roku bieżącym nie będziemy już zmieniać ceny, jednak od nowego roku, ażeby utrzymać się w kosztach jesteśmy zmuszeni podnieść nieznacznie cenę pisma.
- Dwumiesięcznik „Semper Fidelis” od nowego roku będzie kosztować w detalu 18 000 zł w hurcie 15 000, a roczna prenumerata będzie wynosiła 150 000 zł.
- Miesięcznik „Dziennik Kijowski” — prenumerata na 1995 r. będzie wynosiła 120 000 zł.
- Dwutygodnik „Gazeta Lwowska” — prenumerata na 1995 r. będzie wynosiła 150 000 zł. Naturalnie przyjmujemy też wpłaty na półroczną prenumeratę na w/w pisma. Prosimy o wyszczególnienie za co i do kiedy jest wnoszona wpłata. Konto bankowe Fundacji Kresowej S.F. PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3
- Na to samo konto przyjmujemy wolne datki na nasze pismo za umieszczanie apeli, komunikatów, informacji, poszukiwania rodzin, oraz do rubryki z „żałobnej karty”.
- Zapraszamy również do zamieszczania reklam na łamach naszego pisma. Cennik nie uległ zmianom. Życzymy przyjemnej lektury.

W imieniu Rady Fundatorów
Prezes mgr Jan Ziembicki

W imieniu Zarządu Fundacji Kresowej
Dyrektor mgr Danuta Tabińska-Juhasz

SUMMARY

- p. 1. — Farther and farther from September 1939 — recollections of the war against the background of contemporary Poland.
- p. 2. — The Nazareth Sisters' School and its environs — my yonder school years.
- p. 4. — A document of Soviet meanness and perfidy — surrender of Lwów to the Soviets.
- p. 5. — Not every anniversary pleasant — the attitude of the present Polish authorities towards the question of the pre-war Polish East Borderland.
- p. 6. — Still September ...
- p. 6. — Commanders and regiments from the district of Lwów in the defence of Warsaw in 1939.
- p. 11. — Situation of Poles in Hungary in 1939.
- p. 14. — Participation of the „Grunwald” platoon in operation „Storm” — relation of the platoon commander of the warfare in Lwów in 1939.
- p. 15. — After the „Storm” — recollection of a scout soldier of the Polish Home Army of August 1944.
- p. 19. — Where the river Seret flows — the daughter tells about her father, general Grot-Rowecki.
- p. 21. — The Volhynian origin of the Minkowice parish — relation of a priest about the life of his parishioners in the Volhynia during World War II.
- p. 24. — Nadwórna — vicissitudes of the Polish border town.
- p. 29. — There was such a town — a story of Gwoździec and its inhabitants.
- p. 32. — He gave his heart to the Podolia — activity of Rev. Wanaks.
- p. 34. — Czortków — border town.
- p. 38. — Polemics and supplements.
- p. 39. — The Tarnopol novelties — review of a book.
- p. 39. — Between Lwów and Buenos Aires — the war route of dr Wanke.
- p. 42. — 100 years of the Faculty of Medicine at the Lwów University — historical Meeting of graduate physicians.
- p. 42. — Vth Meeting of Combatant Scouts — Defenders of Lwów in 1939.
- p. 43. — Ist Meeting of journalist concerned with the problems of Lwów and the East Polish Borderland.
- p. 43. — Our Readers ask: Who were the eleven executed in Lwów?
- p. 44. — Letters to the Editors.
- p. 44. — From the life of the Society — celebrations in Bydgoszcz and Przemyśl.
- p. 46. — From the Volhynia to Brzeg — vacation of Polish children in their homeland.
- p. 47. — Information.
- p. 49. — A supplement to „The career of Mr. Frajeer”.
- p. 49. — „Pacalycha” — the Lwów Cabaret from Bytom.
- p. 50. — Inquiries about lost persons.
- p. 51. — A humorous dialogue in the Lwów dialect.